WYGRAĆ NOWE ŻYCIE

straight edge | vegan | hardcore | punk | diy | fanzine



#2
jesień/zima
2015

ANIMAL LIBERATION FRONT **STRAIGHT EDGE** STORY

EYE FOR AN EYE | MARKSMAN | ASTRID LINDGREN

LIE AFTER LIE | VICIOUS X REALITY | I HOPE YOU DIE

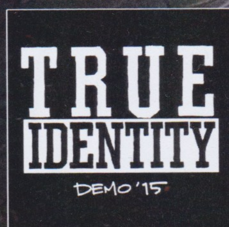
Straight-Edge Personal Stories vol.2 | Vegan kuchnia | artykuły | felietony | recenzje

REFUSE RECORDS

REFUSE RECORDS 2015



TRUE IDENTITY



"Demo '15" 7"EP
Vancouver Straight Edge.
Ex-CHAMPION/BETRAYED!

COKE BUST



"Confined Anthology" CD
"Confined" 12" + trzy epki na jednym CD.
Washington DC Straight Edge.

APATIA



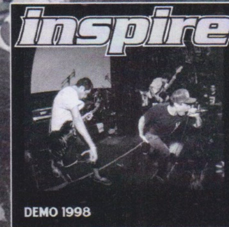
"Demo 1990" LP
Pierwsze nagrania poznańskiej formacji! Wówczas jeszcze jako SEHC.

HACESJA



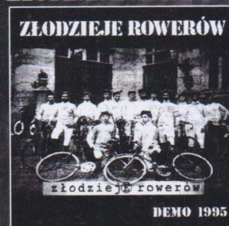
"Ultrafastnoisecore" 7"EP
Surowy i ultraszybki HC po linii Larm/Infest. Pre-Cymeon X.

INSPIRE



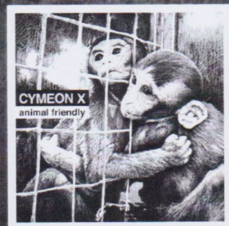
"Demo 1998" 7"EP
Sao Paulo Straight Edge. Członkowie Point Of No Return/I Shot Cyrus.

ZŁODZIEJE ROWERÓW



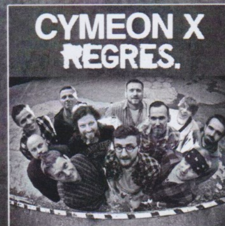
"Demo 1995" LP+DVD
Materiał z pierwszej kasety + dokument o zespole.

CYMEON X



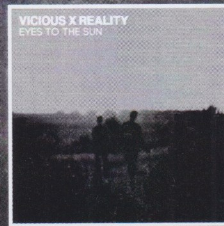
"Animal friendly" 12"/CD
Rodzimy klasyk Straight Edge HC.
Najnowszy materiał!

CYMEON X/REGRES



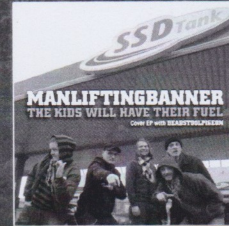
split 7"EP
Split na XV-lecie Regresu!

VICIOUSxREALITY



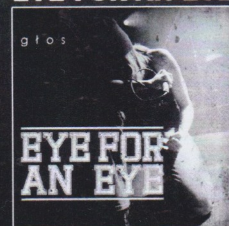
"Eyes To The Sun" 7"EP
Straight Edge HC z Częstochowy.
Debiut na winylu.

MANLIFTINGBANNER/ DEADSTOOLPIGEON



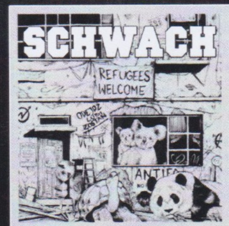
"Cover EP" 7"
Legendy z Holandii coverują klasyków.

EYE FOR AN EYE



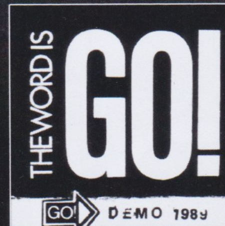
"Głos" 7"EP
Ścisła czołówka Hc/Punk w Polsce i ich nowy materiał.

SCHWACH



s/t 7"EP
Polityczny i pozytywny HC z Berlina.

GO!



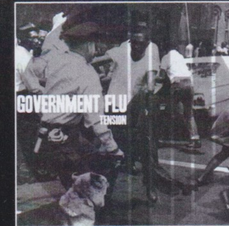
"The word is Go!" 7"EP
Demo 1989 na 7" winylu.
NYHC. 12 numerów.

MIND TRAP



"Life amongs liars and thieves" 7"EP
Berlin Straight Edge. Surowy HC'82.
Ex-Highscore, Short Fuse and Nothing.

GOVERNMENT FLU



"Tension" 12" / CD
Refuse #100!
Absolutna kosa ze stolicy.

Również dostępne:
VOWELS 7", HELLO BASTARDS LP, APPRAISE 12", MISLED YOUTH 7", ZŁODZIEJE ROWERÓW "Ten moment" LP/CD/MC, WATCHING ME FALL 7", TZN XENNA LP, STAY HUNGRY 7", COKE BUST 12", H.C.P. LP

W planach:
NATIONS ON FIRE "Burn again" 12", BUSTED OUTLOOK LP, PROTESTER LP, MISLED YOUTH 7", MIND TRAP 12", APPRAISE 7", TRIAL LP's.

REFUSE RECORDS www.refuserecords.prv.pl www.refusemusic.net refuseorder@gmail.com

pic: Nate Zoeller

#2

■ Witam serdecznie na łamach drugiego numeru zina „Wygrać Nowe Życie". Wielka radość przepełnia moje serce, bo zapał tworzenia nie został zduszony po wydaniu pierwszego numeru, a wręcz zapłonął żywym ogniem. Jest to dobrym zwiastunem na przyszłość i mam nadzieję, że podsycany pasją szybko nie zgaśnie.

Na początek chciałbym podsumować czas, jaki minął od ukazania się debiutu. Szczególnie w kontekście tego, że nie spodziewałem się aż takiego odzewu i zainteresowania. To, co na początku miało być małym osobistym zinem, stworzonym na okoliczność mojej małej życiowej przemiany, zostało bardzo entuzjastycznie przyjęte i przeszło moje najśmielsze oczekiwania. W tym miejscu bardzo serdecznie chciałbym za to podziękować wszystkim, którzy zina kupili, przeczytali, pomagali w jego dystrybucji i nadsyłali swoje opinie na jego temat. To bardzo dużo dla mnie znaczy, z całego serca za to dziękuję. To także znacząco wpłynęło na to, jaki kierunek i formę przyjąłem na przyszłość, także po to, aby sprostać wszelkim pojawiającym się oczekiwaniom.

To, co istotnie wpłynęło na jakość pisma, to bardzo duży odzew na ofertę współpracy przy jego tworzeniu. Zaowocowało to utworzeniem się zespołu redakcyjnego w prawdziwym tych słów znaczeniu! To, po pierwsze, pozwala mi w końcu porzucić to schizofreniczne poczucie pisania o redakcji w liczbie mnogiej, jakie towarzyszyło mi, gdy w pojedynkę walczyłem z materią. A po drugie, co zdecydowanie najistotniejsze, zaowocowało niesamowitą energią, pomysłami i zapałem do pracy. W tym miejscu mam zaszczyt powitać na pokładzie i przedstawić oficjalnie **Asię** i **Marcina**, którzy od tego numeru współtworzą ze mną redakcję zina. Wyjaśniam też od razu, że używając zwrotu "zespół redakcyjny", mam na myśli jego umowne znaczenie, bo każdy, kto współtworzy to pismo, robi to na takich samych zasadach, bez przerostu jakichś ambicji, hierarchii itp. Łączy nas pasja i miłość do pewnego rodzaju muzyki i idei. Osobiście uważam, że mówienie o "jakiejś redakcji" w kontekście zina jest dość śmieszne, niemniej jednak mogę zapewnić, że do sprawy podchodzimy śmiertelnie poważnie, kierując się idealną naszym zdaniem mieszanką profesjonalizmu i dobrej zabawy. To, co w szczególności napawa mnie nieskrywaną dumą, to to, że nasz trzyosobowy zespół tworzą osoby w całości od stóp do głów będące vegan straight edge :) To jest to, o czym na początku, wymyślając tego zina, mogłem tylko pomarzyć, a teraz stało się rzeczywistością.

Teraz kilka słów tytułem wprowadzenia do tego numeru, czyli istotne zmiany i nowości. Zasadniczą zmianą jest format papieru. Powodowane jest to znaczącym rozrostem objętościowym, co w połączeniu z większym formatem na pewno polepszy komfort czytania. W sferze treści nie brakuje natomiast nowości, które zapowiadaliśmy już w poprzednim numerze i które prawdopodobnie zagoszczą na stałe. Mowa tu przede wszystkim o artykułach tematycznych i cyklach kulinarnych (prezentacja wegańskich miejscówek i przepisy kulinarne). W tym numerze pojawiają się dwa obszerne artykuły dotyczące historii ruchu Straight Edge i Animal Liberation Front. Wierzymy, że będą one ciekawe dla tych, którym tematy te nie są obce, ale przede wszystkim będą dobrym źródłem informacji dla tych, którzy odkryją w nich coś nowego. Wychodzimy z założenia, że składając pierwsze numery naszego zina, musimy zacząć od podstaw. Z tego też powodu w pierwszym odcinku cyklu "Weganizm jest prosty" prezentujemy podstawowe, praktyczne przepisy. Mamy świadomość, że wielu osobom, które już nie stosują produktów odzwierzęcych w swojej kuchni, są one absolutnie znane. Ale na pewno jest wielu wegetarian, którzy cały czas zastanawiają się nad weganizmem, ale wydaje im się to trudne lub, jak to mawia mój redakcyjny kolega Marcin, "zbyt mocno kochają ser". Być może przeczytają to też osoby jedzące mięso i skłoni je to do odkrywania i poszerzania horyzontów. Dlatego zaczynamy od początku świata, stopniowo w każdym numerze zgłębiając tajniki. W zagadnieniach scenowo-muzycznych nowością są recenzje płyt i zinów, a także cykl "Klasyka", w którym omawiać będziemy płyty istotne dla nurtu Straight Edge. Założeniem działu z recenzjami jest wybór płyt, które szczególnie zwróciły naszą uwagę i które polecamy. Nie recenzujemy wszystkiego, co wychodzi na scenie, bo ani tego nie chcemy, ani nie jesteśmy w stanie. Naturalnie recenzujemy wszelkie wydawnictwa podesłane do nas w tym celu.

Poza tym w numerze tradycyjnie już wywiady, felietony i kolejna odsłona "Straight Edge Personal Stories". Bardzo chciałbym, aby zebrane w tym numerze materiały były przyjemną lekturą i z taką właśnie nadzieją oddaję zina do druku. **Diaboliq**, 15.11.2015

XWNŻX to: Diaboliq (teksty, skład), Marcin (teksty), Asia Stiller (korekta tekstów). Artwork na okładce: Judyta Black Line (www.facebook.com/blacklineartwork). Ilustracją do felietonów są zdjęcia autorstwa Moniki Stępień. Autorem zdjęć wykorzystanych w wywiadach (poza IHYD) jest xrobakx (www.xrobakx.blogspot.com). Dziękujemy wszystkim, którzy wystąpili w tym numerze i przyczynili się do jego powstania. www.facebook.com/xwnzx | www.xwnzx.blogspot.com

EYE FOR AN EYE

To, że gramy osiemnaście lat, wynika też z tego, że przez te wszystkie lata poznaliśmy wielu bliskich nam ludzi, oni cały czas są na tej scenie i koncerty są okazją do spotkania się. To jest jakaś wartość, takie poczucie, że to, co robisz ma sens i może komuś coś dawać.

■ Panie i pankowie, ciężko mi pisać wstęp do wywiadu z tak nietuzinkowym, a jednocześnie normalnym i fajnym zespołem, szczególnie w kontekście tego, że po blisko dwóch dekadach istnienia postanowił zakończyć działalność. Ciężko pisać w taki sposób, aby uniknąć przesadnego patosu, szczególnie że etos gwiazdorski jest tej ekipie kompletnie obcy. Jednak nie można umniejszać zasług, jakie istnienie Eye For An Eye wniosło w polską scenę niezależną. Niewątpliwie ich działalność zapisała się złotymi zgłoskami w historii sceny, odciskając się w znaczący sposób w zbiorowej świadomości, dla wielu ludzi słuchających ich płyt czy chodzących na koncerty był to zespół ważny... Kurwa, jednak wyszło patetycznie. Cóż, może po prostu napiszę, że jestem im za to wszystko bardzo wdzięczny, cieszę się, że byli częścią tej sceny, pojmując ją w bliski mojemu sposób. Dziękuję za te osiemnaście lat, zbiór płyt i koncerty.

Poniższy wywiad jest zapisem rozmowy telefonicznej, którą miałem zaszczyt przeprowadzić pewnego miłego wieczoru z Tomkiem, gitarzystą, współtwórcą EFAE. Bardzo się cieszę, że znalazł tych kilka chwil na pogawędkę, mimo że miał zapewne wiele spraw na głowie tuż przed pożegnalnym koncertem. Jest to tak naprawdę niewielka próba podsumowania i powspominania działalności zespołu, bo naprawdę ciężko wyczerpać tak obszerny temat w jednym wywiadzie. Zdaję sobie sprawę, że to raczej materiał na opasłą książkę, ale takiej nie podjąłbym się napisać. Mimo to mam nadzieję, że poniższy wywiad obrazuje i oddaje w jakimś stopniu niepowtarzalny klimat i ducha zespołu, a także sceny, której był częścią. Jest on także moim wyrazem uznania dla dokonań osobników tworzących kolektyw Eye For An Eye. Drodzy koledzy i szanowna koleżanko, z całego serca Wam dziękuję.

Diaboliq: Jakie nastroje w zespole przed pożegnalnym koncertem?

Tomek: Tak naprawdę jeszcze rok temu zakładałem, że jeśli dojdzie do takiej sytuacji, że zespół będzie kończył działalność na scenie, to nie zagramy takiego koncertu, bo to jest coś, czego ja emocjonalnie nie jestem w stanie przeskoczyć. No ale tak się zdarzyło, że ten koncert przyjdzie mi jednak zagrać. Także to jest jednak stres. Natomiast kondycja emocjonalna zespołu jest bardzo dobra, bo zespół nie rozpada się z powodów personalnych, nie ma takiej sytuacji, że pokłóciliśmy się, posprzeczaliśmy o różne wizje, koncepcje dalszej pracy. Dlatego koniec zespołu nie wynika z napiętych relacji. To jest taki czas, w którym czujemy, że pod tą nazwą są to nasze ostatnie wspólne chwile. I to jest interesujące doświadczenie. Polecam kilku starym punkom, którzy powinni rozmontować swoje zespoły, a jeszcze tego nie zrobili (śmiech).

D: Czyli jest trochę tak, że – cytując klasyka – „trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść"?

T: Trochę tak. Wiesz, ten zespół nie miał nigdy jakichś strasznych ambicji. Byliśmy osobami, które stojąc pod sceną, podziwiały różne zespoły i chcieliśmy też tak spróbować, doświadczyć czegoś takiego. Tak naprawdę wszystko, co sobie założyliśmy w konwencji tego zespołu, udało nam się osiągnąć. Idea była prosta, pozostać do końca zespołem związanym ze sceną hardcore/punk. Ten zespół nie jest w stanie iść do przodu gdzieś dalej. Nie było miejsca na żadne kompromisy. Od początku do końca wszelkie ścieżki, które mogłyby spowodować, że stalibyśmy się zespołem wychodzącym poza ten nurt, zostawały momentalnie zamykane. To, że się rozpadamy, wynika z tego, że wyczerpał nam się pomysł na ten zespół. Jeśli chodzi o zaangażowanie, przekaz, autentyczność, to był zespół na 100%, tak myślimy i nie ma zgody, aby było to 40% czy 60%. Po kilkunastu latach grania wydaje się, że każdy moment na rozpad kapeli jest zły. My uznaliśmy, że teraz nadszedł ten moment. Inaczej staniemy się zespołem coraz bardziej letnim, nijakim.

D: Podejrzewam, że ludzie chcieliby, aby taki zespół jak wasz, który gra tyle czasu, istniał zawsze. Tym bardziej że przez te 18 lat z niepozornego zespołu zbudowaliście sobie pewną markę i tak naprawdę dla wielu osób staliście się zespołem ważnym.

T: Ale my nadal pozostajemy niepozornym, skromnym zespołem. Pamiętam nasz pierwszy koncert, kiedy potwornie się stresowałem, i teraz towarzyszą mi dokładnie takie same emocje, napięcia i nerwy. Nigdy, przynajmniej mnie, nie udało się tego przeskoczyć.

D: Przypominasz sobie ten czas, tamtą scenę i pierwsze emocje związane z powstawaniem zespołu?

T: To był czas mocnej aktywności, przynajmniej części z nas, mojej, Ani i Rafała. Znaliśmy się jeszcze przed powstaniem Eye For Ane Eye. Robiliśmy wtedy wiele różnych rzeczy w obrębie Stowarzyszenia „Inna Kultura", odbywały się koncerty, demonstracje, jakieś akcje uliczne. To był taki czas, kiedy stwierdziliśmy, że zespół będzie kolejną formą, której spróbujemy doświadczyć. O tym marzyliśmy, celem było zagrać chociażby jeden koncert. To był czas



pełen entuzjazmu, wiary i radości. Chcieliśmy aktywnie uczestniczyć w różnych działaniach, związanych ze sceną hardcore/punk. Chcieliśmy więc także zobaczyć, jak to będzie mieć zespół.

D: Dużo się zmieniło od tamtego czasu?

T: Mimo że skończyłem już 40 lat, to na tyle czynnie uczestniczę w życiu sceny niezależnej, że nigdy nie miałem czasu, żeby zastanowić się nad tym, jak ona się zmieniała. Bardzo rzadko zdarzało mi się wspominać, jak to kiedyś było super, a teraz jest gorzej czy inaczej. Trudno mi było tę scenę krytykować, chwalić czy oceniać z boku, będąc jej częścią. Dzisiaj troszkę próbuję, bo jest to czas podsumowań, zespół się kończy i pewne rzeczy widzę. Na pewno scena się skurczyła. Choć jestem przekonany, i to jest zajebiste, że na naszym ostatnim koncercie będzie sporo ludzi, którzy byli na naszym pierwszym koncercie. Natomiast to, co mnie troszeczkę smuci, to to, że brakuje ludzi. Czasami mam takie wrażenie, że hardcore/punk powolutku odchodzi do lamusa. Niepokojąca jest polaryzacja sceny niezależnej. Są takie nurty hardcore'owe, które nie spotkają się z graniem punkowym na jednej scenie. A pamiętam pierwszy koncert Eye For An Eye, na którym razem na scenie z nami grało mocno hardcore'owe 1125, grający crust punka How Long? i zespół Am, który grał reggae punk. Na tym koncercie, co do dziś pamiętam, kupiłem sobie kasetę Analogsów „Oi młodzież" (śmiech). Także to wszystko spokojnie się przenikało i funkcjonowało. Teraz jest tak, że zdarzają się koncerty, na które przychodzi 30 osób i są to osoby niby związane ze sceną, ale przychodzą na konkretny zespół czy styl i nie pojawią się na czymś, co jest pokrewne. To może niepokoić, ale z drugiej strony jest sporo fajnych kapel, fajnych ludzi. Zespoły, które obecnie grają, są lepsze technicznie, mają lepszy sprzęt, mogą sobie na więcej pozwolić. Mają większe umiejętności, są lepsze od nas i innych zespołów, z którymi zaczynaliśmy. Choć brakuje im chyba tej autentyczności, jest to takie wyreżyserowane, gdzie zespół jest formą odwzorowania czegoś, co udało się wypatrzeć w Internecie. Brakuje mi zespołów, których członkowie wykazują się aktywnością pozazespołową, gdzie zespół to taki kolektyw skupiający ludzi zaangażowanych w inne rzeczy. Jest parę takich kapel, ale życzyłbym sobie, aby było ich więcej.

D: Mam podobne odczucia odnośnie do kapel, ich warsztatu, sprzętu, co w sumie jest dobre. Przy czym dziwić może tendencja spadkowa ludzi zainteresowanych sceną. Niby wszystko jest lepsze, ale brak tego entuzjazmu.

T: Mam takie wrażenie, że podwyższona poprzeczka technicznych umiejętności zespołów hardcore/punkowych, w których grają dobrzy muzycy, powoduje, że nie wszystko będzie atrakcyjne dla potencjalnego słuchacza. Jeżeli czterech szesnastolatków założy dzisiaj zespół, to mimo ich autentycznego wkurwienia, będą oceniani przez pryzmat umiejętności. A ich umiejętności będą słabe. Hardcore/punk na początku była autentyczny, bo był, kurwa, prymitywny. Był wściekły, niepokorny, poza układem. To było niebezpieczne i to przyciągało ludzi. Ja bym bardzo chciał, aby punk był bardziej niebezpieczny.

D: Przerost formy nad treścią powoduje, że nie ma tego pierwotnego pierwiastka. Nie ma też takiej autentycznej wściekłości, świeżej jakości, bo wszystko już było.

T: Tak. Dla mnie scena niezależna to było bardzo emocjonujące doświadczenie. Byłem młodym chłopakiem, poznawałem wszystkie te zespoły, których płyt nie mogłem kupić normalnie w sklepie. Wszystko funkcjonowało w obiegu niezależnym, dla mnie to było odkrycie czegoś nowego. Ten proces poznawczy był powolny, stopniowy. Dzisiaj tak naprawdę cały kolaż, wachlarz hardcore/punka z wszystkimi jego nurtami i odmianami możesz poznać w ciągu doby. To dobrodziejstwo, ale i przekleństwo Internetu. Możesz się dowiedzieć wszystkiego, co jest z tą kulturą związane. Ta wiedza często nie ma jednak nic wspólnego z takim osobistym doświadczeniem, autentycznym przeżyciem. Dlatego też jakby cała ta magia, eteryczność, chęć poszukiwania zniknęły. Kiedyś problem przy robieniu koncertów był we wszystkim poza jedną rzeczą, frekwencją. Teraz nie ma większych problemów, żeby zrobić koncert, natomiast zebrać sto osób na tym koncercie to już Wydarzenie.

D: Gdy ja wchodziłem w scenę, to przyciągnęła mnie ta otoczka, magia uczestnictwa w czymś wyjątkowym, do czego nie każdy ma dostęp. Skoro teraz tego nie ma, to pewnie potrzeba czegoś na miarę czasów.

T: Ta scena jest już stara. Dla mnie jako starego chłopa to jest wspaniałe doświadczenie, że ciągle spotykam ludzi, których pamiętam sprzed dwudziestu kilku lat. Ale dla szesnastolatka, który zaczyna dopiero tego hc/punka smakować, to jest jakiś kosmos. I może taka jest kolej rzeczy, że trzeba się usunąć na bok, dać trochę światła tym młodym ludziom. Nie oceniać ich, że nie umieją grać, że robią coś źle, inaczej. Niech to nie wygląda tak, że stoi jakaś loża

doświadczonych scenersów, którzy próbowali niejednego chleba, wiedzą wszystko i rozstawiają po kątach tych mniej doświadczonych. Przyznaję jednak ze wstydem, że mnie także się to niestety czasem zdarzało, bo taka już natura zgryźliwego starca (śmiech). Wszystkie te ziny, łącznie z twoim, są robione przez starych załogantów, których pamiętam z czasów, gdy ja byłem dzieciakiem. Tak samo zespoły – to są stare kapele, więc może niech one spierdalają wreszcie, łącznie z Eye For An Eye (śmiech).

D: Wiesz, mnie też czasem udziela się ten mentorski ton, może nie do końca z pozycji mędrca, który wie lepiej. Ale mam jakieś wyobrażenie o scenie i chciałbym, aby pewne sprawy szły podobnym torem. Dzieciaki mają swój sposób widzenia świata, inne doświadczenia, spojrzenie na muzykę i jest to pewnie dobre. Ale fajnie, gdyby taki rdzeń pozostał, aby był wspólnym mianownikiem.

T: Jeżeli w tym wszystkim jest wątek fundamentu tej sceny, tego, co tak naprawdę przez lata trzyma wszystkie te wartości, to fajnie. Ja też będąc ciągle związany z tą sceną, nie chciałbym, aby to się zmieniało. Takie ideowe kwestie dotyczące tolerancji, antyrasizmu, praw zwierząt, praw ludzi, spraw społecznych, skłotingu. Nie chciałbym, żeby to zostało naruszone. Jak się pojawił przez chwilę taki nurt w scenie o nazwie conservative punk, to ja to hejtowałem z góry na dół. Dla mnie to było nie do przyjęcia. Uważałem to za atak na podstawowe wartości, które są dla mnie ważne i nie chciałem tego wspierać. I tu się z tobą zgadzam, że jest taka potrzeba, żeby przetrwał ten korzeń sceny niezależnej.

D: W kontekście tego, co powiedzieliśmy o mentorstwie starych zgredów, ciekawi mnie, czy kontaktują się z wami młode kapele, szukając wskazówek czy porad.

T: Są jakby dwa takie nurty kontaktowania się z nami. Są zespoły, które spotykamy na scenie, które z nami rozmawiają. Młode zespoły, które dzielą się swoimi doświadczeniami, my też mamy okazję wtedy czegoś się od nich dowiedzieć, nauczyć. Zdarza się to dość często i to jest fajna sprawa. Natomiast jest też taki nurt, który zawsze mnie troszkę żenuje, chociaż niby powinien łechtać moje ego. To są takie zespoły, które pisały do nas przez te wszystkie lata, chcąc być naszym supportem, żeby budować sobie tym samym takie muzyczne CV potrzebne do dalszej „karier". Ja się w ogóle boję zespołów, które chcą robić tak zwaną karierę (śmiech). Zrobienie kariery na scenie niezależnej w takim normalnym kontekście jest niemożliwe, mogę to z całą odpowiedzialnością powiedzieć po tych wszystkich latach.

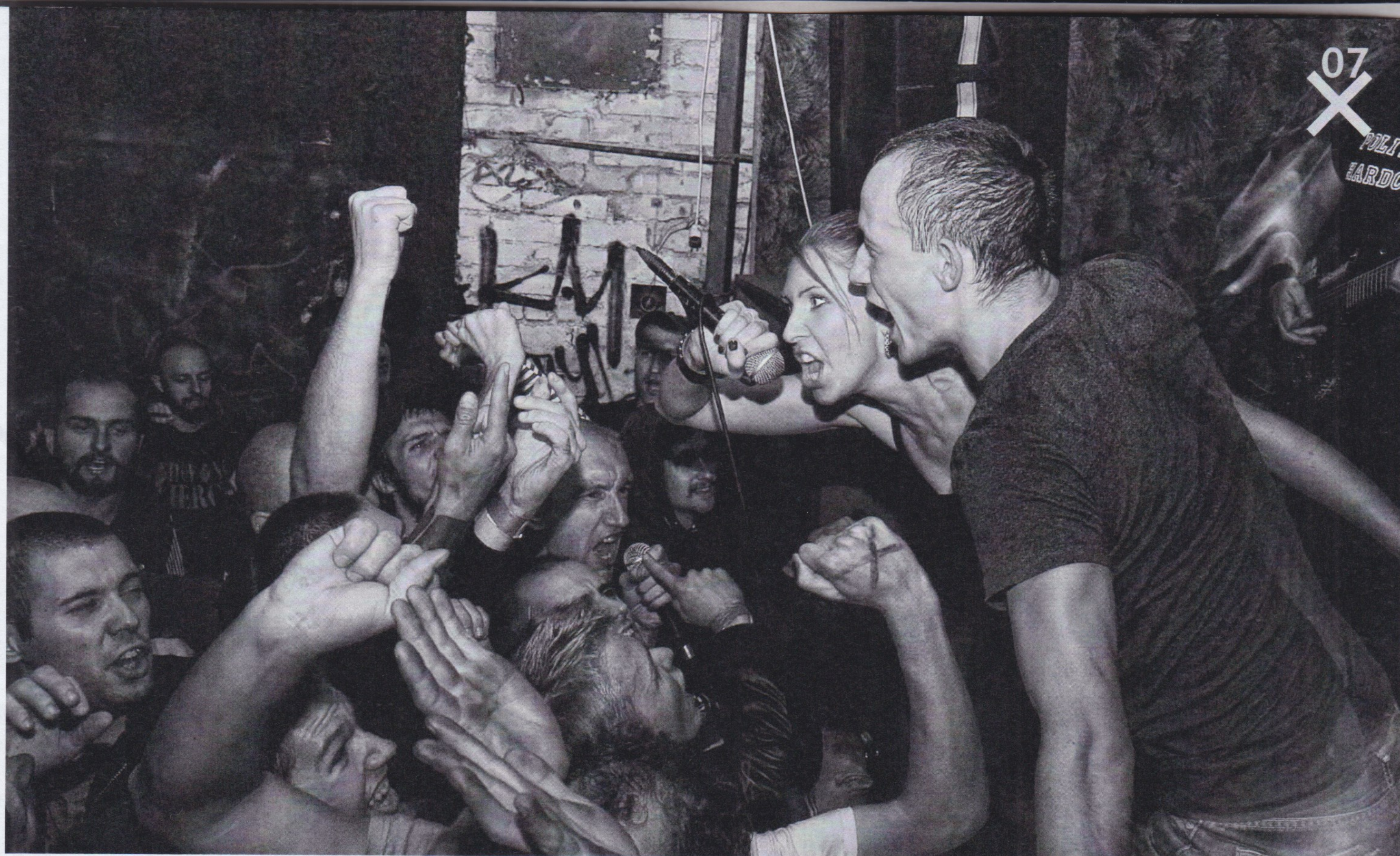
D: Młode zespoły mają chyba dzisiaj trochę inne wyobrażenie funkcjonowania w scenie. Młodzież jest pełna złudnych nadziei, ma jakieś takie parcie na sukces, nawet w niszy. Choć ja akurat wychowany byłem w takim przekonaniu, że na scenie ten tzw. potencjał komercyjny jest dla zasady negowany, a wszystko robi się głównie dla frajdy.

T: Scena niezależna ma jedną zajebistą rzecz, nazywam to dystrybucją koncertową. Zwykły zespół rockowy najczęściej może sobie zagrać w jakiejś lokalnej knajpie. Na scenie hardcore/punkowej spokojnie możesz zagrać w każdym większym mieście, gdzie są ludzie, którzy chętnie zrobią ci koncert. Możesz zagrać gdzieś za granicą. Mam takie doświadczenia z moimi znajomymi, którzy nie mają styczności ze sceną niezależną i oni mówią o jakimś sukcesie, bo czytają, że graliśmy w kilkunastu krajach. Nie są w stanie zrozumieć tego, że to nie wynika z pojęcia tej nieszczęsnej „kariery", tylko z tego, że ludzie na scenie niezależnej współpracują ze sobą. I to nie jest wielki problem dla zespołu punkowego, który trochę już funkcjonuje, żeby zagrać sobie trasę np. po Hiszpanii czy Francji. Ja w ten sposób sobie myślę o sukcesie na scenie punkowej jako o możliwości obcowania z fajnymi i ciekawymi ludźmi. Ludźmi mającymi inny pomysł na życie. A jeśli ktoś ma jakieś ambicje, żeby tę scenę wykorzystać, aby pójść w kierunku takiego komercyjnej wolty, to ma problem. Ta scena szybko takich zawodników wyłapuje i usuwa na bok.

D: Różnie można rozumieć pojęcie kariery, ale na pewno dużym sukcesem jest granie ze sobą osiemnaście lat nieprzerwanie i niepozabijanie się przy tym. Jest jakiś przepis na to, aby tyle czasu grać razem i nadal się kumplować?

T: Temat psychologii, pewnych relacji w zespole to jest ciężki temat w ogóle. Nie jesteśmy zespołem wolnym od zmian składu, ale dla mnie radością jest to, że nie dochowaliśmy się żadnych wrogów. Z przeważającą większością byłych muzyków EFAE mamy stały kontakt i to jest wartość. Nie wiem, jaki jest dobry sposób na to, może trzeba pochodzić z małego miasteczka, a nie z Warszawy, gdzie wszystko dzieje się szybko i jak zespół gra 5 lat, to już jest legendą (śmiech). My tak naprawdę przez pierwszych pięć lat grania cieszyliśmy się sporadycznymi koncertami, które udało nam się zagrać. To, że gramy osiemnaście lat, wynika też z tego, że przez te wszystkie





lata poznaliśmy wielu bliskich nam ludzi, oni cały czas są na tej scenie i koncerty są okazją do spotkania się. To jest jakaś wartość, takie poczucie, że to, co robisz ma sens i może komuś coś dawać. Nie miało to też być ambicją muzyczną, bo nie czuję się muzykiem, nie jestem mega sprawnym gitarzystą, nie poświęcałem zbyt wiele czasu na ćwiczenia. Pracowałem z instrumentem jedynie na tyle aktywnie, aby jakoś z tą gitarą sobie na scenie poradzić. Ważne, aby się lubić w zespole, tolerować się, podyskutować, czasem pokłócić, ale to musi mieć charakter wspólnoty.

D: Godne podziwu jest to, że przecież poza zespołem ty z Anką jesteście małżeństwem, a takie przenikanie się relacji zespołowej i prywatnej to często ciężka próba.

T: Myślę sobie nieskromnie, że my po prostu jesteśmy dobrym małżeństwem. Teraz w listopadzie minęły 22 lata naszego związku i myślę, że dobrze się dobraliśmy. Oczywiście zdarzają się jakieś napięcia, moja żona jest osobą bardzo dynamiczną, potrafiącą walczyć o swoje racje, o czym wiedzą wszystkie osoby, które przewinęły się przez EFAE. Ja również nie mam łatwego charakteru. Czasem naprawdę zgrzytało. Potrafimy natomiast wszystkie te sprawy konstruktywnie przegadać. Nawet jak coś się tam nazbiera w domu, to staramy się tego nie przenosić na zespół i na odwrót. To nigdy nie był dla nas jakiś wielki problem.

D: Często koncerty są tym problematycznym elementem, kiedy w jakiejś dłuższej trasie dochodzi do spięć, kwasów, ludzie nie mogą wytrzymać ze sobą i po zespole.

T: My nie graliśmy aż takich długich tras. Od kilku lat, z racji tego, że mamy różne obowiązki, nie przeskakiwaliśmy opcji grania trzech koncertów z rzędu i to już było czasem dość ciężkie. Mamy na swoim koncie raptem jedną dwutygodniową trasę po Finlandii, która i tak została przerwana, bo Anka pochorowała się i straciła głos. Owszem, pojawiały się możliwości większych tras, ale wiedzieliśmy, że jak zaczniemy jeździć, to się powyrzynamy najzwyczajniej w świecie (śmiech). Jakkolwiek dobrze by nam ze sobą nie było, to dojdzie do takiej afery, że się przepalimy. Darowaliśmy sobie takie sytuacje.

D: Jakieś szczególnie ekstremalne doświadczenia utkwiły ci w głowie?

T: Może niekoniecznie ekstremalne, zazwyczaj jakieś pierdoły bez większego znaczenia. Dochodziło do kłótni, czasami bardzo ostrych, w których emocje były naprawdę gorące. Nie zapominajmy, że ten zespół to hardcore/punki, każdy ma tu pojechany życiorys, ciężką osobowość. Jakieś bardziej ekstremalne sytuacje wynikały raczej z zewnątrz, nie z naszych relacji, i tak naprawdę budowały nasz zespół, cementowały go. Przez te osiemnaście lat było parę trudnych momentów, spanie w warunkach chłodno-pleśniowych, jakieś bijatyki na koncercie, z którego musieliśmy się ewakuować. Takie sytuacje można jednak policzyć na palcach jednej ręki.

D: A doświadczenia, które dają przekonanie, że warto pchać ten wózek?

T: Gdyby ten zespół nie miał co jakiś czas pozytywnych doświadczeń, toby nie przetrwał tyle lat. To, co go napędziło, to są doświadczenia ludzi, których spotykasz, z którymi rozmawiasz, którym możesz coś dać, ale oni też ci coś dają. Przez ten czas spotykaliśmy bardzo mądrych, interesujących ludzi, którzy mają inny pomysł na życie niż przeciętny obywatel tego kraju. Oni nas inspirowali. Serce i szczere zaangażowanie ludzi, to jest coś, czego chyba nie doświadczysz poza sceną punkową. Tej wymiany emocji, relacji. Tego można dotknąć tylko tutaj. Młodym ludziom, którzy zaczynają grać hc/punka, życzę podobnych doświadczeń. Ba, wierzę, że dane im będzie ich dotknąć. Nawet koncert w małym miasteczku, na który przyjdzie dziesięć osób, może być doświadczeniem, które tak ładuje akumulatory, da takiego kopa emocjonalnego, żeby przez tygodnie móc mierzyć się z różnymi chujowymi sprawami. Tak myślę, kurczę, że więcej od tego zespołu dostałem, niż w niego włożyłem.

D: Jak w takim razie oceniasz ten wkład w zespół? Zostawiacie po sobie pięć płyt, splita i epkę. To dużo czy mało jak na te osiemnaście lat?

T: Trudno mi powiedzieć, czy to dużo, czy mało. Tyle udało nam się z siebie wycisnąć i to myślę jest okej. Tyle mieliśmy pomysłów. Nigdy nie zakładaliśmy, że nagrywamy płytę i mamy luz, możemy dwa lata grać kawałki z tej płyty i nic więcej nie robić. Praktycznie zawsze, kiedy kończyliśmy nagrywać materiał, to już siedzieliśmy nad następnym. Ale czasami to trwało, czasami brakowało pomysłów. Z czasem też byliśmy bardziej krytyczni wobec tego, co robimy, i to pewnie też odbiło się na tym, że nie byliśmy w stanie robić rzeczy, które dawałyby nam kopa jak 10 czy 15 lat wcześniej.

D: Nie masz w związku z tym takiego poczucia, że może nie powiedzieliście jeszcze wszystkiego, że może parę kawałków trzeba było jeszcze nagrać?

T: Po tym ostatnim koncercie mamy jeszcze jedną sesję nagraniową, nagramy 5-6 numerów. Będą to kawałki osadzone w konwencji tego zespołu i jeżeli ktoś lubi Eye

For An Eye, to powinny mu się spodobać. To będzie finał. Nic więcej ten zespół już nie powie.

D: Masz wśród waszych nagrań ulubioną płytę, taką, którą mógłbyś np. zaprezentować osobie chcącej poznać Eye For An Eye?

T: Powiem ci szczerze, że nie wiem. Nie czuję się specjalnie mocny w mówieniu w taki sposób o muzyce swojego zespołu. Zawsze kiedy takie sytuacje się zdarzały, żeby powiedzieć, która płyta jest najbardziej reprezentatywna, najfajniejsza, nie potrafiłem tego zrobić. Zawsze mówię, aby wybrać najtańszą (śmiech).

D: Przeważnie każdy mówi, że najfajniejsza płyta to ta ostatnia.

T: To też różnie bywa. Jak rozmawiam z różnymi osobami, to mówią, że ogólnie nasze płyty są spójne. Jak ja dzisiaj na to patrzę, porównując ostatniego singla z naszymi pierwszymi nagraniami, to czuję, jakbym słyszał zupełnie inny zespół.

D: Ja sobie na potrzeby tego wywiadu przesłuchałem wszystkie wasze płyty...

T: Szalony z ciebie człowiek (śmiech).

D: He, he, nie było to aż tak straszne. Natomiast takie mam odczucia, że jeśli chodzi o całokształt zespołu, to jest to dla mnie wizerunkowo jakoś tam spójne, ta konwencja zespołu, o której mówiłeś. Ale oczywiście słychać, że płyty są różnorodne. Pokazuje to, że zespół zmieniał się przez lata.

T: Cały hardcore/punk się zmieniał. Nas to wszystko interesowało i będąc na bieżąco, obserwując, co się dzieje na tej scenie, siłą rzeczy zmienialiśmy też inspiracje. Jesteśmy żywymi uczestnikami sceny niezależnej, łykamy to, co się na niej dzieje, wymieniamy się tonami płyt. Także to wszystko wpływało na to, co robiliśmy przez ten czas. Zmieniali się też muzycy i nigdy nie było w EFAE jednej osoby odpowiedzialnej za to, jaki ten zespół ma mieć kształt. Każdy członek zespołu, który się w nim pojawiał, miał wpływ na to, jak ten zespół wygląda, jak brzmi. My też się zmienialiśmy jako ludzie. Ja niektórych rzeczy dzisiaj już nie czuję. Granie starych kawałków, takich jak „Warriors", to jest ciężar gatunkowy, którego ja nie jestem w stanie przeskoczyć. Granie tego utworu i jeszcze kilku innych to dla mnie czasem straszna męczarnia.

D: Odcinasz się od tego?

T: Ależ skąd. Po prostu to już tak nie cieszy jak kiedyś. Takie kawałki miały swój czas, na tamten moment były zajebiste. Nie umieliśmy wtedy inaczej tego zrobić. Pamiętaj, że miałem dwadzieścia parę lat, jak ten zespół powstawał, a dzisiaj w wieku czterdziestu zupełnie inne rzeczy kręcą mnie w hardcore/punku.

D: Jest wartość sentymentalna?

T: Oczywiście że tak. Żadnego z tych kawałków się nie wstydzimy.

D: A satysfakcja?

T: Każda płyta, którą udało się wspólnie zrobić, dawała satysfakcję. Od pierwszej do ostatniej tworzyła się atmosfera i aura, którą udało się przelać na nośnik. Każda płyta była na swój sposób bardzo ważna. Każda płyta to dla mnie osobiście potężna wartość. Kawałek osobistego doświadczenia.

D: Zastanawia mnie, dlaczego nie macie żadnego teledysku.

T: Powiem ci szczerze, że pomijam milczeniem większość teledysków zespołów ze sceny niezależnej. Często zespołów które uwielbiam, które są dla mnie wielką inspiracją. Zajebisty obraz w HD wcale nie upiększa jednak tej muzyki. Hardcore/punk jest zajebisty, kiedy jest trochę niedopowiedziany, kiedy wyłania się coś z pewnego brudu i syfu. Nie lubię wywalonej na zewnątrz klarowności. Dlatego nigdy nie myśleliśmy poważnie o takim teledysku, gdzie trzeba odegrać jakąś tam scenę.

D: Naprawdę nie kusiło was, żeby zrobić sobie taką pamiątkę? Żeby chociaż na starość wnukom pokazać.

T: Mamy kilka nagrywek, które są fragmentami naszych koncertów. To są dla mnie najlepsze teledyski, to jest coś autentycznego. Jakie by one nie były, nieporadne, krzywo zagrane. Nie lubię sztucznych produkcji. Na ten nasz ostatni koncert ma przyjechać nasz przyjaciel i coś ponagrywać. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

D: Jest szansa na pożegnalne DVD?

T: Jest jakiś pomysł. Zobaczymy jednak, jak to wyjdzie.

D: Może w ślad za Złodziejami Rowerów, którzy mają kozacką pamiątkę ze swojej stypy?

T: Szczerze mówiąc, nie jesteśmy na tyle sprawnym zespołem jak Złodzieje Rowerów. Zespołem, który zagrał zajebisty energetyczny koncert, a przy okazji perfekcyjnie dokładnie. Najważniejsze jest to, żeby ten koncert był formą podziękowania i pożegnania się z grupą znajomych, którzy tam będą. Wspomnienie, doświadczenie tego klimatu rozstaniowego jest dla mnie jednak ważniejsze.

D: A nie obawiasz się, że po tym koncercie, kiedy już wyłączysz wzmacniacz, odłączysz gitarę, zwiniesz kable, schowasz graty, to nagle dopadnie cię refleksja co dalej?

T: Boję się tego, bardzo. Nie wiem, czy i gdzie sobie miejsce znajdę. Czas pokaże.

D: Może jakaś koniunkturalna reaktywacja (śmiech)?

T: Wiesz co, dla mnie byłoby to skrajnym cynizmem i wyjątkowym poziomem żenady. Zakładamy, że zespół 21 listopada 2015 roku kończy swoją działalność i koniec kropka. Nie po to się rozpadamy, żeby się reaktywować.

D: A może sprzedasz gitarę i rzucisz wszystko w trzy diabły?

T: Nie, nie sprzedam. Myślę, że coś tam będę grał, ale raczej nie mam takiej motywacji, aby zespół był tak dynamiczny jak EFAE. Moją aktywność na scenie niezależnej będę prowadził w innych miejscach.

D: Mam tylko taką jedną małą obawę. Często okazuje się, że jak rozpadają się zespoły z długim stażem, w których grają zazwyczaj podstarzałe już dziady, to tracą oni kontakt ze sceną niezależną. Odklejają się jakby od tego i nie potrafią się już odnaleźć. A przecież pozostaje jakaś luka, którą czymś trzeba wypełnić.

T: Mam nadzieję, że nas to nie dopadnie. EFAE nie jest jedyną nicią, która łączyła mnie ze sceną. Działam na innych płaszczyznach, organizuję koncerty w Bielsku, wspieram kilka organizacji społecznych, które też trochę są ze sceną związane. Współtworzę Black Wednesday Records, które zajmuje się wydawaniem hc/punkowych płyt. Także to, że zabraknie zespołu w moim życiu, nie wpłynie na to, że zabraknie w nim sceny niezależnej.

D: Nadal pisujesz też do zinów.

T: Tak, pisuję do „Pasażera", do „Chaosu w mojej głowie", czasem, jak ktoś zaproponuje, to też do innych zinów. To też wymaga kontaktu ze sceną. Powiem ci, że tak naprawdę przez te wszystkie lata, od czasu kiedy wchodziłem w hc/punka i angażowałem się w różne rzeczy, to moje pieprzone ADHD i to ciągłe zafascynowanie sceną powoduje, że jak ten niepoprawny gówniarz ciągle w coś się angażuje. Ciągle daje mi to kupę radochy i widzę, że jest tu cały czas miejsce dla mnie, siwiejącego już, dojrzałego mężczyzny po czterdziestce. To jest naprawdę wspaniała sprawa, która mi się w życiu zdarzyła.

D: Czyli z punk rocka się nie wypisujesz i legitymacji nie zamierzasz oddać?

T: Nic z tych rzeczy (śmiech). Nie ma takiej opcji.

D: Obaj wiemy, że „ scena niezależna to nie Wielka Pardubicka" i nie chodzi o wyścigi. Ale powiedz, komu kibicujesz, kto jakby może przejąć po was tę spuściznę?

T: Jest mnóstwo takich zespołów, ciężko je wymienić w jednej chwili. Jest hardcore'owy Fight Them All, Vicious Reality, z nurtu punkowego jest zespół Prokuratura. Bardzo podoba mi się Ansa, która jest świadomym zespołem z fajnym przekazem. Zespół Deszcz. Jest trochę tych fajnych zespołów. Może być jednak jeszcze więcej. Namawiam młodych ludzi, którzy nie mają w sobie wiary, aby sięgnęli po gitary, próbowali działać, nawet jak na początku nie wychodzi. To bardzo fajne doświadczenie i panaceum na obecne czasy.

D: To bardzo dobre zwieńczenie naszej rozmowy.

T: Myślę sobie teraz, że Eye For An Eye był takim elementem pewnej całości. Myśmy się inspirowali innymi zespołami i fajnie byłoby, gdyby nasz zespół też zainspirował kogoś, aby na tej scenie zacząć swoją przygodę, żeby to ciągle żyło. Mam taką cichą nadzieję. To jest to, co możemy zostawić po sobie.

D: Też mam taką nadzieję. Do zobaczenia w takim razie, bez względu czy na scenie, czy pod sceną.

05.11.15

■ SEPS. Straight Edge jako polityka. W październiku 2015 roku mija dokładnie 15 lat od chwili, gdy słuchając kasety Youth Of Today, namalowałem sobie X-y po zewnętrznych stronach swoich dłoni. Od tego momentu, prócz stempli w formie krzyży na każdym komplecie pościeli, straight edge odcisnął piętno na całym moim życiu.

Wpierw, z troski o własne życie i tracone sukcesywnie przyjaźnie, pomysł na punkową abstynencję przyszedł mi po lekturze wywiadu z Counterweight. "Take a Stand" wykrzyczany przez Raya Cappo był natomiast iskrą potrzebną, by podpalić lont - tak by bomba mogła pierdolnąć. To pewnie wtedy zdałem sobie sprawę, że ekstremalna forma picia towarzyskiego, którą wówczas uprawiałem, niewiele ma wspólnego z punkowym buntem - przeciwnie, jest typowo konformistycznym zachowaniem, którego społeczeństwo spodziewa się po młodym chłopaku. Bezpieczna forma buntu skierowanego głównie przeciw rodzicom.

"Straight Edge is Politics" – fraza, z którą spotkałem się jakoś około roku 2003 dzięki moim portugalskim przyjaciołom z New Wind. Wcześniej idea zaangażowanych politycznie kapel sXe znana mi była głównie przez zespoły takie jak Bloodpact. Ponieważ zaangażowany, polityczny przekaz był czymś, co zawsze najsilniej przyciągało mnie do hardcore'u, idea trzeźwości będącej narzędziem politycznym momentalnie do mnie przemówiła. W skali mikro odczułem to poprzez wzrost motywacji, by na poważnie zaangażować się w zespół, jeździć na wszystkie interesujące mnie koncerty w kraju i poza jego granicami, chłonąć i zgłębiać idee pojawiające się w okolicach środowiska hardcore punk. W skali mikro również zacząłem wyraźniej dostrzegać, jakie szkody w moim najbliższym otoczeniu wyrządzają wóda i dragi. W skali makro - środki zmieniające świadomość często stawały się narzędziem kontroli lub sposobem destabilizacji i kryminalizacji środowisk będących potencjalnym zagrożeniem dla lukratywnego dla niektórych status quo. Nieco bardziej konkretnie:

Narkotyki jako forma rasizmu. W latach 80. zeszłego wieku oddziały amerykańskiego CIA sprzedawały tony kokainy i cracku gangom L.A. - Crips i Bloods. Celem agencji była prawdopodobnie destabilizacja czarnych i latynoskich społeczności po wcześniejszym przełomowym sukcesie ruchów emancypacyjnych. Z drugiej strony nieco bardziej pragmatycznym celem (jak wskazał informator agencji) było zebranie pieniędzy dla nikaraguańskich contras walczących z prokubańskimi socjalistami. Do tej pory społeczności mniejszości w USA są, poprzez narkotyki i przestępstwa z nimi powiązane, spychane na margines życia społeczeństwa amerykańskiego. Kryminalizowani, potępiani i z gorszymi perspektywami. Będąc przy Ameryce Północnej, warto wspomnieć też historyczne "konkurowanie" o ziemię z lokalnymi społecznościami indiańskimi, które okazały się całkiem dobrze przygotowane do starć militarnych w trudnych, górskich terenach. Być może to podarunek "ognistej wody", który otrzymali od białego najeźdźcy, stał się kluczem do wrót rezerwatów, w których z łaski nowych gospodarzy mogą kultywować swoją tradycję - dopóki oczywiście nie stoi to w sprzeczności z interesem naftowych potentatów.

Alkohol jako narzędzie zarówno totalitarnej, jak i kapitalistycznej opresji. Gdy pod koniec XIX wieku szwedzkie ruchy pracownicze zaczęły rosnąć w siłę, pracodawcy obrali bezkonfrontacyjny charakter walki o swoje interesy - mianowicie rozdawali robotnikom darmową wódkę, by głowy tych zajęte były czym innym niż kolektywne dobro. Dlatego właśnie szwedzkie ruchy robotnicze, a w ślad za nimi ruchy brytyjskie, fińskie oraz islandzkie postulowały całkowitą abstynencję jako sposób na odparcie miękkiej opresji w nich skierowanej.

Pod koniec lat 20. ubiegłego wieku Józef Stalin nakazał wzrost produkcji alkoholi, co w zamierzeniu miało dać Związkowi Radzieckiemu zastrzyk finansowy potrzebny do industrializacji kraju. Dodatkowo alkohol promowany był wśród obywateli, będąc narzędziem kontroli i społecznych badań prowadzonych na zlecenie Partii. Z racji niedoboru barów wódka kupowana była na bazarach (kolkhoz markets) i w robotniczych kafeteriach, po czym pita w miejscach publicznych: na dworcach, stacjach czy w kafeteriach, co dawało NKWD szerokie możliwości tworzenia raportów tzw. nastrojów społecznych.

Nigdy nie byłem w stanie wskazać twardej zależności: abstynenci - świadomi oraz aktywni rewolucjoniści; konsumenci środków odurzających - zmanipulowani ignoranci. Świat nie jest tak prosty i jednoznaczny. Nie raz ani nie dwa poznawałem ludzi niestroniących od intoksykacji, którzy w głowie mieli wszystko po kolei. Równocześnie załoganci wykorzystujący swój trzeźwy umysł niemal wyłącznie do zapamiętywania nazw ulubionych kapel też nie byli nigdy rzadkością. Nie sposób ocenić ludzi przez pryzmat tego, czy lubią się upić, upalić, czy też w czasie wolnym wolą obejrzeć film. Dawno się tego nauczyłem. Ideologie i dogmaty są jedynie narzędziem. To, w jaki sposób będą wykorzystane, zależy od operatora. Szukanie na siłę jakiejś niesamowitej głębi w idei trzeźwości również wydaje się pomysłem idiotycznym. Mnie kultura "5 dni roboty i 2 dni imprezy" aka "byle do piątku" zawsze była obca - nie lubię tracić czasu, czekając na jutro. Z tą różnicą, że kiedyś po prostu piłem i paliłem niezależnie od dnia tygodnia, teraz nie robię tego wcale.

Art After Laughter





THE X's ON HANDS
STRAIGHT EDGE
XXXHISTORY >>

In the light of reality
We rise from ruins
Instiled in mean
Vision of human
We broke the rule
Of existing in society
In mission of my life
I never break my edge
Experiences makes us stronger
Straight Edge!
Condemnation
Making us free

The way of the mind is clear
We can't err
Consolidated in an idea
Demoralisation swallow a many
Their faces are telling us everithing
We are safe - believing!

Awake - My Declaration

■ Kiedy w latach 70. XX wieku eksplozja punk rocka ogarnęła Europę i USA, nikt nie mógł przewidzieć, jak to wszystko potoczy się dalej. Po niespokojnych latach 60. znów nastał czas rosnącego niezadowolenia społecznego, wynikającego głównie z kryzysu ekonomicznego. Fala protestów, konfrontacje rządu ze związkami zawodowymi i strajki licznych grup zawodowych stały się niemalże symbolem tamtego okresu w historii wielu wysoko rozwiniętych państw. Problemy gospodarcze, a co za tym idzie – spadek produkcji oraz wzrastające bezrobocie spowodowały pogorszenie się warunków życia klasy robotniczej. Problem dotyczył w dużej mierze ludzi młodych. Spychana na margines społeczeństwa, pozbawiona perspektyw młodzież musiała znaleźć ujście swojej frustracji. Niechęć do istniejącego systemu gospodarczego spowodowała potrzebę znalezienia swojej własnej, autonomicznej i niezależnej przestrzeni. Narastający bunt przeistoczył się w nowo powstałą subkulturę punkową. Początkowo, jako bezideowy ruch, miał za zadanie przede wszystkim szokować konserwatywną część społeczeństwa. Młodzi krytykowali otaczającą ich rzeczywistość, instytucje, autorytety, polityków i duchowieństwo. Pogrążając się w pesymizmie, woleli skupić się na teraźniejszości i „życiu chwilą", co niejednokrotnie oznaczało nadużywanie alkoholu i narkotyków, które stały się dużym problemem środowiska. Wywracając moralne

standardy do góry nogami, doprowadzili slogan „sex, drugs & rock'n'roll" do skrajności, biorąc przy tym hasło „no future" (odwołujące się do braku perspektyw i możliwości zmiany swojej sytuacji ekonomicznej i społecznej) zbyt dosłownie i poddając się nastrojom nihilistycznym. Wielu niestety przegrało walkę z uzależnieniami, kończąc przedwczesną śmiercią w wyniku przedawkowania.

Pewna zmiana nastąpiła przy drugiej fali punka. Na przełomie lat 70. i 80. rewolucję zapoczątkowało niezadowolenie społeczne, jakie zaczęło panować wśród części młodych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Wtedy to narodził się hardcore – amerykańska odpowiedź na brytyjskich punków. Do głosu doszła młodzież zamieszkała na przedmieściach wielkich miast, wywodząca się z klasy średniej. Główny opór skierowany był w stronę wszelkich autorytetów, duchownych, polityków. Wielu nastolatkom nie podobał się stateczny tryb życia ujednoliconego społeczeństwa, które było nastawione na ślepy konsumpcjonizm i kierowało się powierzchowną moralnością. Nie odpowiadała im również ścieżka życiowa opierająca się o schemat zdobycia edukacji, szybkiego znalezienia pracy, założenia rodziny, kupienia domu i brania pożyczek na kolejne dobra materialne. Ci, którzy nie chcieli ulec presji społecznej, byli skazani na marginalizację ze strony środowisk, które nie były chętne do akceptacji odstępstw od szeroko pojętej normy. Jeszcze większa frustracja i bezradność panowała wśród młodzieży pochodzącej z biednych dzielnic takich miast jak Los Angeles i Nowy Jork, opanowanych przez handlarzy narkotyków, gangi uliczne, szerzącą się prostytucję i ubóstwo. Tutaj nie chodziło już tylko o stawianie oporu wobec konformizmu społecznego, lecz o chęć wydostania się ze środowiska skrajnie patologicznego, w którym przestępczość stanowiła tło codzienności. Nowe pokolenie punków chciało po części odciąć się od starszych członków subkultury ze względu na różniące ich priorytety. Hardcore'owcy propagowali aktywne postawy, mające skłonić młodych ludzi do przekształcania rzeczywistości, przeciw której się buntowali. Oczywiście używki nie zniknęły ze środowiska. Nadal były problemem, lecz w tym czasie pojawiły się na scenie bardziej pozytywne w swej wymowie idee. Doszło do sytuacji, w której część hardcore'owców zbuntowała się przeciw promowanemu nadużywaniu alkoholu i narkotyków, formując straight edge – postawę polegająca na rezygnacji ze wszelkiego rodzaju używek, pełną „czystość" przy zachowaniu typowego dla środowiska punkowego buntu oraz kwestionowania zastanego porządku.

Początki straight edge

W 1979 roku grupka waszyngtońskich nastolatków (w tym Ian MacKaye i Jeff Nelson), zainspirowana szybkością gry Bad Brains i bezkompromisowością Black Flag, postanowiła założyć zespół Teen Idles. Od początku istnienia mieli jednak jeden problem – byli niepełnoletni, podobnie jak większość ich słuchaczy, i część klubów organizujących koncerty nie chciała ich wpuszczać. Właściciele lokali obawiali się sytuacji, w których nieletnim udałoby się kupić w barze alkohol, co wiązałoby się z utratą przez klub koncesji. Rozwiązanie kłopotliwej sytuacji przyszło z czasem. MacKaye wspomina to następująco: „Byliśmy w San Francisco, graliśmy w klubie Mabuhay Gardens. Zorientowali się, że jesteśmy nieletni i nie chcieli pozwolić nam grać. Wypracowaliśmy układ z ich managerem, że tylko zagramy i nie będziemy pić, więc wzięli marker i namalowali nam duże X na naszych dłoniach. Wróciliśmy do Waszyngtonu i poszliśmy do klubu The 9:30 i powiedzieliśmy: Hej, spójrzcie, nie będziemy pić i namalujemy sobie X na dłoniach. Jeśli zobaczycie nas pijących alkohol, możecie nas wyrzucić. Nie będziemy pić, przyszliśmy tu tylko dla muzyki". Nowa forma oznaczania niepełnoletnich szybko się przyjęła, niestety nie w każdym klubie. W miejscach, do których młodzież dostała prawo wstępu, barmani wiedzieli, komu nie mogą sprzedać alkoholu, a młodzi ludzie mogli spokojnie uczestniczyć w koncertach, które do tej pory były obarczone ograniczeniami wiekowymi. Koncerty typu all-ages były zresztą ważnym elementem rodzącej się sceny hardcore. Według Iana MacKaye'a: „Niewpuszczanie nieletnich to to samo, co niewpuszczanie kobiet czy Azjatów. To znaczna część populacji, którą się wyklucza. (...) Nigdy nie grałem koncertu, który nie byłby dla wszystkich grup wiekowych. Muzyka jest dla wszystkich, to oczywiste. Nie wiem, czemu inni akceptują warunki ustalane przez przemysł alkoholowy". Teen Idles rozpadli się dość szybko, dając tym samym życie Minor Threat, którego historia przedstawiona jest pokrótce w tekście poświęconym klasyce sXe hardcore'a. Dlatego też przeskoczymy trochę w czasie.

Antyużywkowe nagrania Minor Threat wywołały prawdziwą burzę. Z jednej strony niezrozumienie, z drugiej inspiracja i tworzący się powoli cały ruch. Jednak intencją Iana wcale nie było powołanie do życia ruchu promującego abstynencję na scenie punkowej. Przekaz w utworach „Straight Edge" i „Out of Step" był wyłącznie wyrazem osobistych obserwacji i odczuć. Nowy trend szybko podchwyciła młodzież, która czuła się podobnie jak Ian – dzieląc te same nonkonformistyczne wartości co kontrkultura punkowa, nie chciała popadać w autodestrukcyjne schematy zachowań. Postawa straight edge nabierała kształtu. Muzycy Minor Threat dalecy byli jednak od moralizatorstwa. Nikogo nie chcieli zmieniać na siłę, odrzucenie procentów i dragów było indywidualną decyzją. MacKaye nie był nawet za całkowitym porzuceniem używek, nie widział problemu w wypiciu niewielkiej ilości alkoholu, chodziło jedynie o zachowanie świadomości. Jednak nowa idea tak bardzo spodobała się części hardcore'owej społeczności, że szybko pojawiły się zespoły definiujące na nowo straight edge. W ten sposób pomysł na wykluczenie autodestrukcyjnych zachowań z punk rocka zaczął żyć własnym życiem, niezależnie od jego inicjatora. Samą nazwę straight edge (ang. proste ostrze/krawędź) wymyślił Jeff Nelson podczas rysowania jednego z plakatów reklamujących koncert Minor Threat. Trzymając w ręku linijkę stwierdził, że jej prosta krawędź jest dobrą metaforą życia członków zespołu.

Pomimo wielu kontrowersji Minor Threat mogli też liczyć na wiele głosów uznania. Grupa stawała się popularna wszędzie tam, gdzie dotarł hardcore. Znaleźli się także naśladowcy, zainspirowani postawą straight edge. W Reno (stan Nevada) powstał zespół 7 Seconds założony przez braci Kevina Seconds i Steve'a Youtha. Już w roku 1980 mieli na koncie swoje pierwsze demo, natomiast dwa lata później ukazało się ich EP „Skins, Brains and Guts". Grupa stała się na przestrzeni lat pionierem wprowadzania do hardcore'u pozytywnych wartości, tworząc nowy nurt – posicore. Postawa zespołu była rozwinięciem hasła promowanego przez jedną z pierwszych kapel grających hc – Bad Brains i ich PMA, czyli pozytywne myślenie. Oprócz tego 7 Seconds propagowali zjednoczenie się środowiska oraz jego solidarność. Sprzeciwiali się natomiast przemocy obecnej na punkowej scenie, a także męskiej dominacji i postawom macho. W pamiętnym utworze „Not Just Boys' Fun" wystąpili przeciwko seksistowskim zachowaniom, jak również podkreślili potrzebę włączania kobiet w scenę hardcore punkową. Mimo że sami nie określali się mianem zespołu straight edge, idea czystego życia nie była im obca. Warto też wspomnieć o wielokrotnie podkreślanym przez kapelę poczuciu młodości – ducha, nie ciała. Hymnem wszystkich tych, którzy nie chcieli „dorosnąć" (czyli porzucić młodzieńczych ideałów, rozpocząć nudnej pracy, ustatkować się i czekać na emeryturę) szybko stał się kawałek „Young 'Till I Die" z płyty „The Crew" z 1984 roku.

W Bostonie utworzyła się silna scena wokół zespołów SSD (Society System Decontrol) i DYS (Department of Youth Services). Wokalista SSD przestał pić, organizował wyłącznie koncerty „all-ages" i zapraszał na nie młodzież, która tłumnie w nich uczestniczyła, odznaczając się namalowanymi na dłoniach wielkimi iksami. Bostońska scena tak szybko się rozrosła, że już w 1982 roku mogła wydać „This is Boston, Not L.A." - składankę utworów promujących kontrkulturę muzyczną tego miasta. SSD (początkowo jako SS Decontrol) szybko zyskali sławę dzięki intensywnym koncertom i prowokacyjnym zachowaniom. W 1982 roku ukazała się ich debiutancka płyta „The Kids Will Have Their Say" z kultową już okładką prezentującą grupkę bostońskich hardcore'owców biegnących po schodach w stronę siedziby władz stanowych Massachusetts. DYS powstało w tym samym roku co SSD, tj. w 1981. Zespół założyli Dave Smalley (wokal) i Jonathan Anastas (bas). Poprzednia grupa Anastasa – Decadence – znalazła się nawet na wspomnianej składance „This Is Boston, Not L.A.". Dwa lata po powstaniu DYS wydali debiutancką płytę „Brotherhood", która, podobnie jak nagrania SSD, stała się kanonem bostońskiego hardcore'u.

Nowe pokolenie punków ze stolicy słynęło z dość brutalnej zabawy na koncertach. Sam Ian przyznawał, że w tamtym czasie zaczęło pojawiać się coś na kształt mentalności gangu. Grupa lokalsów stworzyła swoją własną przestrzeń, do której nie



zamierzali wpuszczać nikogo obcego. Jeśli ktoś taki pojawił się, spotkanie kończyło się zazwyczaj bójką. To samo dotyczyło ochroniarzy pracujących w lokalach, w których odbywały się koncerty hc/p. By rozpętać zadymę, wystarczyło wyrzucić z klubu kogoś, kto należał do ekipy hardcore'owców. Załoganci nie byli jednak agresywni kompletnie bez powodu. Formowanie załóg solidarnych w razie konfliktowych sytuacji było początkowo formą zwiększenia poziomu swojego bezpieczeństwa. Punk rockowcy nie byli bowiem tolerowani przez resztę społeczeństwa. Często dochodziło do pobić ze względu na wygląd czy zachowanie. Ekipa z Bostonu, zainspirowana sceną waszyngtońską, poszła o krok dalej. Pierwsza straight edge'owa załoga z Alem Barilem (gitarzystą SSD) na czele, jako Boston Crew, słynęła z jeszcze większej brutalności. Potrafili np. malować sobie na dłoniach czarne X jako symbol straight edge, a następnie bić w klubie każdego, kto takiego znaku nie miał. Bostoński mosh coraz bardziej przypominał regularną bitwę zamiast zabawy. Miejscowe zespoły coraz częściej podkreślały w swoich kawałkach jedność, braterstwo i lojalność. Agresja panująca na koncertach powodowała, że rzadko uczestniczyły w nich kobiety. Doprowadziło to do powstania stereotypowego obrazu lokalnej sceny – skrajnie brutalnej, inspirowanej ulicznymi gangami, zdominowanej przez młodych, agresywnych mężczyzn, którzy nie tolerowali odmienności. Z czasem Ian MacKaye coraz krytyczniej wypowiadał się na temat ostrego mosha i stage divingu, ze względu wypadki, do jakich mogło dochodzić. Brutalność punkowych gigów nie zamykała się oczywiście tylko w obrębie straight edge'owych załóg. Na Zachodnim Wybrzeżu USA przemoc stała się niemal codziennością. Wiele koncertów było przerywanych przez policję, która traktowała subkulturę punkową na równi z ulicznymi gangami. Środowisko przyciągało agresywne osoby, dla których muzyka była jedynie soundtrackiem do bójek, a nie nośnikiem idei. Z tego powodu część sceny czuła się rozczarowana hardcore'em i kierunkiem, jaki obrał.

Druga fala sXe – Youth Crew

W połowie lat 80. pojawiły się zespoły Youth of Today (Danbury), Gorilla Biscuits (Nowy Jork), Judge (Nowy Jork), Bold (Katonah), Chain of Strength (Południowa California), Uniform Choice (Orange County) i Slapshot (Boston). Grały one nieco cięższej niż pierwsza fala hardcore'u. W warstwie tekstowej skupiły się natomiast głównie na promowaniu całkowitej rezygnacji z alkoholu, papierosów i narkotyków, a także na sprzeciwie wobec przemocy i przypadkowych kontaktów seksualnych. Ludzie zaangażowani w te grupy uważali, że nie ma nic rewolucyjnego w powielaniu tego typu zachowań, skoro są one popularne nie tylko w obrębie subkultury punk, ale i wśród młodzieży niezwiązanej z jakąkolwiek kontrkulturą. Tak Ray Cappo, lider Youth of Today, wspomina swoje początki w kontrkulturze: „Zainteresowałem się punkiem, bo chciałem być inny niż koledzy ze szkoły. (...) Po prostu chciałem być inny, a ich obchodziły tylko imprezy i rock'n'roll, kiepski metal i acid rock z lat 70., Led Zeppelin i AC/DC. Nienawidziłem tego. Myślałem sobie: Nie chcę w czymkolwiek przypominać tych ludzi. Nie chcę (...) mieć ich małomiasteczkowej mentalności. (...) Gdy miałem 14 lat, stwierdziłem, że będę jeździł w weekendy [do Nowego Jorku]. Razem z kilkoma kolegami (...) odkryliśmy klub CBGB's. Zaczęliśmy tam chodzić na koncerty punkowe. I uświadomiłem sobie, że punki to banda brudasów, ćpunów, palaczy i pijaków. (...) To miała być dla mnie alternatywa. Wtedy usłyszałem piosenkę Straight Edge. Pomyślałem: To o mnie". W 1985 roku Youth of Today wydali album „Can't Close My Eyes", na którym znalazła się piosenka „Youth Crew". Utwór nawoływał młodzież zafascynowaną straight edge do zjednoczenia się w oddolny ruch. Wtedy to zaczęły tworzyć się załogi (ang. crew), czyli grupy reprezentujące kolejne miasta. Zawiązywały się też kolejne zespoły, które nie tylko promowały abstynencję, ale także wspólnotę całego środowiska i braterstwo jej członków. Kanonem zrodzonego podgatunku hardcore'u stało się również nawiązywanie do młodości, rozumianej jako naturalność, uczciwość, wzmożona aktywność, ideowość. Uczestnicy ruchu zostali ochrzczeni nawet mianem „hardcore kids", niezależnie od ich faktycznego wieku.

Krótkim, ale znaczącym rozdziałem była aktywność zespołu Project X. W skład grupy wchodzili członkowie Youth of Today, Gorilla Biscuits, Side by Side i Judge. Zdążyli nagrać jedynie jeden minialbum wydany w 1987 roku i zawierający absolutny klasyk gatunku – kawałek pt. „Straight Edge Revenge". Płyta została nagrana po tym, jak teksty napisane przez Johna Porcelly z YoT (specjalnie dla tego zespołu) zostały odrzucone. Powodem było ich „zbyt bojowe nastawienie". Grupa zagrała kilka koncertów, po czym zakończyła swoją działalność.

Istotnym wydawnictwem dla późniejszego kształtu ruchu straight edge była płyta Youth of Today z 1988 roku pt. „We're Not In This Alone". Znalazł się tam bowiem utwór „No More", nawołujący do porzucenia spożywania mięsa.

Według Raya Cappo, wokalisty zespołu i autora tekstów, konsumpcja produktów mięsnych, a co za tym idzie – przyczynianie się do cierpienia zwierząt, jest wyrazem „egoizmu społeczeństwa". Takie stanowisko wiązało się z jego osobistymi przekonaniami. Zainspirowany kulturą Wschodu, w tym religią Hare Krishna, przeszedł na wegetarianizm. Grupa zmontowała nawet niskobudżetowy wideoklip promujący „No More", składający się w dużej części z ujęć przedstawiających pracę w rzeźni, udostępnionych przez PETA. Widoczny był też na nim popularny slogan „Meat is murder" (Mięso to morderstwo). Stacje muzyczne odmówiły jednak emitowania teledysku ze względu na brutalność zamieszczonych w nim materiałów. Od tamtej pory promowanie diety bezmięsnej stało się ważnym elementem kultury straight edge, a temat wegetarianizmu wszedł na stałe do przekazu zespołów spod znaku youth crew. Zwiększająca się empatia członków ruchu i świadomość na temat funkcjonowania przemysłu mięsnego wiązały się z rosnącym poparciem dla idei wyzwolenia zwierząt i respektowania ich prawa do życia. Troska o środowisko naturalne przypominało w swojej wymowie ruch anarchopunkowy. Jednak prawdziwy szczyt popularności koncepcji łączącej „czyste życie" z szanowaniem praw wszelkich istot żywych miał dopiero nastąpić w pierwszej połowie lat 90.

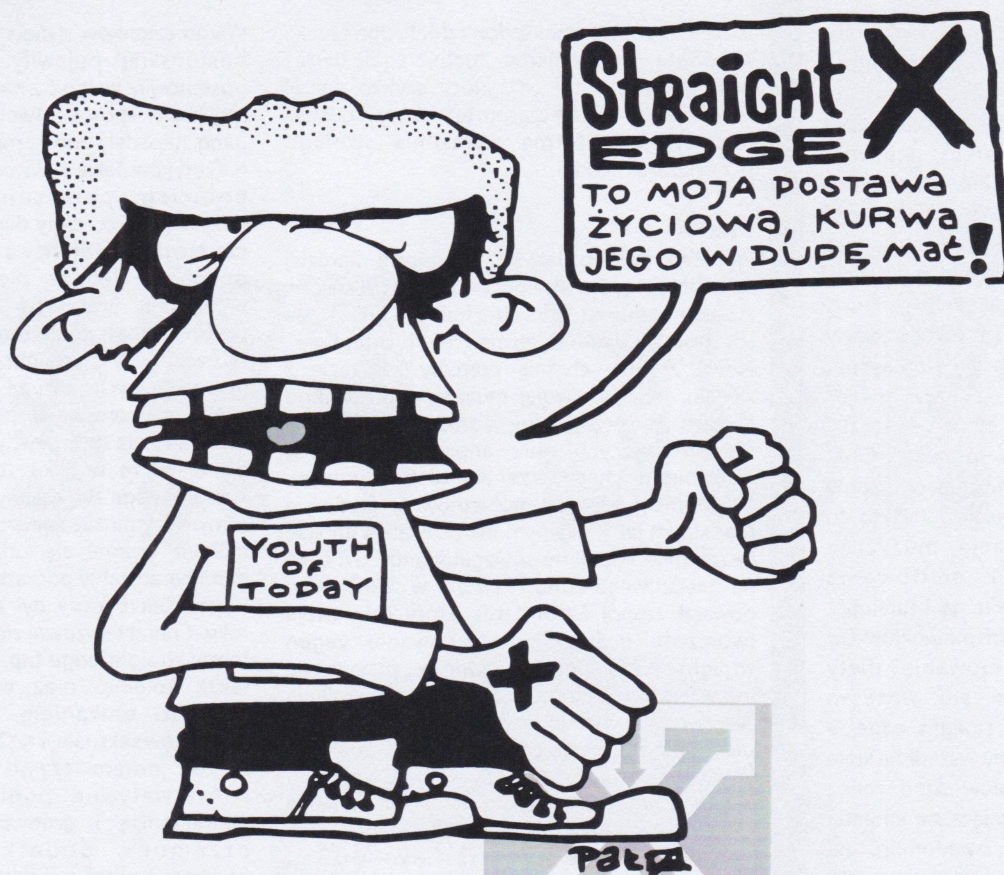
Nurt youth crew wypromował także charakterystyczny wizerunek. Podobnie jak pozostali hardcore'owcy zwolennicy straight edge odeszli od szokowania społeczeństwa ekstrawaganckim wyglądem, co było domeną brytyjskich punk rockowców. Popularne stały się ubrania sportowe, college'owe bluzy, krótko przystrzyżone włosy. W tym okresie powstała też specyficzna symbolika. Nazwę ruchu zaczęto zapisywać używając skrótu sXe – gdzie litery „s" i „e" oznaczają „straight edge", a duże „X" to nawiązanie do iksów malowanych na dłoniach przez straight edge'owców podczas koncertów. Rozpowszechniono również symbol „XXX", nawiązując do okładki składanki muzycznej pt. „Flex Your Head" wydanej przez Dischord Records. Na froncie płyty znajdowała się bowiem przekształcona flaga Dystryktu Kolumbii (Waszyngtonu). Flaga w oryginale zawiera symboliczne trzy gwiazdy i dwa poziome pasy. Natomiast Ian MacKaye na swoim wydawnictwie zamienił gwiazdy na iksy. Potocznie przyjęło się także, że każdy z trzech znaków „X" odpowiada jednemu z wersów utworu „Out of Step", tzn. „Don't smoke, don't drink, don't fuck". Aprobatę uczestników ruchu znalazł też pojedynczy symbol „X", który szybko zaczął zdobić ich odzież, a z czasem też i skórę w postaci tatuaży, jako forma wyrażenia swojego przywiązania do idei.

Lata 90.

Pierwsza połowa lat 90. przyniosła bardziej radykalną odsłonę straight edge – muzycznie i w zakresie przekazu. Upowszechniły się takie hasła jak „True Till Death", „Poison Free" i „Drug Free". Nowe zespoły chętnie czerpały inspiracje z metalu, nadając swojej muzyce dodatkowego ciężaru w brzmieniu. Coraz więcej ludzi reprezentujących nurt angażowało się w działania o charakterze alterglobalistycznym. Świadomość licznych problemów na poziomie globalnym jak i lokalnym nie pozwalała im stać bezczynnie. Popularność wegetarianizmu malała na rzecz weganizmu. Jeszcze w 1989 roku powstał zespół Earth Crisis, który całą swoją twórczość poświęcił propagowaniu vegan straight edge. Teksty utworów przeważnie mówiły o konieczności zakończenia cierpienia zwierząt, wyzwoleniu ich z ferm, rzeźni, cyrków, sal doświadczalnych, położeniu kresu destrukcji środowiska naturalnego, jak również o negatywnym wpływie alkoholu i narkotyków na ludzkie życie. Muzycy popierali alterglobalistów i ich akcje wymierzone przeciwko wielkim korporacjom odpowiedzialnym za zanieczyszczanie środowiska (np. bojkot wybranych firm, protesty, rozpowszechnianie o nich informacji, a nawet niszczenie ich mienia), do tego opowiadali się przeciw fermom futrzarskim oraz innym sposobom zniewolenia i wykorzystywania zwierząt. Część osób utożsamiających się z odłamem vegan straight edge (w skrócie xVx) nawiązała kontakt z grupą ALF (Animal Liberation Front). ALF został oficjalnie uznany przez rząd USA za organizację terrorystyczną, a wielu jej członków odbywa karę pozbawienia wolności. Jak mówi wokalista Earth Crisis, Karl Buechner: „Prawdziwi obrońcy zwierząt podejmują radykalne działania i, mimo że nazywani są terrorystami, dla mnie są bohaterami. We wczesnych latach 90. media głównego nurtu starały się nie dopuścić do tego, by ktokolwiek usłyszał o animalistycznych organizacjach. Nie można było dowiedzieć się o nich z telewizji, radia czy prasy. Tymczasem one cały czas pomagały zwierzętom i krzyżowały szyki wielkiemu biznesowi, odpowiedzialnemu za cierpienia żywych istot. Staraliśmy się więc z Earth Crisis nagłośnić działalność tych ruchów, uświadomić ludziom ich istnienie". Sam zespół miał dość „wojownicze" nastawienie do tego problemu. Wielokrotnie podkreślał konieczność rewolucji i podjęcia stanowczych kroków w celu poprawy sytuacji zarówno zwierząt, jak i ludzi (np. w utworze „To Ashes" z albumu „To The Death" grupa stanęła w obronie Waltera Bonda oskarżonego o podpalenie laboratorium, w którym handlarze narkotyków wytwarzali metamfetaminę).

Od początku lat 90. powoli kształtował się najbardziej kontrowersyjny odłam ruchu straight edge – będący w opozycji do posicore'u – militant straight edge. W obrębie sceny hardcore utworzyło się wiele załóg, które traktowały ideały czystości nie jako swój osobisty wybór, ale jako misję polegającą na zmianie świata na lepsze, najczęściej przez bezpardonową walkę. Wśród członków słynącej z brutalności sceny bostońskiej pojawiły się osoby, które postanowiły walczyć z narkotykami w bardziej radykalny sposób. Tworząc swego rodzaju gang, napadały one na miejscowych handlarzy narkotyków. Takie ataki najczęściej kończyły się pobiciem połączonym z kradzieżą wszystkiego, co dany diler miał przy sobie. Z czasem dochodziły nowe osoby chcące działać podobnie. Jednak pierwotna koncepcja zwalczania problemu narkomanii została przeinaczona i coraz częściej dochodziło do sytuacji, kiedy to straight edge'owcy atakowali przypadkowych ludzi za picie alkoholu bądź palenie papierosów w miejscach publicznych. Sytuacja stała się w pewnym momencie na tyle poważna, że w kilku stanach USA uznano straight edge za kolejny gang uliczny, tym samym kryminalizując grupę. W obrębie nurtu militant wyłonił się odłam hardline. Ruch hardline został zapoczątkowany przez zespół Vegan Reich, który był aktywny już w 1988 roku. Charakteryzował się przyjęciem skrajnej formy straight edge (np. za narkotyk uznano także kofeinę) oraz wegańskiej diety, a ponadto unikaniem przedmałżeńskich stosunków seksualnych. Osoby zaangażowane w ten odłam często podzielały silnie konserwatywne poglądy, wykazywały nietolerancję i gotowość do stosowania przemocy, dodatkowo potępiały homoseksualistów i aborcję (opcja pro-life). Wiązanie przemocy z filozofią czystości było wielokrotnie krytykowane przez scenę hardcore. Russ Rankin, wokalista punkowej grupy Good Riddance, wieloletni straight edge'owiec i weganin, opisuje ten problem następująco: „Większość ludzi w moim wieku już nie mówi o sobie straight edge, bo czują związane z tym piętno, którego wcześniej nie było. Kiedy zaczynałem w straight edge, istniały załogi, ale to było głupstwo. Teraz nie jest. Teraz na każdym koncercie są bijatyki. I o co? Bo ktoś jest z innej dzielnicy albo ma niewłaściwe ubranie. (...) Większość ludzi odpowiedzialnych za to piętno nie jest straight edge zbyt długo. Więc cały ruch, cały styl życia jest szargany przez ludzi, których zaangażowanie od początku było słabe".

Swoistą przeciwwagą dla brutalności i skrajnie rozumianych zasad straight edge był (oprócz pozytywnego hardcore'u reprezentowanego przez 7 Seconds) krishnacore, propagujący duchowość w ramach hinduistycznej religii Hare Krishna wywodzącej się z Bengalu Zachodniego. Nurt ten spopularyzowali Ray Cappo i John Porcelly, którzy po zakończeniu działalności Youth of Today w 1990 roku założyli zespół Shelter. „Kiedy YoT było u szczytu sławy, pojechałem do Indii, żeby na 6 lat zostać mnichem. Pisałem więc piosenki o zasadach duchowych i założyłem zespół Shelter" – wspomina Cappo. Członkowie grupy postrzegali sXe jako głębszy nurt o podłożu filozoficznym, prawdziwe zasady i podstawy duchowe. Nie zgadzali się z mechanizmem radzenia sobie ze stresem poprzez zmianę świadomości w wyniku działania alkoholu bądź narkotyków. Takie formy aktywności uważali za uciekanie od własnych emocji, którym każdy człowiek powinien stawić czoła. Istotną kwestią jest to, czy dany sposób zwalczania negatywnych odczuć prowadzi do dalszego rozwoju, czy też



może powoli sam staje się problemem. Zespół promował również techniki relaksacyjne oparte na jodze, której towarzyszy odmawianie mantry. Scena krishnacore'owa rozrosła się dość szybko, wzbogacona o takie grupy jak Cro-Mags i 108, a później Run Devil Run, Refuse To Fall i wiele innych. Zespoły te były połączone wspólną filozofią i podobnym przekazem, lecz brzmieniowo bardzo się różniły. Shelter prezentował melodyjny hardcore, natomiast np. Cro-Mags stworzyli fuzję hardcore punka z trash metalem. Za głównego propagatora krishnacore'u można uznać założoną w 1990 roku przez Cappo niezależną wytwórnię płytową Equal Vision Records. Oprócz pozytywnych, uduchowionych zespołów istniał także nurt straight edge pamiętający o lewicowych korzeniach punka i mający liberalne podejście w takich kwestiach jak homoseksualizm czy aborcja (opcja pro-choice).

Początek lat 90. to czas, gdy idea straight edge rozprzestrzeniła się globalnie. Sceny sXe powstawały już nie tylko w kolejnych zakątkach Stanów Zjednoczonych, ale także w Europie, Ameryce Południowej, a nawet Azji. Europejskim pionierem był duński zespół Lärm, który powstał jeszcze w 1981 roku. Jednak prawdziwą popularność ruch zyskał właśnie w kolejnym dziesięcioleciu. Pojawiły się takie zespoły jak Manliftingbanner (Dania), Crucial Response (Niemcy), Nations on Fire (Belgia), Blindfold (Belgia), Clear Heads (Brazylia), Personal Choice (Brazylia), X-Acto (Portugalia), Nekhei Naatza (Izrael), Silencio Absoluto (Chile). Na oddzielną uwagę zasługuje scena, jaka powstała w szwedzkim mieście Umea. Swoją działalność rozpoczęły grupy Refused, Abhinanda, Final Exit, Doughnuts i Step Forward, które skonsolidowały tamtejsze środowisko wokół lewicowej polityki, weganizmu, walki o prawa zwierząt i stylu życia straight edge. Dalszy rozwój subkultury w Szwecji wspierały niezależnie działające wytwórnie płytowe Umea Hardcore Records, Desperate Rec., Bad Taste Rec. oraz Burning Heart Rec. W 1991 roku swoją działalność rozpoczął zespół Refused, który odniósł ogólnoświatowy sukces, a ich album „The Shape of Punk to Come" z 1998 roku do dziś uznawany jest za jedno z najważniejszych wydawnictw hardcore'u. W swej twórczości łączyli eksperymentalne brzmienie i radykalnie lewicowy, antykapitalistyczny przekaz.

Pierwszym polskim zespołem świadomie odnoszącym się do idei straight edge była krakowska Ustawa o Młodzieży, założona w 1985 roku. Wokalista grupy, Petar, promował abstynencję oraz weganizm na polskiej scenie punk rockowej, co spotkało się z dużym zaskoczeniem środowiska będącego w dalszym ciągu pod wpływem nihilizmu. Jednak większy odzew na nową filozofię miał miejsce dzięki zespołowi Cymeon X z Poznania, założonemu przez Adama Szulca (perkusja) i Macieja Kalarusa (gitara basowa). Ich zainteresowanie stylem straight edge i wegetarianizmem wzięło się z artykułów w polskich punkowych zinach, które prezentowały nowinki ze sceny amerykańskiej. Po długich poszukiwaniach innych muzyków z podobnymi ideami grupa dopełniła swój skład i zadebiutowała w 1992 roku płytą „Wygrać swoje życie". Był to pierwszy polski zespół, w którym nikt nie pił i nie spożywał mięsa. Zespół wydał drugi album pt. „Free your mind, free your body" w 1993 roku, po czym zakończył działalność. Do tego czasu idea straight edge stała się dość popularna w polskim środowisku alternatywnym. Dla ówczesnych załogantów wybór diety bezmięsnej był czymś niemalże oczywistym, podobnie udział w różnego rodzaju akcjach antyfaszystowskich, prozwierzęcych, anarchistycznych. W pewnym momencie na polski grunt trafiła nacechowana konserwatyzmem, radykalniejsza odsłona sXe – hardline. Doszło nawet do tego, że przez okres ok. 2 lat większość straight edge'owców opowiadała się za krytyką homoseksualizmu, aborcji, feminizmu, co doprowadzało do licznych konfliktów i dyskusji w obrębie sceny. Pod koniec lat 90. postawa hardline straciła swoją popularność.

Warto też wspomnieć o pierwszej polskiej wytwórni płytowej promującej wartości sXe, Refuse Records, założonej w 1993 roku przez Roberta Matusiaka i funkcjonującej do dziś. Wszystko zaczęło się od chęci aktywnego uczestnictwa na scenie hc/punk poprzez tworzenie zinów, rozpowszechnianie nagrań i organizowanie koncertów. W roku 1995 pojawił się pomysł przekształcenia inicjatywy na wytwórnię płytową opartą o etykę DIY i wydającą zaprzyjaźnione lokalne zespoły. Do pierwszych wydawnictw, jakie ukazały się za pośrednictwem Refuse Records, należały m.in. nagrania zespołów: Cymeon X, Kto Ukradł Ciastka i Złodzieje Rowerów. Złodzieje Rowerów, mimo że nie przyjmowali etykiety zespołu straight edge, nawiązywali do tej idei, część członków grupy identyfikowała się z nią zresztą. Natomiast postawa całej kapeli bardziej skupiała się na wolności od narkotyków. Mieszając zaangażowanego politycznie hardcore punka z emo, stworzyli nową jakość na polskiej scenie i szybko stali się jej ważnym punktem. Poprzez swoją muzykę promowali antyrasizm, antyfaszyzm, wegetarianizm, szczerość

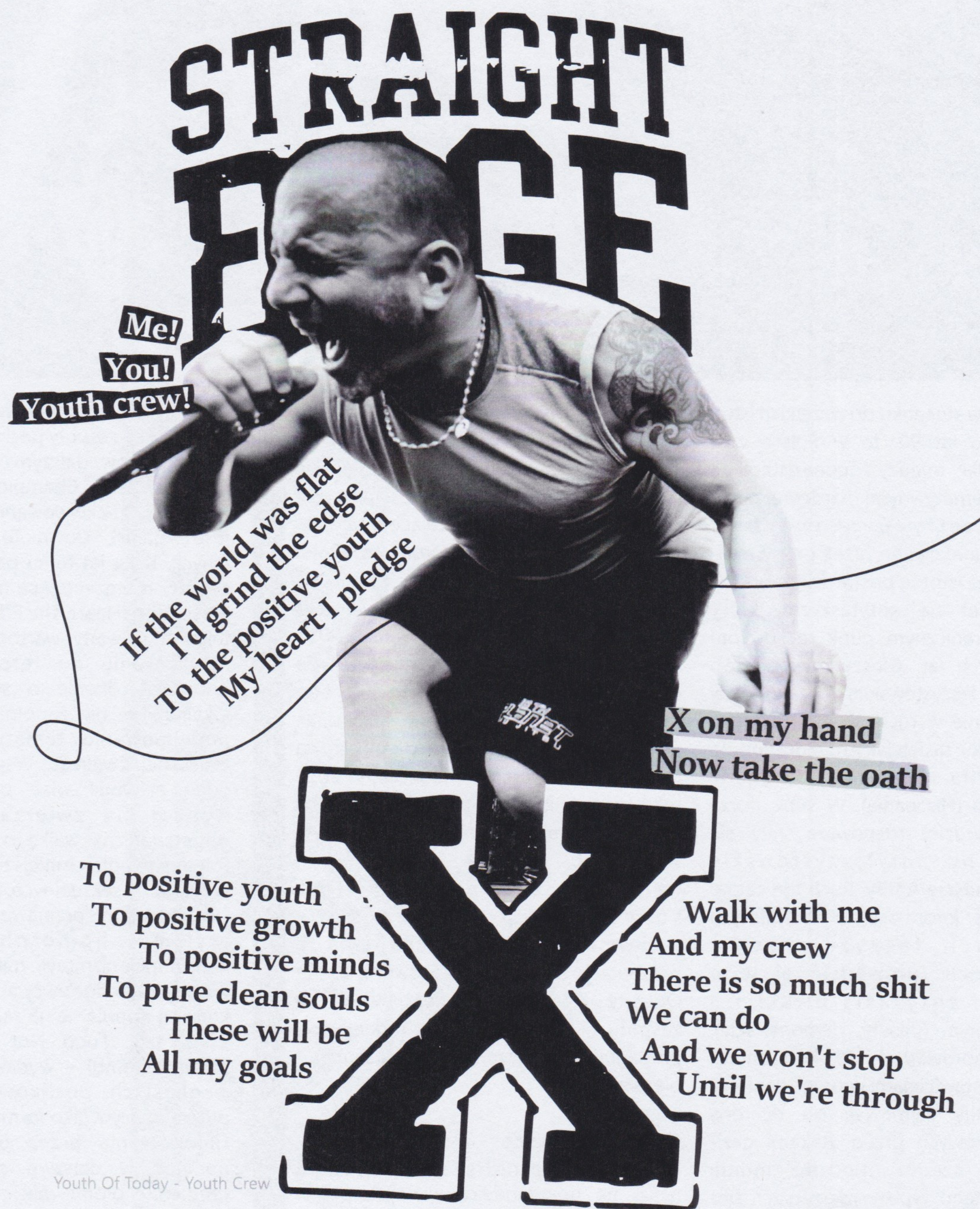


emocji, empatię w stosunku do wszelkich istot. Pierwsza połowa lat 90. to w Polsce czas wzmożonej walki między neonazistami a subkulturami alternatywnymi (hardcore, punk, metal). Koncerty punkowe były niejednokrotnie atakowane przez grupy naziskinów. Wtedy też istotną postawą jednoczącą kontrkulturę stał się antyfaszyzm, który towarzyszył zagranicznym punk rockowcom już od wczesnych lat. Głoszenie sprzeciwu wobec ideologii faszystowskiej i nazistowskiej ma swoje korzenie w ruchach lewicowych z początku XX wieku, takich jak Arditi del Popolo (Włochy), Antifa (Niemcy) i Brygady Międzynarodowe (Hiszpania). W subkulturze punkowej najbardziej rozpowszechniły się oddolne ruchy antyfaszystowskie kontynuujące tradycję Antify. Ruch ten zaczął rozpowszechniać informacje o działających organizacjach faszyzujących i neonazistowskich, prowadzić akcje o charakterze antyrasistowskim i antyhomofobicznym (pikiety, demonstracje), jak również doprowadzał do konfrontacji fizycznej z przedstawicielami wrogiej ideologii. Członkowie Antify zajmowali się ochroną koncertów punkowych przed atakami naziskinów, dzięki czemu młodzież mogła uczestniczyć w tego typu wydarzeniach bez obawy o swoje zdrowie i życie. Od tamtej pory postawa antyfaszystowska stała się nieodłącznym elementem hc/punka. Akcja antyfaszystowska działa na zasadach oddolnego ruchu, bez hierarchicznej struktury i centrali. Lokalnie działające grupy są od siebie niezależne i cechują się pełną autonomią. Oprócz walki ze skrajną prawicą i wszelkimi przejawami dyskryminacji aktywiści Antify biorą też udział np. w blokadach eksmisji. W późniejszym okresie zaczęły pojawiać się także inne kapele określające się mianem sXe lub sympatyzujące z tą ideą, np. Awake, Angelreich, Iron To Gold, Regres, ThugxLife, Outbound, Pain Runs Deep, Pure, Respect, Sunrise, X's Always Win, Vicious Reality i inne. W roku 2011 Cymeon X reaktywował się, w międzyczasie osiągając miano kultowej grupy. Tego samego roku wydał album „Pokonać Samego Siebie" i ruszył w trasę koncertową po Polsce z Regresem i ThugxLife. W 2014 roku wydał kolejną płytę pt. „Animal Friendly", której tematem przewodnim była walka o prawa zwierząt i wegetarianizm/weganizm. Trasa koncertowa promująca nowe wydawnictwo wzbogacona była o prezentacje i wykłady Stowarzyszenia Otwarte Klatki oraz byłego wokalisty zespołu – Dominika Włodarkiewicza, propagującego łączenie diety roślinnej z bieganiem.

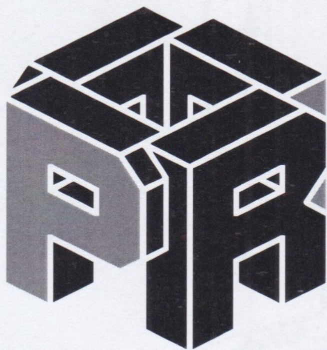
Czasy współczesne

Na przestrzeni lat ruch straight edge stracił nieco na popularności, wiele zespołów aktywnych w latach 90. rozpadło się, a ich członkowie niejednokrotnie odeszli od idei życia bez używek. Nurt hardline przestał w zasadzie istnieć, ograniczając się do pojedynczych przypadków, zaś gangi straight edge'owe w większości ograniczyły swoje działania. Jednak to nie oznacza, że sXe zaniknął. Obecnie dominującym nurtem ruchu jest ten promujący pozytywne wartości, z którymi związane są zespoły posicore'owe, np. Good Clean Fun, w dalszym ciągu istniejące 7 Seconds, Bane, Champion, H2O, xLooking Forwardx, reaktywowane Gorilla Biscuits, Rise Against, Down To Nothing i wiele innych. Kilka lat temu popularność zyskały zespoły reprezentujące modern hardcore – Verse, Have Heart, The Effort, które w swoich tekstach zawarły wartości humanistyczne, nawoływanie do respektowania praw człowieka, dbanie o swoją społeczność lokalną itp., nie zapominając przy tym o podejmowaniu tematyki uzależnień i cierpienia zwierząt. Współczesny straight edge promuje więc pełną abstynencję, wyzwolenie zwierząt, weganizm i wegetarianizm, walkę o prawa człowieka, tolerancję dla mniejszości narodowych, religijnych i seksualnych, do tego sprzeciwia się wszelkim przejawom dyskryminacji, rasizmu, homofobii, przemocy, konsumpcjonizmowi, militaryzacji państwa itp. Straight edge'owcy angażują się w akcje, które są popularne na całej scenie hardcore punk, tzn.: Food Not Bombs (Jedzenie Zamiast Bomb) – wydawanie darmowych, wegańskich posiłków bezdomnym i potrzebującym jako forma sprzeciwu wobec finansowania przez państwo zbrojeń, pomimo w dalszym ciągu istniejącego problemu głodu; akcje świadomościowe (demonstracje, wykłady, prelekcje, wyświetlanie filmów) uwrażliwiające na przykłady niesprawiedliwości na świecie, organizacja koncertów (często o charakterze charytatywnym), promocja ekologicznego stylu życia, akcje animalistyczne (bojkot korporacji testujących swoje produkty na zwierzętach, zbiórki pieniędzy, pokarmu, koców dla schronisk) oraz działalność

antyfaszystowska w ramach Antify. Straight edge, początkowo jako jedynie indywidualna postawa, zmienił się w ruch kontrkulturowy, istniejący w ramach subkultury hardcore punkowej i działający na całym świecie. Przeszedł wiele zmian i modyfikacji, by w dalszym ciągu, po ponad 30 latach od powstania, inspirować młodzież. Pomimo licznych kontrowersji i nadinterpretacji jego zasad, istnieje wiele świadectw dotyczących tego, jak ta idea pomogła ludziom w walce z uzależnieniami (własnymi bądź członków najbliższego otoczenia), nadała cel życiu, zachęciła do większego aktywizmu w sprawy społeczne i polityczne. Wypromowała także zdrowszy tryb życia oraz świadome odżywianie się. Wbrew pamiętającemu jeszcze lata 90. stereotypowi agresywnego i bojowo nastawionego straight edge'owca liczne badania pokazują, że zdecydowana większość wyznawców filozofii to pokojowo nastawieni ludzie. W obecnej formie ruch wyraźnie podkreśla potrzebę tolerancji, zwalczania stereotypów, ignorancji i uprzedzeń. *Marcin*



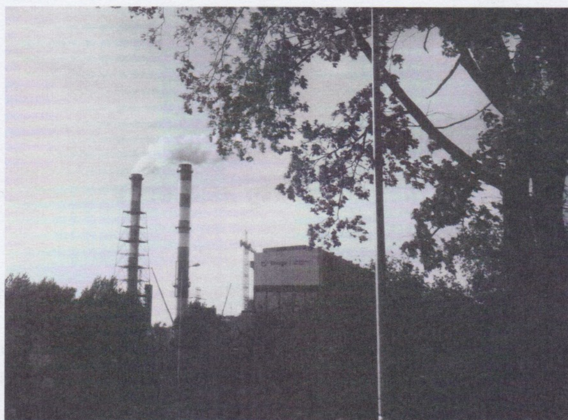
Youth Of Today - Youth Crew

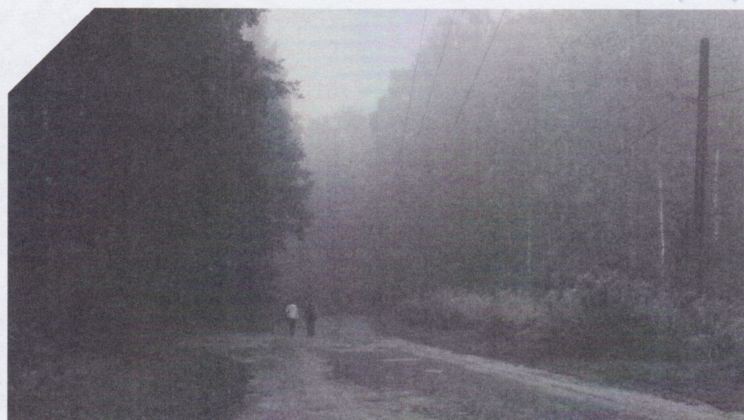


Ludzie wychowywani według jednego wzoru, wszyscy w gruncie rzeczy tacy sami, choć przecież z innymi historiami. Odstając od tego, skazujemy się nierzadko na ostracyzm, w najlepszym wypadku dostajemy łatkę „dziwaka", w najgorszym dostajemy z pięści.

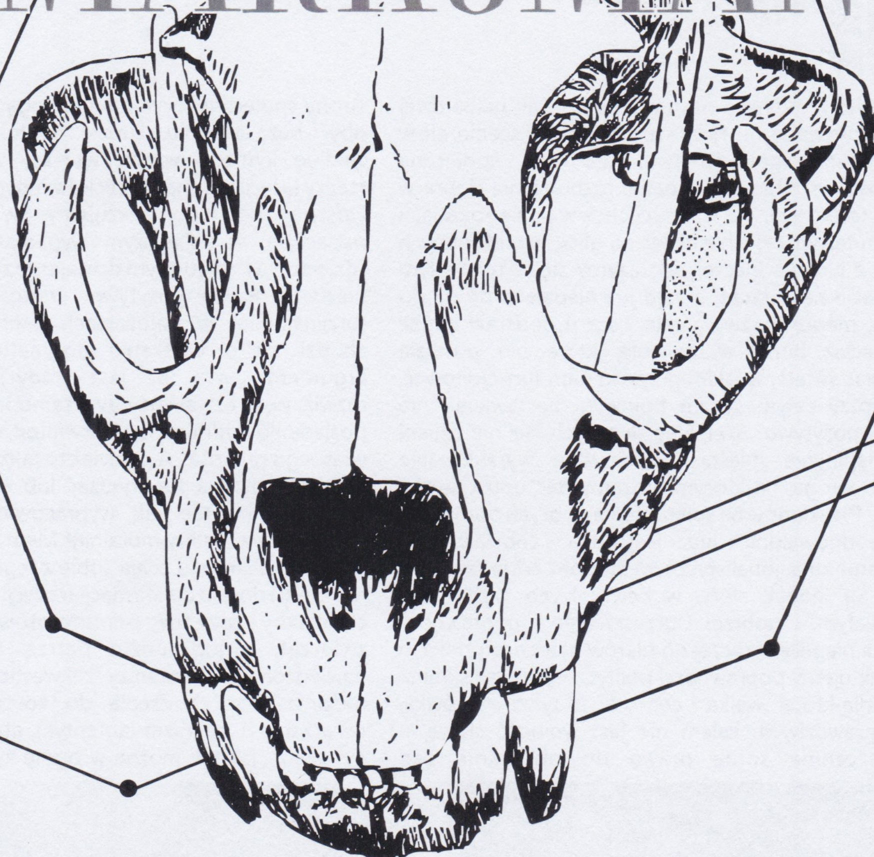
■ **Tradycja.** Pozytywne nastawienie jest jak najbardziej słuszne i potrzebne, nie tylko szeroko pojętej scenie, ale w ogóle całemu społeczeństwu. Szacunek, społeczna solidarność, współpraca, empatia, rozbudzanie dobra w ludziach, tolerancja – te wartości chcę w sobie rozwijać i chciałbym też więcej ich widzieć na ulicy, w codziennych relacjach z ludźmi. Inaczej pogrążymy się w tym całym bagnie, jakie nas otacza, a stąd już niedaleka droga do nihilizmu, marazmu, zwątpienia. Lecz u podstaw punka leży przecież bunt. Wkurwienie, które nie pozwala akceptować świata, w jakim przyszło nam funkcjonować. Ale czy przy całym swoim bojowym nastawieniu nie zatracimy pozytywu? Szerzenie słusznych idei nie zmieni się w napinanie mięśni i bezmyślne wyszukiwanie kolejnego wroga, na którym możemy dać upust swojej frustracji? Przykładów na spierdolenie dobrych pomysłów przez nieodpowiednich ludzi jest dużo – chociażby ten cały kabaret z nacjonalistycznym straight edge (że co w ogóle?). Są jednak sfery, wobec których ciężko być wyrozumiałym. I dobrze! Ugrzecznienie i poprawność polityczna nie należą raczej do filarów hardcore/punka, o ile nie traktujemy poprawności politycznej tak jak skrajna prawica, dla której „walka z cenzurą" to tylko wymówka, zaś ich prawdziwym celem nie jest wolność słowa, a przywłaszczenie sobie prawa do obrażania bez konsekwencji każdego, kto nie pasuje do wizji „prawego człowieka".

Co więc budzi we mnie odrazę i nienawiść? Dużo tego, ale szukając przyczyn wielu negatywnych zjawisk i postaw w społeczeństwie, docieram do jednego – tradycji. Oczywiście to jest pewne uproszczenie z mojej strony, wielkich korporacji na przykład nie interesuje przecież żadna tradycja, a jedynie chęć zysku, niezależnie od wyrządzanych przy tym szkód, np. w środowisku naturalnym. Chodzi mi bardziej o mikrokosmos – nasze lokalne otoczenie. Z pozoru są to sprawy błahe, ale potrafią nieźle napsuć krwi. No więc tradycja, normy, wartości, zwyczaje przekazywane nam od najmłodszych lat jako obowiązujący, normalny stan rzeczy. Z jednej strony szkolne wpajanie miłości do ojczyzny, poszanowania symboli narodowych, obchodzenia świąt państwowych i kościelnych, a na katechezie i w kościele nauka o bogu, czczenie go i „poddawanie się jego woli". Z drugiej zaś strony społeczne zwyczaje niemogące się obyć bez alkoholu. Ludzie wychowywani według jednego wzoru, wszyscy w gruncie rzeczy tacy sami, choć przecież z innymi historiami. Odstając od tego, skazujemy się nierzadko na ostracyzm, w najlepszym wypadku dostajemy łatkę „dziwaka", w najgorszym dostajemy z pięści. Fakt, tradycja niesie też Pewne pozytywne wartości, tak samo religia (przynajmniej w założeniach teoretycznych). Jednak chodzi mi o wciskanie dogmatowości, jakby sam argument „taka już jest tradycja" miał wszystko rozwiązywać i zwalniać nas z samodzielnego myślenia, a posiadanie odmiennego światopoglądu to „kalanie własnego gniazda". A przecież to także jest wytwór ludzki, z którym można się zgadzać lub nie (pomijam tu tak oczywiste kwestie jak wypracowane przez ludzkość podstawowe zasady moralne)! Mam wrażenie, że wielu z tzw. normalsów nie zdaje sobie z tego sprawy. Tak zostali nauczeni i doszło do afirmacji tradycji. Wystarczy wystąpić chociażby przeciw przedmiotowemu traktowaniu zwierząt, a już ludzie patrzą na ciebie jak na nawiedzonego, wystarczy zakwestionować we własnej rodzinie sens chodzenia do kościoła – pojawią się oskarżenia o satanizm (autentyk), abstynencję zaatakują pytaniem „jak tak można w ogóle żyć?", inna orientacja płciowa będzie dalej dziwić i obrzydzać, młodzi chłopcy będą wychowywani na „męskich" poprzez przyzwolenie na „tradycyjne" traktowanie kobiet (czyt. lekceważące, seksistowskie itd). Uważam, że naszym wręcz obowiązkiem jest krytyczne spojrzenie na to, jak wychowuje się kolejne pokolenia i co się im wpaja. To, że coś było kultywowane bądź wyznawane przez ileś tam pokoleń, wcale nie kładzie na naszych barkach obowiązku przestrzegania tego. Może nie zmienimy świata, ale (wiem, to banał) uda nam się nanieść jakieś zmiany, nawet minimalne, w naszym otoczeniu, przyzwyczajając ludzi wokół do inności i naginania tego, co do tej pory było nienaruszalne. Cały ten tekst to w moim odczuciu powtarzanie po raz setny oczywistych rzeczy, lecz wystarczy, że porozglądam się wokół siebie, spojrzę na znajomych, rodzinę i widzę, że to jest niestety wciąż Aktualne. A widok punka w McDonald's, czy opowiadającego rasistowskie/homofobiczne żarty to znak, że warto też Przekonywać "przekonanych". *Marcin*





MARKSMAN



To są emocje naszej generacji, która zastanawia się nad tym, w jakim kierunku zmierzamy. Chcemy pogodzić nasze życie osobiste z większą misją naprawiania świata i niestety zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy na to zbyt mali.

■ Obok dokonań tego kwartetu nie sposób przejść obojętnie. Wyróżnia ich umiejętność tworzenia nietuzinkowych kompozycji nasyconych emocjami i odpowiednio zbudowanym klimatem. Szczera energia wymykająca się tradycyjnemu rozumieniu konwencji hardcore/punkowej. Od dawna chciałem, aby zagościli na łamach tego zina i teraz jest ku temu sposobność. Na pytania odpowiadał Przemek (bębny) i Kuba (wokal).

Diaboliq: Ciekawi mnie geneza nazwy. Marskman to po prostu fajne, chwytliwe słowo czy jest jakieś głębsze znaczenie?
Przemek: Niestety muszę cię rozczarować, geneza jest dość płytka. Na początku istnienia zespołu po pierwszych próbach Kuba wysłał swoją propozycję wokali i plik nazywał się "marksman – man with no mark". Nazwa wszystkim siadła bez wchodzenia w szczegóły i tak została.

D: To, co gracie, najczęściej określa się jako modern/posthardcore. Dlaczego akurat taki pomysł na granie?
Przemek: Nigdy nie rozmawialiśmy o zespole w kontekście grania jak inny zespół czy w konkretnej stylistyce. To jest raczej wynik konfrontacji czterech osób wokół konwencji, którą obraliśmy. Ta konwencja to punkowe bębny, dużo przesterów i wkurwiony Kuba. Nie spieram się odnośnie szufladek, różnie nas klasyfikują, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

D: Akurat te szufladki w dużej mierze sugerują, że muzyka wymyka się sztampowemu podejściu. To dlatego, że tradycyjny hardcore wypalił się, a muzyka naturalnie ewoluuje w kierunku innych form wyrazu?
Przemek: Powiedz to kolesiom z Goverment Flu czy Iron To Gold, że tradycyjny hardcore się wypalił (śmiech). Mody na pewne rzeczy dotykają również to środowisko, mówiąc w kontekście globalnym. Myślę, że to przenikanie się stylów i form wyrazu to właśnie hardcore punk, który ewoluuje na przestrzeni lat w różne strony. Kiedy wymyślono to określenie, rzeczywiście były to zespoły, które tak naprawdę ciężko było zaklasyfikować, bo muzyka wychodziła inspiracjami czasem daleko poza hardcore punk w tradycyjnym rozumieniu. Dzisiaj co drugi zespół określany jako "post" czy tam "modern" szukając wyrazu, eksploruje tak namiętnie, że pewne idee schodzą na dalszy plan i to, co tak naprawdę charakteryzuje to środowisko, przestaje mieć znaczenie. Bardzo cenię zespoły, które prócz tego, co grają, starają się przekazać jakąś postawę.

D: No właśnie, hardcore to przeważnie konkretny przekaz i szczery komentarz otaczającej rzeczywistości. Tylko czy to, że popularne jest teraz emocjonalne granie z bardziej osobistym przekazem, jest znakiem czasu, wynika z kryzysu relacji międzyludzkich, naszego ogólnego zagubienia w świecie?
Przemek: Myślę, że skupienie się na "ja, tu, teraz" to właśnie przyczyna odejścia zespołów od idei hardcore'u, który jak w Verbal Assault, zawsze był "More Than Music". Jak czytam teksty niektórych zespołów, to nie dowierzam



własnym uszom i oczom. Nie potrafię przez to spojrzeć poważnie na kogoś, kogo myśli toczą się tylko wokół własnej osoby. Myślę, że zespół jest w pewien sposób katalizatorem różnych emocji z życia codziennego, wiele zespołów idzie w kierunku emocjonalnych rozważań egzystencji na różnych płaszczyznach, odcinając się od "korzeni", skupiając się na sobie w różnych sytuacjach. Myślę, że to zjawisko wiąże się ze wspomnianym kryzysem relacji pomiędzy ludźmi w dobie mediów społecznościowych – kolekcjonujemy wirtualnych znajomych, których czasem spotykamy i wtedy odwracamy wzrok, paląc przysłowiowego Jana. Nie potrafimy często funkcjonować w świecie realnym, ponieważ życie toczy się na Facebooku, który jest naprawdę zajebisty i daje szansę wielu fajnym inicjatywom, ale użytkowanie go wiąże się z ryzykiem popierdolenia. Miałem akcję, że nie poznała mnie znajoma po rocznej przerwie w kontakcie bezpośrednim, ale przez ten czas utrzymywanym w Internecie na portalu. To jest chyba najbardziej zjebana historia, z gatunku których przychodzi wiele refleksji.

D: Jakie zespoły miały na was największy wpływ, ukształtowały wasze gusta, a może i was samych jako ludzi?

Przemek: U mnie hardcore punk pojawił się w życiu, jak miałem 13 lat. Wtedy już słuchałem bardzo dużo różnej muzyki dzięki mojemu ojcu, który dbał o to, bym miał solidne podstawy. Wychowywałem się na dobrym metalu, więc kiedy sukcesywnie poszerzałem horyzonty, nie byłem w stanie zrozumieć, o co chodzi w Dead Kennedys, Cro-Mags, Black Flag – to przyszło znacznie później, przy wyrobieniu się pewnej świadomości. Na początku najwięcej zawdzięczałem rodzimym zespołom, czyli Schizmie, 1125 czy Dezerterowi. Nie wiem, czy w wieku 26 lat mogę powiedzieć, że zostałem przez coś ukształtowany – ten proces cały czas ma miejsce. Co roku poznaję nowe zespoły z różnych rejonów punka, dzięki którym widzę i słyszę więcej. Ostatnio walczę po przerwie z nagraniami naszych słupskich kapel – Guernicy Y Luno oraz Ewy Braun, gdzie ta ostatnia miała szczególny wpływ na mnie za małolata, a dzisiaj poznaję to wszystko od nowa i nie wierzę, że zespół, który tak naprawdę pierwszym demo i LP wyprzedził epokę, skończył z nieproporcjonalnym do siły przekazu i muzyki rozgłosem.

D: Niestety podobną niesprawiedliwość podziela wiele innych niedocenionych zespołów. Potrafisz ocenić, czy dla kogoś z zewnątrz, kto zainteresowałby się polskim hardcore'em, nasze zespoły dobrze definiują klimat rodzimej sceny? Jak w ogóle odbierasz i oceniasz scenę w naszym kraju?

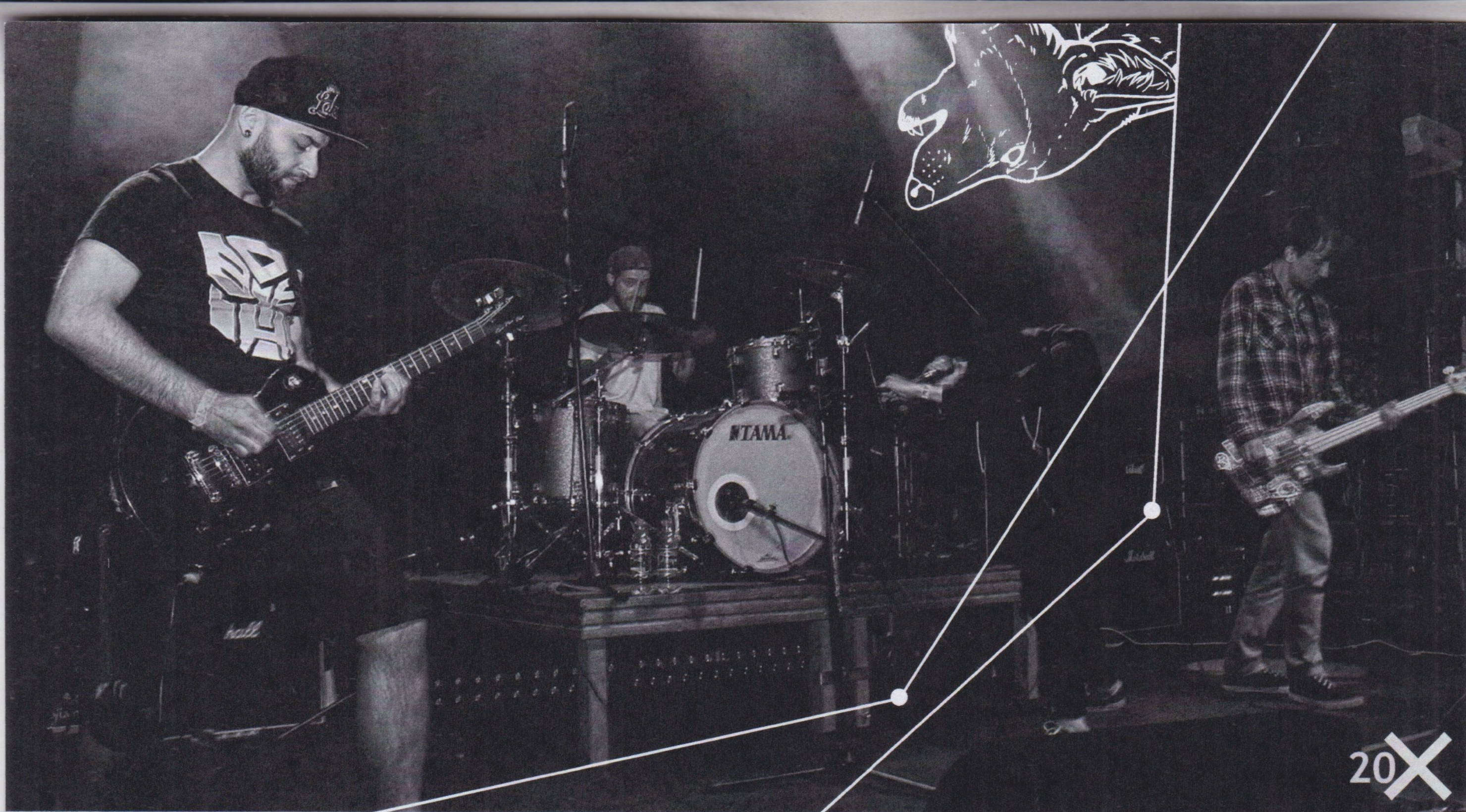
Przemek: Myślę, że hardcore jest na całym świecie bardzo podobny, z zastrzeżeniem takim, że powstał on jednak na Zachodzie i stamtąd przychodzi do nas większość inspiracji. Mamy kilka zespołów wyraźnie wyróżniających się na tle tego kraju, które z sukcesami podróżują po świecie, bo stanowią jakość samą w sobie. Problem leży raczej w tym, że 90% zespołów stąd gra jak ktoś inny, i to już niestety nie jest fajne, więc ciężko jest nam zainteresować zagranicznych sąsiadów naszą "ofertą", ponieważ oni takich zespołów jak na przykład nasz krajowy XYZ mają na miejscu kilka, z reguły jeszcze lepszych. Odczuwam dumę, widząc trasy na Wschód The Lowest czy przeszło miesięczną eskapadę Drip Of Lies od Polski po Hiszpanię. Czyli da się, ale prócz szczęścia, że ktoś pomoże ci taką trasę ogarnąć i przyjdą na nią jeszcze jacyś ludzie – to ogrom włożonej pracy, a tu często myśli się o graniu tras w kategoriach minimum wkładu – maksimum korzyści i splendoru. To tak nie działa, dlatego miejsce na podium jest zarezerwowane dla najlepszych i najbardziej pracowitych. Nie wszystkie te zespoły muszą mi się podobać muzycznie czy cokolwiek, ale zawsze jestem dumny z sukcesów polskich kapel na arenie międzynarodowej.

D: Wy natomiast gracie już parę ładnych lat, macie świetną płytę, to dlaczego nie słychać o was tak głośno jak powinno?

Przemek: Dziękujemy. Sukces zespołu to nie tylko super płyta, wydanie jej i tak dalej – składa się na to szereg działań, których my nie podejmujemy z różnych powodów. Nie interesuje nas "agresywny marketing" – ja osobiście wierzę w to, że wszystko ma swój czas i miejsce, ale mierzymy też siły na zamiary i nie celujemy w tysięczne tłumy, trzy-, pięciotysięczne repressy płyty i trasę z Rise Against – nie wiem, co musiałoby się stać, ale nie myślę o tym – to się nie stanie (śmiech).

D: „Awaken" moim zdaniem jest przede wszystkim konkretnym, zróżnicowanym, choć spójnym i przemyślanym albumem. Jak zazwyczaj wygląda wasza praca nad kawałkami?

Przemek: Płytę zrobiliśmy jeszcze z naszym poprzednim gitarzystą – Łukaszem. Zaczęliśmy grać próby w styczniu 2014 z jednym gotowym numerem na płytę (który zresztą miał być na drugim demo), w kwietniu już byliśmy w studio łącznie z 8 numerami. Praca wygląda tak jak wszędzie – ktoś coś przynosi na próbę i trwa rzeźba. Jestem zwolennikiem teorii, że jeśli coś od początku nie siedzi, to nie można męczyć buły i należy odpuścić lub chociaż odłożyć to w czasie (i najlepiej o tym zapomnieć...). Siedem na osiem numerów powstało na przestrzeni



czterech miesięcy, w tej samej sali prób, w tym samym składzie, w podobnych nastrojach podczas każdego spotkania – jest w tym uchwycony po prostu tamten czas. Nie wierzę w to, że można robić dobre piosenki, klepiąc aranże w guitar pro czy innym gównie – tutaj potrzebne jest starcie bezpośrednie.

D: Z płyty zdecydowanie wyróżniają się dwa kawałki, dwie części „Granic". Po pierwsze mają teksty po polsku, po drugie są agresywniejsze i bezpośrednie. Skąd pomysł na taki akcent i dlaczego nie zdecydowaliście się w ogóle na śpiewanie w ojczystym języku, który moim osobistym zdaniem daje wyjątkowy i atrakcyjny koloryt tej muzyce?

Przemek: Sporo osób już powiedziało wiele na ten temat, dlaczego trudno pisze się w ojczystym języku – nawet Tomek z Hard To Breathe w twoim wywiadzie to tłumaczył. Zanim odpowie Kuba, to tylko chciałbym wspomnieć o tym, że tekst po polsku to był mój pomysł w ramach eksperymentu, aby zobaczyć, co się stanie. Okazało się, że Kuba dobrze uchwycił nasze spojrzenie i nie brzmi to banalnie i pretensjonalnie, co nas bardzo cieszy.

Kuba: Pisanie tekstów po polsku to niestety pułapka. Oprócz oczywistych trudnych zgłosek, zupełnie innej dykcji niż przy tekstach po angielsku, innej pracy przepony dochodzi niebezpieczeństwo napisania tekstu brzmiącego co najmniej jak te w hitach polskich piosenek nadawanych w "radiostacjach".

D: Kilka wersów w tekście „Granic" fajnie pasuje do wcześniejszych dywagacji na temat hardcore'u. „Nie łapiemy za bagnety na ulicach, szukamy rewolucji w głowach" - zmiana świadomości na poziomie intelektualnym ma większą szansę powodzenia niż akcje bezpośrednie?

Kuba: Z natury jestem pacyfistą i to, że mnie coś wkurwia, nie znaczy, że od razu uruchomię pięści. Agresja rodzi agresję. Wiadomo, że są jednostki wyjątkowo odporne na argumenty słowne, tłumaczenie natury problemu etc. Dla nich niestety nie ma remedium. Do całej reszty małymi krokami, rozsądkiem i z odpowiednią dawką cierpliwości można przemówić.

D: Z większości piosenek na płycie wyłania się obraz człowieka niespokojnego, którym targają różne nastroje. Jednostki, która toczy wewnętrzne boje, w których mocują się nadzieja, wiara i marzenia z rezygnacją i poddaniem. Jaki jest cel tak wyniszczającej walki?

Kuba: Myślę, że to są emocje naszej generacji, która zastanawia się nad tym, w jakim kierunku zmierzamy. Chcemy pogodzić nasze życie osobiste z większą misją naprawiania świata i niestety zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy na to zbyt mali, żeby w pojedynkę sobie z tym poradzić. Może to zbyt idylliczne wyobrażenie świata zderza się z rzeczywistością i zostają nam tylko marzenia. "Tak jak ty, mam troski i marzenia..."

D: Słuchając „Dawn", złapałem się na takiej myśli, kiedy to ja ostatnio czytałem ze swojego odbicia w lustrze. Nie pamiętam, kiedy robiłem to ostatnio, ale wiem, że kiedyś znacznie częściej. Myślisz, że jest w tym pewna zależność, że przestając rozmawiać z samymi sobą, nabieramy różnych uprzedzeń, zapominamy o wartości, jaką jest człowieczeństwo?

Kuba: Zawsze łatwiej nam oceniać kogoś z boku niż samego siebie. Sam to robiłem nieraz i nie twierdzę, że to najrozsądniejsza rzecz na świecie. Kwestią jest postawienie samego siebie przed sądem i zrobienie sobie własnej inwentaryzacji, żeby dojść do tego, kim tak naprawdę się jest, jak własne zachowania oddziałują na innych, czym można się poszczycić, a za co powinniśmy czuć wstyd. Chodzi o to, żeby najpierw spojrzeć na siebie krytycznym okiem i przeanalizować własne postawy i zachowania, zanim bezwzględnie i często niesprawiedliwie spojrzymy na kogoś z pogardą, uprzedzeniem i wyższością. Należy starać się zrozumieć czynniki kierujące innymi ludźmi przed ogłoszeniem na nich wyroku.

D: Kawałek „Hart Island", który zamyka płytę, odnosi się do tytułowego przebudzenia. Wynika z niego, że to cywilizacyjne, egotyczne zapędy są dla nas zgubne. Jak się ich pozbyć, żeby się przebudzić?

Kuba: Wystarczy spojrzeć trochę dalej niż na czubek własnego nosa. Naprawdę nie potrzeba wiele, żebyśmy z satysfakcją mogli stwierdzić, że rzeczywistość zmienia się in plus. Mniej pogardy, bo ktoś ma mniej od nas, mniej bezpodstawnego oceniania innych. A przede wszystkim wyznaczenie sobie progu własnego szczęścia i potrzeb materialnych. Całe zło świata opiera się na tym, że otyłym krawatom w drogich marynarkach jest wiecznie za mało. Nie potrafią osiągnąć szczęścia, a przy tym łupią je innym, tworząc spiralę niesprawiedliwości.

D: Czego, poza pozytywnym oddźwiękiem na waszą muzykę i przekaz, powinienem życzyć wam na przyszłość?

Przemek: Może, żebyśmy wytrwali w tym składzie jak najdłużej i nie rozpadli się wcześniej niż za kilka lat – a jeśli, to tylko za porozumieniem stron!

D: W takim razie trzymam kciuki za pomyślność! Dzięki za wywiad.

Kuba: Dzięki wielkie, co dobre jest wybierzemy sami.

Przemek: Bardzo dziękuję za tę super rozmowę, świetnie się do niej przygotowałeś, a z pytaniami i tak dokładnymi analizami tekstów nieźle nas rozłożyłeś. To z pewnością jeden z najfajniejszych wywiadów jakich udzieliliśmy. 5 z wyskoku!

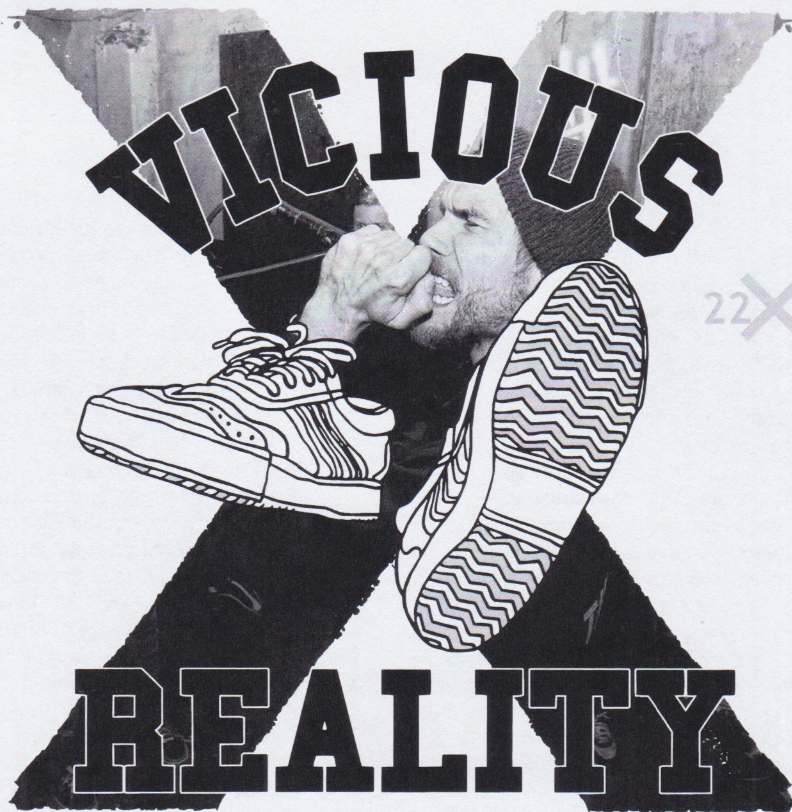
www.marksman.bandcamp.com

VEGAN

■ **SEPS.** Wielokrotnie zastanawialiśmy się z kumplem, co zadecydowało o tym, że ja zostałem vegan straight edge, a on (totalnie w oderwaniu od sceny hardcore'owej) po prostu niepijącym wegetarianinem. Pochodzimy bowiem z wydawałoby się kompletnie niesprzyjającego tego typu ideom środowiska. Otoczeni małomiasteczkową mentalnością wymieszaną z bogoojczyźnianym zaślepieniem, tradycją picia na umór i ugruntowaną opinią, że „obiad bez mięsa to nie obiad", wyrwaliśmy się z tego. Na pewno nie udałoby się nam, gdybyśmy nie stali zawsze lekko na uboczu lokalnej społeczności. W moim przypadku było tak, że przez wrodzoną nieśmiałość nie wchodziłem za bardzo w interakcje z rówieśnikami. Byłem typowym outsiderem, zamkniętym w sobie. Doszła też obserwacja tego, jak ludzie zachowują się po alkoholu. Teraz oczywiście zdaję sobie sprawę, że są tacy, którzy potrafią bawić się z procentami i wcale to nie musi przypominać libacji. Jednak w dzieciństwie i przez późniejszy okres dorastania widziałem wyłącznie negatywne skutki picia. Awantury w domu, u sąsiadów, grupka starszych mężczyzn codziennie pijących pod sklepem, rówieśnicy tak bardzo podekscytowani faktem, że udało im się kupić piwo lub podkraść wódkę rodzicom. Nie pasowałem do tego, nie rozumiałem fascynacji piciem. Nudziły mnie ich monotematyczne rozmowy - kto ile czego wypił i jak długo po tym rzygał. Żenujące zachowania kolegów sprawiły, że chciałem być od nich inny pod każdym względem, szczególnie że to właśnie ci imprezowicze najbardziej mną pogardzali za moje niepicie, a przede wszystkim za nieśmiałość. Upijanie się było nieodłącznym elementem wszystkich tych pewnych siebie, cwaniackich kretynów czerpiących przyjemność z dręczenia słabszych. Wybranie przeze mnie przeciwnej postawy było swego rodzaju pokazaniem środkowego palca zarówno im, jak i całej polskiej, mocno zakrapianej tradycji. Najciężej było mi zrozumieć osoby, które pochodziły z domów z problemem alkoholowym, a mimo to chcą powtarzać błędy rodziców, przez które sami cierpieli? Nie musiałem się struć wódką, upić do nieprzytomności czy cokolwiek innego, żeby mieć do tego awersję. Wystarczyła mi obserwacja otoczenia. Po spróbowaniu alkoholu jeszcze bardziej utwierdziłem się w swoich poglądach. W liceum zacząłem słuchać kapeli AFI, pamiętałem ich jeszcze z soundtracku do gry Tony Hawk's Pro Skater 3 (bez której nie słuchałbym pewnie teraz hc/p). I gdzieś w stosie informacji o zespole przeczytałem, że wokalista i gitarzysta są vegan straight edge. Sam wegetarianizm wydawał mi się wtedy słuszny, jednak zaprzestanie jedzenia mięsa nie jest proste, kiedy ma się w rodzinie myśliwych. Dowiedziałem się po jakimś czasie, co to takiego straight edge i stwierdziłem, że to jest to! Okołopunkowych klimatów słuchałem od gimnazjum, głównie pop punka, ale dopiero wtedy dowiedziałem się o Minor Threat, całym ruchu sXe i w ogóle o tym, czym jest hardcore. Moje odkrycie było bardzo pokrzepiające – okazało się, że dla mnie też jest miejsce na scenie punkowej. Wcześniej bowiem sam dałem się nabrać na stereotypy i łatki związane z jabolami. Jednak brak internetu w domu utrudniał mi dotarcie do jakichkolwiek zespołów sXe. Będąc już Na studiach w moje ręce wpadł „Pasażer" zawierający wywiady z Regresem, The Effort, Verse i Have Heart. Już wtedy określałem się mianem straight edge, lecz prawdziwa styczność z muzyką przyszła dopiero wtedy. Byłem zafascynowany szczerością i humanistycznym podejściem do drugiego człowieka. Nie zapomnę tego uczucia świeżości, jakie niosła ze sobą idea sXe w połączeniu z pozytywnym myśleniem, zwłaszcza że był to dla mnie ciężki czas naznaczony depresją. Miałem swój powód do dumy, coś co kontrolowałem w 100%. Z weganizmem było trudniej. Ciągle znajdowałem jakieś wymówki. Myślałem, że wege potrawy są trudne do przyrządzenia i drogie, a moja rodzina regularnie była zaopatrywana w darmowe mięso przez ojca myśliwego. Czułem się zniechęcony, uważałem, że na dłuższą metę nie dam rady, poza tym "co ja jeden zmienię?". Jednocześnie oglądałem/czytałem różne materiały dotyczące diety roślinnej i autentycznie chciałem na nią przejść. Po raz pierwszy odważyłem się obejrzeć materiał filmowy z rzeźni i ferm. Popłakałem się. Zaczęła mnie denerwować wszechobecna trywializacja empatii wobec zwierząt. Według ludzi, współczując zwierzętom jesteś przewrażliwiony lub nie masz nic ciekawszeo do roboty, więc wyszukujesz "sztuczne" problemy. W domu mamy kotkę i psa. Przez te lata zwierzaki stały się członkami naszej rodziny. Wkurwiam się na samą myśl, że ktoś mógłby im coś zrobić, a przecież są kręgi kulturowe spożywające koty, w USA natomiast psy rasy beagle (jak mój pies) są wykorzystywane w testach tytoniowych... Słuchając zespołów z animalistycznym przesłaniem, czułem, że moja hipokryzja osiągnęła szczyt. Dopiero na studiach zacząłem ograniczać spożywanie mięsa, po raz pierwszy miałem swój w pełni wegetariański tydzień. Po roku przyzwyczajania organizmu postanowiłem, że koniec z hipokryzją. Jakoś przekonałem rodzinę, że faktycznie na takiej diecie czuję się lepiej i to pomogło, bo argumenty o nieprzyczynianiu się do cierpienia zwierząt niestety nic by nie dały. Wiedziałem, że swoją decyzją nie spełnię oczekiwań ojca, ale musiałem być fair wobec siebie i swoich przekonań. Po trzech miesiącach zauważyłem, że w sumie i tak większość potraw, jakie jem, to wersja wegańska i wcale to nie jest takie trudne, jak mi się początkowo wydawało. To był moment, w którym zapadła decyzja. Tak więc do standardowych już pytań „no ale czemu nie pijesz?" doszły „a ryb też nie jesz?" i „ale nie jesteś gejem?". Zarówno vegan, jak i straight edge są dla mnie naturalnymi postawami, przychodzą mi bez wysiłku. To nie jest żadna codzienna walka z samym sobą, jak myślą niektórzy. Zamiast modlić się co wieczór, by wytrzymać w swych postanowieniach jeszcze chociaż jeden dzień, po prostu żyję, skupiając się na moich pasjach. *Marcin*

EDGE





Na nic nigdy nie jest za późno. Aktywność konserwuje. A kapele warto zakładać zawsze. Nawet samo gadanie o założeniu kapeli jest spoko. Samą gadką o założeniu kapeli to już założyłem tych kapel kilka.

■ Pawła – wokalistę Regresu i gitarzystę Vicious X Reality poznałem parę ładnych lat temu podczas gigu Ignite w katowickim Mega Clubie. Mieliśmy wtedy okazję przegadać prawie pół nocy, czekając na pociąg do domu. Jest to jedno z przyjemniejszych wspomnień, ponieważ była to dla mnie jedna z tych niezwykłych rozmów, kiedy spotykasz kogoś nowego, a masz wrażenie, jakbyście się znali od zawsze. Fantastyczne uczucie. Od tamtej pory spotykam Pawła sporadycznie, przy okazji koncertów, które gra, i zawsze są to miłe spotkania, choć ubolewam, że tak rzadkie. Niemniej cały czas bacznie obserwuję jego poczynania, czekając na okazję do kolejnej pogawędki. To właśnie zaowocowało niniejszym wywiadem, zrobionym na okoliczność jego aktywności z nowym zespołem.

Diaboliq: Hej, powiedz, co słychać w Świętym Mieście i jak ma się tam scena straight edge.

Paweł: Jeśli chodzi o samo miasto, to niestety dzieje się tutaj to, co w innych mniejszych miastach. Młodzi ludzi wyjeżdżają stąd za robotą czy na studia do większych miast. W sumie większość moich znajomych mieszka teraz w Krakowie. Częstochowa nie jest w stanie zatrzymać tutaj młodych ludzi. To niestety skutkuje tym, że przestajemy robić tu koncerty. To znaczy robimy, ale już nie tak często jak kiedyś. Z drugiej strony, jak patrzę na wspomniany wcześniej Kraków, jak widzę tamtejszą frekwencję, to też bym tam zarzucił robienie gigów. Ja cenię sobie moje miasto, znam tu różne fajne zakamarki, wiem gdzie, co i jak można załatwić. Jest tu dużo zieleni, mam tu pracę i mieszka tu kilku moich fajnych starych kolegów. Teraz ze znajomymi byliśmy pokazać takiej parze z zagranicy Jasną Górę. Jeśli chodzi o sam budynek, historię, bez podtekstów religijnych, robi to na mnie wrażenie. Jeśli chodzi o straight edge, to z tym jest słabo, są nas może cztery osoby. Ale sXe nigdy nie było tu mocne. Może przez chwilę było nas więcej, dopóki koledzy nie osiągnęli pełnoletności i mogli już legalnie pić, he, he.

D: Ale nie przeszkadza to temu, aby z Częstochową kojarzone były aż dwa sXe zespoły. Powiedz, co spowodowało, że poza macierzystym Regresem postanowiłeś zaangażować się w kolejny projekt. Są w tobie aż takie pokłady energii, której nie sposób spożytkować w jednej kapeli?

P: Z tym to akurat było tak, że w pewnym momencie gitarzyści Regresu wyprowadzili się z Częstochowy. Dawid za pracą i dziewczyną, a Mateusz na studia, i już nie mieliśmy prób tak często jak kiedyś. A ja potrzebowałem i potrzebuję próby przynajmniej raz na tydzień. Ze strony młodszych kolegów pojawiła się propozycja założenia zespołu. To spoko chłopaki i ich muzyczne gusta są OK. Wiedziałem, że warto w to wejść i wszedłem. Akurat tak się potem złożyło, że ci koledzy odeszli z Vicious X Reality i w sumie z tego pierwszego składu jestem tylko ja i Ogór. Ale nie żałuję swojej decyzji, było to bardzo dobre posunięcie. Zresztą ostatnio z jednym z tych kolegów coś tam gram dalej, jeśli tylko znajdzie chwilę, by wpaść tutaj z Poznania.

D: W Regresie zdzierasz struny głosowe, a w VxR szarpiesz struny w gitarze. Skąd pomysł na taką funkcję w kapeli? Myślisz, że fanki lecą bardziej na gitarzystów niż wokalistów? :)

P: Chciałem pograć na gitarze i od kilku lat myślałem o tym, ale nie było z kim. Wokal jest bardziej z przodu na koncertach, musi to wszystko prowadzić, a ja potrzebuję postać trochę z tyłu. Chciałem czegoś nowego. Najbardziej to chciałbym grać na perkusji, ale jest to dla mnie nie do ogarnięcia. No i koledzy zaproponowali mi gitarę, nie wokal. Z fankami to nie wiem, nie znam się, zerowe doświadczenie. One chyba wolą kolesi grających reggae na bębenkach w parku, he, he.

D: Od dawna grasz na gitarze czy to twoja nowa umiejętność?

P: Kiedyś już grałem na gitarze. Zaczynałem w takiej kapeli, która myślała, że gra hardcore, a graliśmy w sumie metal. Potem grałem w kapeli punky/reggae, ale jak zaczęło być bardziej reggae niż punk i chujowe ska z tekstami, których nie rozumiałem, to odszedłem. Uczę się cały czas grać, ciągle mi się coś myli, ale zauważam, że jest lepiej. Obserwuję innych gitarzystów, łapię, o co chodzi.

D: Jak powstają kawałki VxR, kto je układa?

P: Z kawałkami jest różnie. Część zrobiłem ja, kilka zrobił nasz perkusista. Często jest tak, że nasz wokalista Słoniu wysyła nam jakieś fragmenty koncertów, utwory i mówi, że spoko jest jakiś motyw i on chce coś w tym stylu, do czegoś takiego chce sobie



zatańczyć. Że gdzieś basik fajnie chodzi albo chce szybki, krótki kawałek, a potem wolny, żeby sobie odpocząć. Zatem nie ma reguły. Parę razy udało nam się na próbie coś na szybko ułożyć. Na przykład ostatnio robiliśmy szybki kawałek, a nie kleił się i zrobiliśmy z jednego fragmentu wolny.

D: Jesteśmy w podobnym wieku, co niestety mimo naszych, często sprzecznych, odczuć sprawia, że postrzegani jesteśmy jako starzy zgredzi. Jednak jak nigdy wcześniej chodzi za mną chęć chwycenia za gitarę i założenia kapeli. Myślisz, że na młodzieńcze pasje zawsze jest czas mimo wieku?

P: Ja ostatnio myślę dużo o nauce jazdy na deskorolce. Myślę, czy nie zagadać do Słonika z Cymeona, żeby mi coś spoko dobrał na początek. Próbowałem kiedyś jeździć, ale za szybko się poddałem. Ostatnio widziałem takiego kolesia, z dwoma synami sobie jeździł na desce i super to wyglądało. Ja kiedyś byłem sztywniakiem i bałem się wyjebki. Patrzenie na rany i blizny naszego wokalisty po wyjebkach na BMX-ie inspiruje i nie zniechęca. Zresztą zobacz na wyniki w maratonach wspomnianego już Słonika, koleś w krótkim czasie zrobił takie wyniki w bieganiu, że szok! Już to kiedyś mówiłem, że wystarczy porównać, jak wyglądają koledzy z podstawówki, a jak wyglądają koledzy ze sceny hardcore. Starcy kontra młodziaki, mimo prawie żadnej różnicy wieku. Na nic nigdy nie jest za późno. Aktywność konserwuje. A kapele warto zakładać zawsze. Nawet samo gadanie o założeniu kapeli jest spoko. Samą gadką o założeniu kapeli to już założyłem tych kapel kilka. A pojawiło się teraz kilka fajnych zespołów za granicą ze starszymi kolesiami w składzie, więc jest to dobra droga, by chwycić za gitarę, nawet jak się jest w średnim wieku.

D: Brzmi to przekonująco. Człowiek ma chyba taką naturę, że niezależnie od wieku dąży do samorealizacji i ma chęć wyrażania siebie w jakiś sposób. Co tobie daje zostawianie po sobie śladu w takiej czy innej twórczości?

P: Nigdy się jakoś głębiej nad tym nie zastanawiałem. Po prostu słuchałem punkowych kapel i w pewnym momencie z kolegą pomyśleliśmy, żeby też razem pograć. Ale nigdy nie traktowałem tego jako zostawianie po sobie śladu. W jakiś sposób traktuję to trochę jako terapię. Ktoś idzie do psychologa, ktoś potrzebuje się wygadać koledze, a ja sobie tekst napiszę albo poskaczę jak wariat na koncercie. Potem spokojnie siedzę w pracy. Zresztą gdybym nie grał, to samo bycie na scenie hardcore i tak wiele by mi dawało i daje. Ja w sumie dobrze się czuję tylko w tym środowisku, oczywiście spotykam się, choćby w pracy, z innymi ludźmi, widzę, że też mają świetne pasje, zainteresowania, ale często przy tych spotkaniach poza sceną bardzo się wkurzam i nic tak nie dodaje energii jak spotkanie ze znajomymi ze sceny hardcore. Przy czym nigdy nie myślałem, że to wyrażanie siebie, po prostu napierdalałem. Chciałem pograć coś fajnego w moim odczuciu i miło spędzić czas z kolegami. A że zawsze kręciły mnie kapele, które mają coś do powiedzenia, to z nich ściągałem, he, he.

D: Poza zespołami masz jakieś inne zajawki? Czego chciałbyś spróbować oprócz wspomnianej już deski?

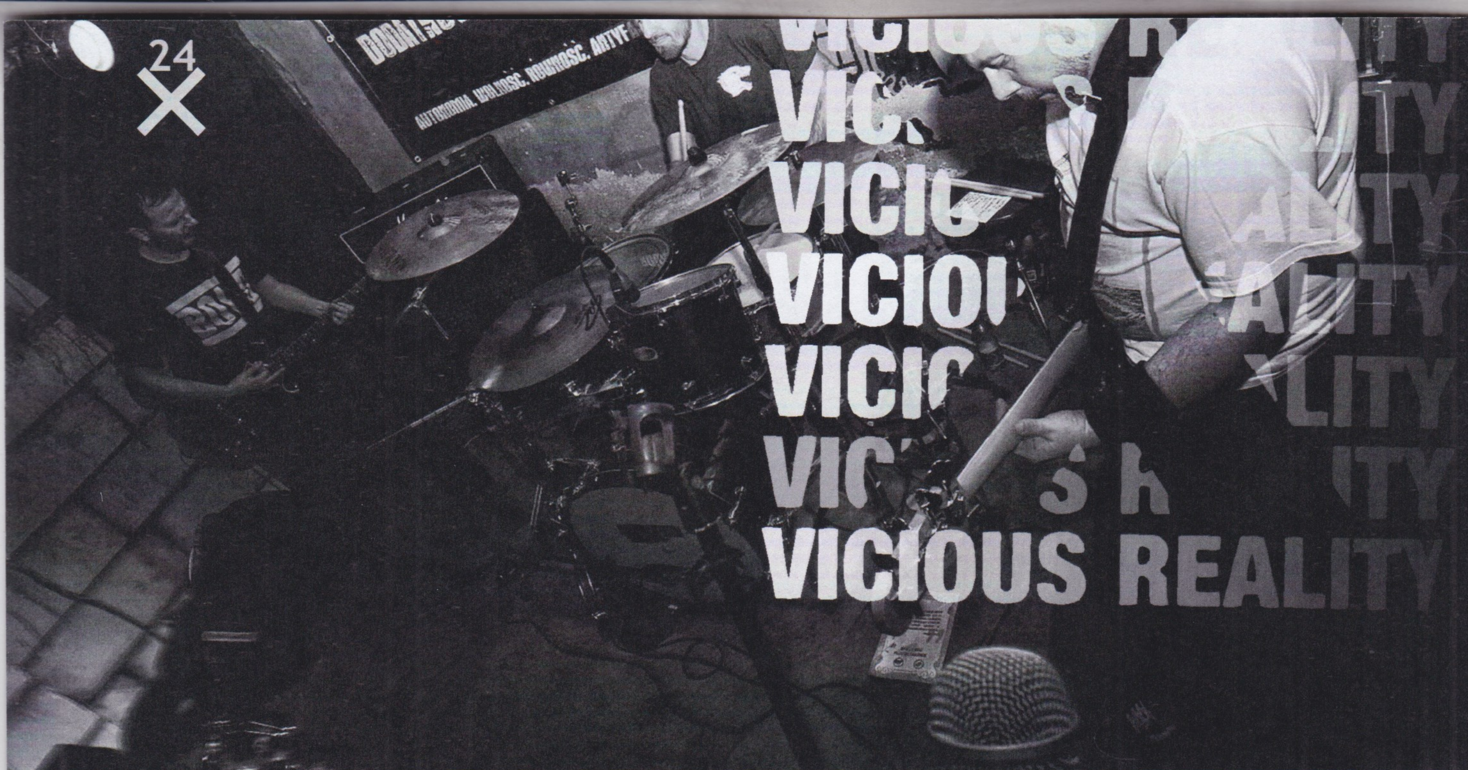
P: Jak mawia moja 93-letnia babcia, najważniejsze to zdrowym być. A że lat przybywa, to wiem że ma rację. W sumie to nie mam jakichś wielkich planów czy wyzwań. Nie mam tak, że czegoś muszę spróbować, skoczyć ze spadochronu czy zanurkować, nigdy tak nie myślałem. Ja lubię spokojnie żyć, bez wielkich wyzwań. Chciałbym w końcu ogarnąć półkę z nieprzeczytanymi książkami, ogarnąć nieprzesłuchane płyty. Cenię sobie spokój. Teraz zainspirowany na trasie z Heatseeker przez Irka – ich basistę – mam skakankę i chciałbym nauczyć się skakać, tak jak on to robi. Wrócić do biegania. Ale to są wszystko takie przyziemne sprawy, nic wielkiego. Kilka lat temu zacząłem robić nowy numer zina, może to wypadałoby skończyć. Ale żadnych skoków na linie. Raz byłem na rollercoasterze w Disneylandzie i myślałem, że zginę i już nigdy więcej nie chcę nawet karuzeli. Preferuję życie bez szaleństw.

D: Myślisz, że receptą na szczęśliwe życie jest zawsze czuć się młodo, podążając za głosem własnego serca?

P: Nie wiem, co jest receptą na szczęśliwe życie. Każdy ma swój sposób na szczęście. Koledzy w szkole średniej byli szczęśliwi, myśląc o piątkowym upiciu się, a w poniedziałek byli szczęśliwi, opowiadając o tym i właściwie żyli tylko tym. Dzisiaj sprawiają na mnie wrażenie bardzo starych ludzi, ale dla nich to jest może OK. Mam też kolegę, który ma ułożone życie do śmierci, ma dokładnie zaplanowane, co kiedy robi, kiedy może pozwolić sobie na dziecko, oblicza, czy mu się coś opłaca, na przykład wyjście do kina. I z tego, co widzę jest w tym szczęśliwy, a mnie ma chyba za głupka. I on też kieruje się głosem własnego serca. Więc ciężko tu powiedzieć o tej recepcie, bo mnie na przykład on wydaje się starym zgredem, a dla niego ja jestem głupim szczeniakiem. W pracy mam do czynienia raczej z osobami starszymi ode mnie i kiedy słyszę ich jęczenia, że ręka boli, że czas się kłaść do trumny, to jestem załamany. A nie są to dużo starsze osoby. Stawiam sobie przy nich wtedy takiego Fakira (wokalista punkowego Castetu - przyp. red.) i myślę, że można inaczej. Coś poszło w ich życiu nie tak, że czują się tacy starzy, ale nie wiem co. Chociaż jest w tym wspólny mianownik – że te osoby jęczące są ostrymi katolikami, he, he. Ja puszczam sobie Insted, Side By Side, „Odejdź lub zostań" i czuję się młodo.

D: O tak, płyta „Odejdź lub zostań" sprawia, że i ja mam znów dwadzieścia lat. Ale nie każdy ma zaszczyt posiadać czy znać te nagrania. Co w takim razie powiedziałbyś ludziom, który zawsze szukają wymówek, poddają się kłodom, jakie rzuca pod nogi babilon, system, może ich własne lenistwo czy cokolwiek tam jeszcze.

P: Na wszystko trzeba spojrzeć odrębnie. Można na przykład powiedzieć, że jak masz



chujową pracę, to ją zmień. Ale co, kiedy to jest jedyna robota w twojej miejscowości, a kochasz widok tej górki za oknem i nie zamienisz go na żaden inny. Jestem daleki od doradzania czegoś komukolwiek, mogę mówić tylko o sobie. Teraz były wybory parlamentarne i gorączkowaliśmy się ze znajomymi o tych czy o tamtych chcących wejść do sejmu. Widzę w mojej robocie, gdzie mam obraz społeczeństwa, jak wielkie nadzieje pokładają w tych wyborach. A to chuja prawda, politycy w niczym ci nie pomogą. Mogą tylko bardziej lub mniej przeszkadzać. A całą resztę musisz wywalczyć sam. Kolega w pracy mi mówi, że młodzież się cieszy z wyniku wyborów, bo będą mieć pracę. Tylko że ta młodzież akurat całe dnie spędza na ławce i nikt do nich nie przyjdzie z propozycją roboty. Mnie inspirują moi koledzy. Inspiruje mnie kolega, który w podróż poślubną pojechał na rowerze do Turcji, inspirują mnie koledzy, którzy w Warszawie prowadzą restauracje z wege jedzeniem. Koleżanka ma spoko sklep wege, koledzy kręcą filmy, jeden wydaje komiksy, drugi jest fryzjerem. Otwarte Klatki też robią bardzo dobrą robotę. Można narzekać na poziom kapel, na małą ilość ludzi na koncertach, ale scena niezależna wkroczyła w nowe rejony, w doroślejsze życie i te dzieciaki z tej sceny świetnie pokazują, jak można się realizować. Mnie to inspiruje.

D: Słuchając waszych piosenek, wyłapuję częste odniesienia zmuszające do wsłuchania się we własne, wewnętrzne „ja". Dlaczego to aż tak ważne twoim zdaniem, aby zawsze być sobą i świadomie kierować własnymi wyborami?

P: „Jeśli chcesz zmieniać świat, zacznij od siebie" – myślę, że to o to chodzi. Zawsze denerwowały mnie teksty typu „tamci są źli, to oni, a to wy". Kierowanie tekstów przeciw niewiadomej liczbie mnogiej. Nigdy nie wiedziałem, o co chodzi, kim są ci „oni". Odchodząc na chwilę od tematu punk rocka, w buddyzmie podoba mi się to, że to ja sam jestem odpowiedzialny za swoje życie, ode mnie zależy, jak nim pokieruję, a nie jakiś tam zbawca. Nie wiadomo, jak mogę się skurwić, źle nawywijać, a przyjdzie zbawca i pokocha czarną owcę i odpust całkowity, możesz wywijać dalej. Nie ma przebacz, mordujesz zwierzaki w rzeźni czy jesteś myśliwym, to jesteś chuj i tyle. Zresztą jeśli chodzi o moje teksty, to ja piszę o sobie, a jak piszę o jakichś tam zmianach na lepsze, to nie piszę z pozycji mesjasza, tylko piszę o sobie, że to ja chcę się zmienić. Tak jak powiedziałem wcześniej, siedząc na ławce, nic nie zmienisz, nie przyjdzie żaden Duda i nie poda ci ręki. A jak nawet przyjdzie, to po to, żeby cię zrobić w chuja. Wszystko zaczyna się od ciebie, dopóki nie zaczniesz wymagać od siebie, nie możesz wymagać czegoś od kogoś.

D: Z jakiego powodu przyjaźń to dla ciebie aż tak ważna relacja? Czasy mamy nakręcone hedonistycznymi i egoistycznymi pobudkami, mogłoby się wydawać, że to raczej mało opłacalne uczucie.

P: Wszystko, co robię, robię w gronie kolegów i koleżanek. W sumie ja się jakoś nigdy nie przejechałem na kimś. Zawsze mogą wyniknąć jakieś sprzeczki, ale one są potrzebne. Nie da się jak w komunie hipisowskiej cały czas kochać, trzeba czasami się pobić, choćby na słowa. Wiadomo, że przybywa lat i już nie spędzasz tyle czasu z kimś, bo ten ktoś wyprowadził się do innego miasta, ma dzieci i nie ma czasu czy akurat ma taką żonę czy faceta, których nie lubię. Ale cała ta scena niezależna opiera się na koleżeńskich relacjach i to mi się bardzo podoba. Przez dzieciaki dla dzieciaków, to mnie wciągnęło. Wchodzenie w jakieś chore układy, zależności, to nie dla mnie i stoję od tego z daleka. Jak w każdej przyjaźni, tak i na scenie są większe afery i mniejsze, ktoś się nie lubi, ktoś kogoś nie wyda, ktoś się posprzecza. Ale mogę z kimś się nie widzieć parę lat, a jak się spotkamy, to wszystko jest git. Nawet pomilczeć razem jest fajnie. Oczywiście trudniej prowadzi się taką codzienną przyjaźń, ale dla mnie to podstawa.

D: Czy w dobie tzw „przyjaźni" w mediach społecznościowych, gdzie tak łatwo stajemy się ekshibicjonistami emocjonalnymi i uczuciowymi, wierzysz jeszcze w prawdziwą przyjaźń?

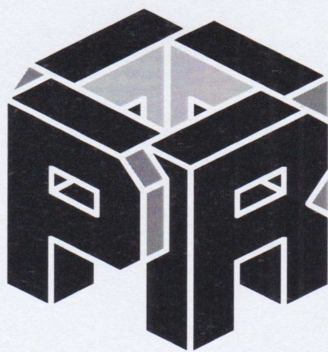
P: Ja jestem stary, to aż tak bardzo w net nie wsiąkam. To znaczy trochę wsiąkam, ale mam z 3-4 strony, na które wchodzę. Dlatego koledzy dystrybutorzy są czasami zdziwieni, że już zauważyłem, że wrzucili nowe płyty do dystrybucji. A Facebook służy mi właśnie do rozmowy ze znajomymi z innych miast. Trzech, czterech znajomych, ale zawsze im to powtarzam, że gadu-gadu było lepsze i gdyby wrócili do gg, to wyjebałbym Facebooka, hehe. Z ciekawości zainstalowałem Instagram, ale to jest głupie, kolejny zjadacz czasu. Generalnie to mam kilka osób poblokowanych, by nie widzieć właśnie tego ekshibicjonizmu emocjonalnego, o którym mówisz, bo jest tego pełno. Gotowanie, kotki, pieski, katar, kupa, to nie dla mnie. Zauważyłem też, że są osoby, które wydają się superznajomymi na Facebooku, ale w spotkaniach na żywo nawet się nie witają. Dlatego myślę, choć mogę się mylić, że nie ma czegoś takiego jak przyjaźń przez Internet. To jest narzędzie pomocne do podtrzymania przyjaźni funkcjonującej w realnym świecie. Mnie media społecznościowe pomagają w utrzymywaniu kontaktu z osobami, które wyjechały z Częstochowy. Chociaż zdarzyło się, że rozmawiałem kilka razy na gg z kolegą, z którym mieszkałem przez ścianę.

D: W takim razie niech zwieńczeniem naszej pogawędki będzie życzenie, aby mniej było takich ścian, przez które musimy rozmawiać za pośrednictwem ekranów komputera. Dzięki za wywiad i do zobaczenia w realnym świecie matrixa.

P: Dzięki również wielkie za zainteresowanie naszym zespołem. Bardzo się cieszę, że papierowe ziny jeszcze wychodzą, bo nie jestem w stanie skupić się, czytając coś w necie. Bolą mnie głowa i oczy. Te wszystkie blogi, elektroniczne ziny są do dupy.

D: Papier rządzi, cześć!

www.viciousxreality.bandcamp.com



W pełni sił umysłowych stwierdzam, że w kulturze głównego obiegu jest naprawdę sporo hardcore'u i punk rocka, pod względem tematu, treści, wartości czy formy w różnych działaniach, wydarzeniach czy wytworach kultury. A i dla mniej wymagających gitwy też nie brakuje.

■ **Mojsza i twojsza kultura.** Na ewentualne zarzuty o generalizowanie odpowiadam od razu – nie uogólniam, tylko opisuję wycinek rzeczywistości, który mnie interesuje. Do rzeczy...

Od lat żyje w dwóch kosmosach. Czuję się częścią niezależnej sceny punkowej i jednocześnie bliska mi jest sfera kultury głównego obiegu. Taki mix daje mi pewną równowagę, możliwość uczestniczenia w tych dwóch światach przy jednoczesnym dystansie do każdego z nich. Wydaje mi się to najlepszym połączeniem, dającym pewien rodzaj równowagi i szersze pole widzenia. Sprowadza się to także do momentów, w których raz wkurzam się na scenę punkową, a za chwilę czuję dumę ze swoich korzeni. To balansowanie skłania mnie także do wielu refleksji. Jedną z nich jest spostrzeżenie, że niewiele jest chyba osób, którym taki balans pasuje. Pozwalam sobie uknuć taką tezę, ponieważ nierzadko jestem odbiorcą kultury niezależnej, jak i tej głównego obiegu (nie używam angielskiego słowa mainstream, bo kojarzy mi się dużo bardziej pejoratywnie niż polski odpowiednik, który moim zdaniem brzmi dość neutralnie). Wydaje się, że scena punkowa bywa niezłym gettem (gratulacje Kolumbie!), zamkniętym na wszystko inne, co nie jest częścią sceny, a w patologicznych przypadkach na wszystko inne, co nie jest punkową imprezą lub koncertem. Jak to się ma do idei otwartości? No, nijak.

Sztuka jest dla mnie jednym z najważniejszych elementów życia w ogóle i marzę o tym, by ludzie bardziej doceniali uczestnictwo w kulturze. To samo z osobami tworzącymi tzw. scenę punkową. W pełni sił umysłowych stwierdzam, że w kulturze głównego obiegu jest naprawdę sporo hardcore'u i punk rocka, pod względem tematu, treści, wartości czy formy w różnych działaniach, wydarzeniach czy wytworach kultury. A i dla mniej wymagających gitwy też nie brakuje. Jednym z moich ulubionych przykładów, ale na pewno nie jedynym, jest teatr, który nieraz wpływał na mnie w podobnym stopniu jak punk rock. Feminizm, anarchizm, prawa człowieka, tolerancja, sprzeciw wobec religii, władzy, niezgoda na opresję, przekraczanie granic i wiele, wiele więcej ważnych dla mnie spraw. Odnajduję to tak w punk rocku, jak i w teatrze, sztukach wizualnych, literaturze, kinie, etc. Zastanawiam się, dlaczego tak wiele osób nie wystawia nosa poza krąg sceny punkowej. Jakby wszystko, co jest poza nią, z założenia nie było warte uwagi. Taka postawa przypomina mi stare dobre uprzedzenie. Tylko jak się rozwijać, nie czerpiąc z różnych źródeł?

I teraz najlepsze: dlaczego też nie wyjść ze swoimi ideami poza getto?

C'mon, nie od dziś wiadomo, że ogromny procent akcji scenowych aktywistów sprowadza się do uświadamiania uświadomionych, czyli do wydarzeń dla kolegów i koleżanek. Chociaż tu muszę przyznać, że organizowanie wydarzeń, których odbiorcami są osoby już w temacie, nie jest całkowicie pozbawione sensu, jeśli dzięki temu mogą nabywać nową wiedzę, narzędzia, cokolwiek, to naprawdę dobrze. Ale to jedno, a zabunkrowanie się w swoim getcie to drugie.





Kiedyś podczas dyskusji o wegetarianizmie poniosły mnie emocje w konfrontacji z osobami mięsożernymi, byłam zwyczajnie złośliwa i cała rozmowa skończyła się fatalnie. Wtedy ktoś powiedział mi, żebym zadała sobie pytanie: co chcę osiągnąć? Od tamtej pory wracam do tego pytania dosyć często i szczerze polecam każdemu. Ono weryfikuje wszystko. Chcesz faktycznie zainteresować kogoś na przykład wspomnianym wegetarianizmem czy zwyczajnie hejtować i okazać komuś swoją wyższość? Chcesz organizować akcje promujące ważne wartości, które mają szanse dotrzeć do innych, czy tylko chcesz robić coś fajnego, ale bez efektu? Chcesz być częścią sceny punkowej, żeby zmieniać na lepsze świat, który znowu stanął na głowie, czy pozować na nieomylną i przez lata tkwić w tym samym miejscu? Co chcesz osiągnąć? Naprawdę polecam to proste pytanie, jest znakomitym radarem na ściemę. A poza tym kto wie, może trud pracy w kolektywie wynika właśnie z tego, że ludzie wcale nie mają wspólnego celu? Do zastanowienia.

Na koniec pozdrawiam scenowych policjantów, piewców prawdziwego punk rocka, obrońców tradycji i strażników punkowej moralności. ;) *Monika Stolat*

VEGAN TRIP

OLSZTYN
goes to
SAINT-TROPEZ



■ W głośnikach Shelter – In the Van Again. Siedzisz wygodnie w fotelu, popijasz czarną kawę, zamykasz oczy, wyobrażasz sobie, że jesteś z kapelą w kilkutygodniowej trasie po Europie. Codziennie setki kilometrów, nowe miejscówki, ludzie, jakaś gastroturystyka, co wieczór gig. Czas się zatrzymał, jest zajebiście... Nagle puka cię ktoś w ramię. To twój szef. Przypomina ci, że przerwa się skończyła i czas ruszyć dupę do roboty. Brzmi znajomo?

W tym roku udało mi się wygenerować pełne dwa tygodnie urlopu i postanowiłem sobie z żoną zafundować namiastkę takiego tripu. Plan był taki, że wsiadamy w samochód i jedziemy na południe Francji. W sumie około 4000 km, po drodze Czechy, Austria i Włochy. Nie planowaliśmy skrupulatnie wyjazdu, na szybko zabukowaliśmy pierwsze dwa noclegi: w Pradze i pod Mediolanem. Wrzuciliśmy do bagażnika namiot, śpiwory, kuchenkę gazową i nastawiliśmy się na spontan. W końcu mieliśmy do zagospodarowania całe dwa tygodnie, ostatnia rzecz, jaka ci przychodzi do głowy na urlopie, to pośpiech. Jako straszne wegan łasuchy ciekawi byliśmy, co nam przyniosą kolejne dni i czym będziemy mogli napełnić nasze żołądki. To była nasza pierwsza wizyta we Włoszech i Francji i nie wiedzieliśmy za bardzo, czego możemy się spodziewać.

Jednak na pierwszy ogień idą Czechy. Mieliśmy tutaj tylko jeden nocleg, zajechaliśmy około 12 w nocy, szybka kima, pseudośniadanie w hostelu z pozostałości z Polski (bułki i pasztet sojowy) i ruszamy na miasto. Trochę szwędania po starówce i czas poszukać jakiegoś lokalu na obiad. Na początku myśleliśmy o Govindzie, słyszałem dobre opinie o tym miejscu. Coś nie tak było z adresem w internecie, bo nawigacja wyrzuciła nas prawie na drugi koniec miasta i trochę nam zajęło znalezienie miejscówki. Okazało









się, że to na starym mieście i o wiele szybciej dotarlibyśmy tam na piechotę. Już mocno głodni i podirytowani weszliśmy do środka. Zza lady zaatakował nas jakiś krisznowiec, ale menu nas nie zachwyciło, mały wybór, sporo żarcia z domieszką mleka bądź jogurtu. Po drodze do Govindy minęliśmy Loving Hut. Szybka decyzja i wychodzimy. Nieraz stołowaliśmy się w warszawskim oddziale tej knajpy i nigdy się nie zawiedliśmy. W Pradze nie było inaczej, a nawet lepiej. Loving Hut zajmuje całe piętro w dużym biurowcu/kamienicy. Na dużej przestrzeni rozstawione są stoliki i bufet. Działa to na zasadzie szwedzkiego stołu, nakładasz, ile chcesz, a następnie ważysz talerz. Wybornie! Z ciekawostek - bardzo przypadły nam do gustu krokiety ziemniaczane smażone w głębokim oleju, z wyglądu to przypomina spłaszczony pączek z ziemniaczanym nadzieniem. Polane kwaskową wegańską śmietaną smakuje genialnie. Moglibyśmy tam siedzieć cały dzień, ale chcieliśmy dotrzeć niedaleko Mediolanu na nocleg. Dwa razy espresso na drogę i nie ma nas.

Kolejny przystanek to Parco Della Fonte, jakieś 100 km od Mediolanu – bardzo klimatyczny hotel, położony w małej wiosce w górach, mocno na uboczu. Widać, że swoją świetność ma już dawno za sobą, ale w latach 80./90. mógł to być całkiem wypasiony kurort. Klimat przypominał nam film „Grand Budapest Hotel". W cenie noclegu (ok. 40 euro) za dwuosobowy pokój z łazienką mieliśmy bufet śniadaniowy. Niezaznajomieni z tamtejszymi zwyczajami żywieniowymi bardzo się zdziwiliśmy, że na śniadanie serwują głównie ciasta, dżemy i jakieś słodkości. Niczego prawie nie spróbowaliśmy z wiadomych względów, musieliśmy się zadowolić pieczywem, którego koszerność też pewnie była pod znakiem zapytania, i pasztetem sojowym zabranym z PL. A, kawa była ok!

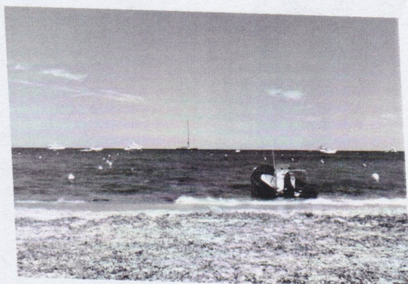
Na Mediolan mieliśmy przeznaczony tylko jeden niepełny dzień, także na pełnym turyście od razu wbiliśmy na starówkę. Nie szukaliśmy tutaj stricte wegetariańskich miejscówek. Skoro jesteśmy we Włoszech, postawiliśmy sobie dwa cele: kawa i pizza. Weszliśmy do jednej z wielu kawiarni i, rzeczywiście, piliśmy chyba najlepszą kawę w naszym życiu! Ja zamówiłem klasyczne espresso, a Daggi latte na mleku sojowym. Obie kawy smakowały zajebiście, bardzo aromatyczne, latte samo w sobie miało tyle smaku, że słodzenie jej byłoby jakimś świętokradztwem. Za to pizza trafiła nam się średnia, znaczy wszystko pewnie byłoby OK, gdybyśmy zamówili ją z serem. A tak dostaliśmy pizzę z bakłażanem i innymi warzywami, w ogóle niedoprawioną, zero soli, zero pieprzu, nic. Trochę się zawiedliśmy.

Nocleg już przy granicy francuskiej, w wiosce o nazwie Latte. Całkiem przypadkiem trafił nam się spoko camping z drewnianym domkiem wyposażonym w kuchenkę i ogólnie wszystko, czego potrzeba. Wizyta w jedynym spożywczaku i kolejna niespodzianka. Cała ściana marketu w produktach przeznaczonych dla wegan, od kilku rodzajów lodów sojowych różnych producentów włoskich, po wędliny, jogurty, tofu i inne burgery. Uzupełniliśmy zapasy. Elegancko. Kojarzyłem Valsoię, ale nie wiedziałem, że rynek włoski tak prężnie się rozwija w temacie zdrowej żywności. Mile zaskoczeni, byliśmy pełni nadziei tego, co nas spotka już po francuskiej stronie. Jeszcze nie mogliśmy wiedzieć, jak bardzo się rozczarujemy.

Postanowiliśmy jechać wybrzeżem w kierunku Saint Tropez, a po drodze zahaczyć o Niceę, trochę pozwiedzać i oczywiście coś zjeść. We wrześniu południe Francji już nie jest tak zakorkowane jak w sezonie, ale jest wciąż ciepło (ok. 23-27 stopni). Oprócz maja/czerwca to chyba jedyny sensowny czas na wyprawę w tamte rejony. W Nicei postanowiliśmy odwiedzić wegańską knajpę Le Speakeasy, a wcześniej wegańską lodziarnię Gelateria Meraviglia. Lodziarnia była zamknięta,

ale to niestety nie był koniec naszej wegańskiej rozpaczy. Spacerując beztrosko po mieście, zapomnieliśmy całkowicie, że tutaj wszystkie knajpy zamykają w okolicach godziny 14:00/15:00. Po porze lunchowej zapomnij o tym, że zjesz coś konkretnego na mieście! Niektóre restauracje są ponownie otwierane dopiero ok. 19:00, ale też nie wszystkie. Szczerze? Mocno wkurwiające. Ta wegańska knajpa nie była wyjątkiem. Gdy tam dotarliśmy o 14:30, ok. 60-letnia gospodyni już przygotowywała się do zamknięcia. Ostatni klienci – jacyś Amerykanie – jedynie popatrzyli na nas z politowaniem i rzucili coś dla otuchy na do widzenia. Dół, depresja i ssanie w żołądku. Nie ma nic gorszego niż para głodnych wegan. Na pocieszenie ogarnęliśmy jakąś kawę i odmrożonego falafela w ulicznym kebsie. Bez szału. Kolejny tydzień spędziliśmy już w okolicach Saint Tropez, wylegując się na plaży, przypominając sobie „Żandarma z Saint Tropez" – sztandarową komedię naszego dzieciństwa – i zwiedzając okoliczne średniowieczne miasteczka, jak np. Ramatuelle. Miód!





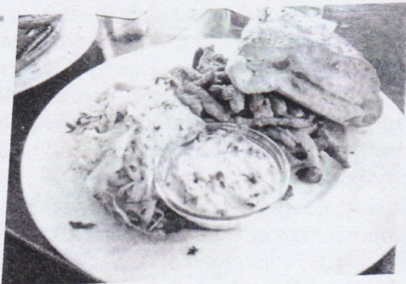




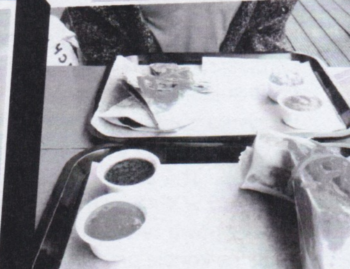


Nie odwiedziliśmy w tym czasie żadnej wege knajpy, bo najbliższa była od nas oddalona o ok. 50 km. W miejscowych restauracjach ciężko było dostać coś wegańskiego, a płacenie za talerz frytek i sałatkę 15 euro raczej nie wchodziło w grę. Druga sprawa to to, że tam mało kto z obsługi mówi w innym języku niż francuski, menu oczywiście po francusku. I weź teraz wytłumacz, że chciałbyś zjeść coś wegańskiego. Poważnie, w jednej kawiarni ciężko było nawet uzyskać informację, czy jest mleko roślinne do kawy, po angielsku kelnerka nie rozumiała zwrotu soy milk, próbowaliśmy po francusku, ale tym bardziej patrzyła na nas jak na kosmitów. Nie wiem, czy to norma na południu Francji, bo z tego, co wiem przyjeżdżają tam ludzie z całego świata. Ostatecznie, raz się jeszcze skusiliśmy na luksus i zamówiliśmy pizzę. Była całkiem dobra, tym razem kucharz był bardziej ogarnięty, dobrze ją doprawił, a nawet sam nam ją przyniósł. Bardzo świeża pizza z karczochami i innymi warzywami. Pycha! Nie wiem, czy za szybko ją zjadłem, czy co, ale najwyraźniej stanęła mi na żołądku i w nocy całą musiałem zwymiotować, hehe. Tej nocy była straszna burza z błyskawicami, piorunami i w całym campingu następnego dnia nie było prądu. Tak więc po krótkich oględzinach tutejszych opcji żywieniowych, głównie nastawiliśmy się na gotowanie. Mieliśmy turystyczną kuchenkę gazową, garnek i









patelnię, balkon w domku campingowym, wokół pełno warzyw i owoców, nie było przeciwwskazań. Gotowaliśmy dania głównie jednogarnkowe, jakieś leczo z tutejszych warzyw sezonowych. Jeśli chodzi o półprodukty, to udało nam się wyhaczyć w większym markecie tofu i gotowe kotlety sojowo-warzywne, mleko sojowe, ale ogólnie widać było dużą różnicę w wege asortymencie w stosunku do Włoch. Raczej biednie. Z ciekawostek – znaleźliśmy kawior z bakłażana i krem do smarowania kanapek z kasztanów. Ludzie tutaj jedzą dużo ryb, owoców morza, no i połowa marketu to regały z winami. Saint Tropez to wielkościowo taka nasza Krynica Morska, mam nadzieję, że w większych miejscowościach wygląda to inaczej i jest więcej opcji wegańskich. Nie było nam jednak dane tego sprawdzić. Jeszcze jeden nocleg w Castellane w Prowansji, nad jednym z największych kanionów w Europie nad rzeką Verdon, i powrót przez Niemcy.

Na deser zostawiliśmy sobie Berlin. Po drodze zajechaliśmy na nocleg do Manheim. Byliśmy już bardzo spragnieni jakiegoś wegan tłustego jedzenia, powrotu na łono cywilizacji śmierci, hehe. Pierwszy przystanek w Niemczech i się nie zawiedliśmy. Znaleźliśmy świetną knajpę w klimacie marynarskim – Kombuse Manheim. Sporo meksykańskich przystawek, burgerów. Długo się nie zastanawialiśmy, na ruszt poszły vegan cheese burgery i do tego pieczone ziemniaki. Po wszystkim ledwo zatoczyliśmy się z powrotem do auta.

Berlin jak zwykle najlepszy! Siedząc w Goodies, pałaszując wegańskiego bajgla jajecznego i tort, zapijając kawką, pomyślałem, że po kiego jechaliśmy do tej Francji, tylko spłukaliśmy się na winiety i opłaty autostradowe. Mogliśmy przyjechać do Berlina, całe dwa tygodnie obżerać się w różnych wegańskich lokalach, chodzić na koncerty i po sklepach z winylami, hehe.

Po zakupach w Veganz po raz pierwszy odwiedziliśmy Viasco – wegańską restaurację, która serwuje nieco bardziej wyrafinowane żarcie niż burger z frytami. Fajna odskocznia od tego całego vegan junk foodu z Friedrichshain. Wzięliśmy gyros z pitą z sosem tzatziki i surówkami oraz pieczeń z seitana z pieczonymi ziemniaczkami i fasolą w jakimś dobrym sosie, którego już nie pamiętam. Szczerze polecam! Trzeba zapłacić kilka euro więcej, ale naprawdę warto. Na deser poszło tiramisu i ciasto czekoladowe. Następnego dnia wybraliśmy się do Emma Pea – lokalu w sąsiedztwie Cassiopei. Zajebiste burrito, ale porcje raczej lunchowe. Chcieliśmy też sprawdzić Let it Be, ale odbiliśmy się od drzwi, bo tutaj z kolei otwierają o 15:00. Włoch i Francuz by się wkurzył, hehe. Aha, 10 metrów obok Goodies, przy Warschauer Str., jest fajny sklep z winylami – Bis aufs Messer. Bardzo dobry zestaw! *Witek Adult Crash, fot. autor*





■ Dyskusja na temat najskuteczniejszej metody walki z wykorzystywaniem zwierząt to stały punkt globalnego ruchu animalistycznego. Co daje lepsze rezultaty? Bojkot przedsiębiorstw zarabiających pieniądze na cierpieniu, przyjazny image i namawianie społeczeństwa na zmianę stylu życia czy może akcje uświadamiające, petycje, demonstracje? Opinii na ten temat jest tyle, co samych strategii działania. Zdecydowanie dominują te bardziej pokojowe formy, chociażby na przykładzie działających fundacji i stowarzyszeń. Są jednak ludzie, dla których podpisany sprzeciw wobec działalności cyrków bądź promowanie weganizmu wśród znajomych nie wystarczą. Chcą pomóc konkretnym zwierzętom, tu i teraz, obierając bardziej radykalną taktykę – akcję bezpośrednią. Nikt nie wie, kim są. Podpisują się jedynie skrótem ALF.

Wszystko zaczęło się w roku 1973, kiedy to sześcioro aktywistów prozwierzęcych z Ronniem Lee na czele utworzyło w Londynie grupę o nazwie The Band of Mercy, nawiązując do angielskich działaczy, którzy już w XIX wieku zajmowali się udaremnianiem polowań na lisy. Każdy z nowo zawiązanej ekipy był wegetarianinem bądź weganinem i miał na koncie pracę na rzecz różnych organizacji animalistycznych (sam Lee był m.in. w Hunt Saboteurs Association). To, co ich połączyło to poczucie, że dotychczasowa działalność nie przynosiła zadowalających, namacalnych rezultatów. Potrzebowali nowego podejścia do sprawy. Pojawił się pomysł przeprowadzania akcji bezpośrednich, będących uderzeniem w każdego, kto wyzyskuje zwierzęta. Za cel obrano sobie ich własność prywatną. Już wtedy istotną zasadą stało się takie przeprowadzanie akcji, aby nikomu nie wyrządzić krzywdy. Przemoc dopuszczalna była jedynie w samoobronie, choć stanowisko w tej sprawie samego Lee nieco się zmieniło – „Osobiście teraz tego żałuję i uważam, że powinno się wtedy znaleźć miejsce na użycie przemocy w ograniczonym zakresie wobec oprawców zwierząt".

Na samym początku grupa zajmowała się utrudnianiem życia myśliwym polującym na lisy. Chodziło głównie o uszkadzanie ich pojazdów. Nowe cele pojawiły się dość szybko - już pod koniec 1973 roku grupa podjęła dwie próby podpalenia laboratorium wiwisekcyjnego w Milton Keynes (był to pierwszy taki przypadek w historii ruchu animalistycznego), a następnie uszkodzenia łodzi wykorzystywanych przy polowaniu na foki. Kolejny atak skierowany był na pojazdy, którymi transportowano zwierzęta do laboratoriów. Między lipcem a sierpniem kolejnego roku miało miejsce 8 włamań do laboratoriów prowadzących testy na zwierzętach, dodatkowo atakowano hodowle kurczaków i sklepy z bronią. Podczas każdej takiej akcji dewastowano budynki, niszczono sprzęt oraz unieruchamiano zastałe pojazdy. W tym samym okresie doszło też do pierwszego wyzwolenia zwierząt – były to świnki morskie zabrane z farmy w Wiltshire, która została szybko zamknięta w obawie przed kolejnym wtargnięciem. Działalność The Band of Mercy nie przysporzyła im sympatyków wśród części obrońców zwierząt ze względu na radykalne metody. Hunt Saboteurs Association oferowali nawet nagrodę w wysokości 250 funtów za informację, kto za tym wszystkim stoi.

W sierpniu tego samego roku dwóch aktywistów (Lee i Cliff Goodman) zostało aresztowanych i skazanych na 3 lata więzienia za wtargnięcie i zniszczenie sprzętu Oxford Laboratory Animal Colonies w Bicester. Wyrządzone szkody oszacowano na ok. 25 tys. funtów. Całemu procesowi sądowemu towarzyszyły protesty pozostałych aktywistów, nie zmieniło to jednak decyzji wymiaru sprawiedliwości. Pobyt w więzieniu również nie należał do spokojnych. Ronnie szybko ogłosił strajk głodowy, aby przyznano mu wegańskie posiłki i ubrania. Taki obrót sprawy z pewnością ostudziłby zapał niejednego aktywisty, czego obawiał się Lee. Strach przed więzieniem mógł skutecznie zakończyć temat akcji bezpośrednich. Jak się później okazało, wszelkie obawy były bezpodstawne. Do stałych członków The Band of Mercy dołączyli nowi aktywiści, tworząc trzydziestoosobową grupę. Po wyjściu z więzienia Ronnie stał się jeszcze bardziej wojowniczy w swoich przekonaniach. Pierwszym krokiem była zmiana nazwy. TBoM był niezbyt odpowiednim szyldem, pod jakim miałby działać ruch rewolucyjny. Potrzebowali czegoś, co nawiedzałoby w najgorszych

snach każdego oprawcę zwierząt. Musieli się ich bać. Tak narodził się Animal Liberation Front – Front Wyzwolenia Zwierząt.

Dalsza praca wyglądała podobnie jak w przypadku The Band of Mercy. Większa liczba aktywistów pozwoliła np. na częstsze uwalnianie zwierząt z laboratoriów wiwisekcyjnych, a także na rozpropagowanie idei. Powoli zaczęły pojawiać się na terenie całego kraju (a w późniejszych latach na całym świecie) grupy inspirujące się ALF-em. Podstawą ich działalności jest pełna autonomia, decentralizacja, brak hierarchii oraz anonimowość ze względu na nielegalny charakter. W praktyce oznacza to brak formalnej struktury, „biura" dowodzącego akcjami. Brak też „szefostwa", aktywiści są sobie równi. ALF tworzy każdy, kto chce



polepszyć los wykorzystywanych zwierząt. Główne cele to spowodowanie jak największych strat ekonomicznych i zniszczenie własności prywatnej osób i instytucji czerpiących korzyści z eksploatacji istot żywych, uwalnianie zwierząt z laboratoriów, ferm futrzarskich i zapewnienie im życia bez cierpienia w (o ile to możliwe) środowisku zbliżonym do naturalnego, ujawnianie okrucieństwa tego typu miejsc poprzez pokojowe akcje i wystrzeganie się przemocy (dopuszczalna jest jedynie samoobrona). Awersja do agresji jest niezwykle istotną cechą ruchu, dlatego też akcje są tak planowane, aby nikt w ich wyniku nie ucierpiał (np. ochroniarze atakowanych budynków). Niszczenie mienia natomiast nie jest przez nich uważane za akt wandalizmu, a jako samoobrona wymierzona w imieniu bezbronnych stworzeń przez współodczuwających. Każda niezależna grupa funkcjonująca w oparciu o te wytyczne może uważać się za część całego ruchu. Powstały też grupy wolontariuszy wspierające bezpośrednio samych członków ALF, np. ALF Supporters Group, które zajmują się pomocą aktywistom przebywającym w więzieniu.

Po pierwszym roku istnienia Front wyrządził zniszczenia na ok. 250 tys. funtów, atakując rzeźnie, sklepy mięsne, hodowców, lokale fast food itp. Co ciekawe, początkowe akcje były dość pozytywnie oceniane przez społeczeństwo. Media ogłosiły nawet „bohaterem" jednego z aktywistów – Mike'a Huskissona, który w czerwcu 1975 roku uwolnił trzy psy rasy beagle z laboratorium testującego wyroby tytoniowe. Z czasem jednak ten obraz uległ zmianie. Lata 80. to okres wzmożonej działalności ALF. Podstawową metodą nadal był sabotaż ekonomiczny. Coraz liczniejsze były też włamania w celu wyniesienia zwierząt z laboratoriów, a także podpalenia sklepów sprzedających futra. Radykalizacja działań prowadziła do coraz większych strat ponoszonych przez biznesmenów wyzyskujących istoty żywe. Naciski lobbystów sprawiły, że medialny obraz empatycznego aktywisty ratującego słodkie pieski zmienił się na fanatycznego „ekoterrorystę", zagrażającego porządkowi publicznemu. W 1986 roku powołano do życia specjalny oddział policyjny Scotland Yardu do walki z prozwierzęcymi „ekstremistami" – Animal Rights National Index (ARNI). Ich pierwszą większą akcją było aresztowanie wolontariuszy z ALF Supporters Group. Aktywiści biorący udział w akcjach bezpośrednich dostawali coraz większe wyroki, do 10 lat pozbawienia wolności włącznie. Był to znak, że krwawy biznes czuje się zagrożony. W kolejnych latach profity przemysłu mięsnego również zaczęły być podkopywane. Wybijane okna sklepów mięsnych, podpalane rzeźnie, zanieczyszczone wyroby na sklepowych półkach, uszkodzone pojazdy transportowe - do tego typu akcji dochodziło coraz częściej. Przełom lat 80. i 90. to straty na sumę ok. 6 milionów funtów. Do tego dochodziły zwiększone wydatki na ochronę i monitoring.

Według danych FBI początki akcji bezpośrednich w imię praw zwierząt na terytorium USA to lata 70. Pierwszą akcją pod szyldem ALF było wyniesienie przez aktywistów kota, dwóch psów i dwóch świnek morskich z laboratorium New York University Medical Center 14 marca 1979 roku. W maju 1984 roku nieznani sprawcy włamali się do kliniki Uniwersytetu Pennsylvania, dokonali zniszczeń na 60 tys. dolarów i wykradli taśmy wideo z tamtejszego monitoringu, zawierające 60 godzin nagrań, na których uwiecznione zostały poczynania badaczy. Widać było na nich m.in., jak „zabawne" wydawały się im zabiegi przeprowadzane na zwierzętach. Kompromitujące nagrania trafiły w ręce PETA. W wyniku ich kampanii doprowadzono do zamknięcia kliniki. 20 kwietnia 1985 roku kalifornijski odłam ALF włamał się do laboratorium Uniwersytetu w Riverside, dokonując zniszczeń wycenionych na ok. 700 tys. dolarów i uwalniając z klatek 468 zwierząt. W rezultacie zawieszono 8 niezakończonych projektów badawczych, do tego utracono wyniki badań medycznych prowadzonych przez lata. Wtedy też ówczesny dyrektor National Institutes of Health (oddział Ministerstwa Zdrowia i Pomocy Humanitarnej Stanów Zjednoczonych), James Wyngaarden, określił naloty ALF mianem „aktów terroryzmu".

Jeszcze w latach 80. na terenie Wielkiej Brytanii pojawiły się dwie nowe grupy wzorujące się na Animal Liberation Front – Animal Rights Militia i Justice Department. Różnica między nimi a ALF-em polegała na odrzuceniu zasady o niestosowaniu przemocy wobec ludzi. Według nich dotychczasowe akcje były „zbyt łaskawe" wobec oprawców i wyzyskiwaczy zwierząt. Zaczęto od pogróżek słownych wysyłanych do hodowców, właścicieli sklepów, rzeźni itp. To był jednak dopiero początek. W 1982 roku czworo liderów głównych partii politycznych, w tym Margaret Thatcher, dostało przesyłki zawierające w środku bomby (żaden ładunek nie eksplodował). W listopadzie tego samego roku do mediów dotarła wiadomość, że batony „Mars" zostały zatrute przez aktywistów, aby zmusić korporację do rezygnacji z przeprowadzania testów na małpach. Rzekomo zatrute produkty znalazły się już W



sprzedaży w Londynie, Leeds, Yorku, Southampton i Coventry. Miliony batonów zostało usuniętych ze sklepowych półek, wstrzymano też Ich dalszą produkcję, co kosztowało koncern łącznie 4,5 miliona dolarów. Jak później przyznali aktywiści, cała akcja była blefem.

Kolejne przedsięwzięcia były już o wiele bardziej poważne. Tym razem zaczęto podkładać prawdziwe bomby, głównie pod domy towarowe sprzedające futra. Wiele z nich, jeśli nie w całości, to przynajmniej częściowo, zostało zniszczonych. Kraj zalała też plaga przesyłek z

zapalnikami jak i bomb instalowanych na podwoziach pojazdów. Zazwyczaj celem takich ataków byli wszelkiej maści badacze wykorzystujący w swych pracach zwierzęta. Część zamachów udało się udaremnić, ale były też przypadki poparzeń skóry twarzy i rąk ofiar, nie wspominając o wielu uszkodzonych bądź całkowicie zniszczonych pojazdach. Zastraszano właścicieli koncernów, zwykłych pracowników, ich rodziny, partnerów biznesowych. Kampania nowej fali działaczy animalistycznych była tak samo brutalna, jak i skuteczna. Zamykano kolejne przybytki, np. Consort Kennels (testowanie na beagle'ach), Hillgrove Farm (chów kotów przeznaczonych do laboratoriów), Newchurch Farm (chów świnek morskich) i wiele innych. Podobnie wyglądała sytuacja w USA. Warto podkreślić, że w tym samym



czasie działało niemało aktywistów ALF, którzy byli wierni początkowym założeniom ruchu mówiącym o wystrzeganiu się jakiejkolwiek przemocy.

W 1988 roku w Grudziądzu Darek Paczkowski założył polski odpowiednik ALF – Front Wyzwolenia Zwierząt. Początkowa inspiracja szybko jednak przeszła metamorfozę w organizację pokojową, rezygnującą z typowych akcji bezpośrednich i skupiającą się na demonstracjach, protestach i akcjach edukacyjnych. Podstawą działań był więc pacyfistyczny charakter oraz legalność. Za główny cel obrano nie bezpośrednie wyzwalanie zwierząt z klatek, a „rozbudzanie ludzkiej wrażliwości na ból i cierpienia zwierząt, pogłębienie współczucia dla istot słabszych niemogących samemu się bronić". Taki rodzaj przyjętej taktyki tłumaczono faktem, iż długotrwałe kreowanie opinii publicznej na temat przedsiębiorstw wykorzystujących zwierzęta jest skuteczniejsze niż akcje bezpośrednie, które są źle odbierane przez społeczeństwo, gdyż kojarzą się z radykalizmem i przemocą. Po roku 1996 struktury organizacji stopniowo przerzedzały się, malała też liczba przedsięwzięć grupy. Poza FWZ na terenie Polski działali także aktywiści opierający się na akcji bezpośredniej. Również u nas znaleźli się ludzie gotowi złamać prawo w imię walki o prawa zwierząt. Dochodziło do wypuszczania lisów z hodowli, włamań w celu udokumentowania warunków panujących na fermach, wybijania szyb w zakładach mięsnych, dewastacji siedzib stowarzyszeń myśliwskich, niszczenia ambon, przebijania opon w pojazdach należących do właścicieli cyrków itp. Nigdy jednak nie były to akcje na tak dużą skalę jak na Zachodzie.

Radykalny ruch animalistyczny dotarł również do Rosji. Pierwsza akcja Rosyjskiego Frontu Wyzwolenia Zwierząt (RALF) miała miejsce w 2000 roku. Na południu kraju, w Krasnodarze, nieznani sprawcy zaczęli regularnie atakować miejscowe zakłady zabijające zwierzęta i wytwarzające produkty odzwierzęce. Na ścianach zakładów mięsnych i rzeźni pojawiły się napisy oskarżające tamtejszych pracowników o morderstwa, wybijano też szyby, uszkadzano zamki w drzwiach. Dwa lata później w Soczi zaczęły pojawiać się podobne slogany na sklepach z futrami. Grożono też Podpaleniem. Odpowiedzialność za ataki wziął na siebie właśnie RALF. Latem tego samego roku nieznani sprawcy zniszczyli 70 reklam wystawy egzotycznych zwierząt, a następnie namalowali na ścianach miejscowego delfinarium slogany typu „delfinarium to więzienie" i „wolność dla zwierząt". Powstała też grupa wspierająca aktywistów, uruchomiono stronę internetową, a także zaczęto drukować ulotki informacyjne. Na początku września 2003 roku po raz pierwszy dokonano ataku na dwa sklepy futrzarskie i jeden myśliwski w Moskwie. Grupa wsparcia RALF wysłała do mediów komunikat mówiący „Musicie pamiętać, że będziemy kontynuować sabotaż ekonomiczny wymierzony w zabójców zwierząt, póki nie zatrzymają ich krwawego biznesu. Nic nas nie powstrzyma". Do maja następnego roku zaatakowano kolejne 18 sklepów – futrzarskie, mięsne i myśliwskie. Skupiano się głównie na wyrządzaniu szkód materialnych i propagowaniu idei, lecz jak dotąd żadne zwierzę nie zostało uwolnione. Zmieniło się to 21 kwietnia 2004 roku, kiedy to członkowie RALF wtargnęli do laboratorium Rosyjskiej Akademii Medycznej i wykradli 119 żab. Na kolejne akcje nie trzeba było długo czekać. 8 maja z klatek Wydziału Biologii na Uniwersytecie Moskiewskim zniknęło 110 szczurów i 5 królików, których używano w eksperymentach związanych z działaniem alkoholu i narkotyków. Wszystkie te wydarzenia były jedynie początkiem rozrastającego się odłamu ALF w Rosji.

W Stanach Zjednoczonych postanowiono podjąć konkretne kroki w walce z „ekoterrorystami" porównywanymi do ekstremistów antyaborcyjnych, którzy zasłynęli z podkładania bomb pod kliniki aborcyjne na terenie całego kraju. 29 września 2006 roku Senat Stanów Zjednoczonych zatwierdził AETA – Animal Enterprise Terrorism Act rozszerzający definicję „przedsiębiorstw wykorzystujących zwierzęta", wliczając w to zarówno akademickie placówki prowadzące badania, jak i komercyjne zakłady wytwarzające i sprzedające produkty odzwierzęce. Nowe prawo zwiększa również uprawnienia Departamentu Sprawiedliwości w walce z organizacjami prozwierzęcymi. Od tamtej pory wysokość kary stała się zależna od wysokości strat ekonomicznych, jakie poniósł zaatakowany przedsiębiorca. Ostatecznie ustawa została podpisana przez George'a Busha w listopadzie tego samego roku. Poza ALF-em o „ekoterroryzm" były swego czasu oskarżone m.in. takie organizacje jak Earth Liberation Front (ELF), Greenpeace, Sea Shepherd Conservation Society, People for the Ethical Treatment of Animals (PETA), Earth First!, The Coalition to Save the Preserves i Hardesty Avengers.



Od tamtego czasu setki aktywistów prozwierzęcych trafiło do więzienia, odsiadując nierzadko kilkunastoletnie wyroki. Ciągle istnieją grupy wolontariuszy, których zadaniem jest wsparcie osadzonych, chociażby przy wywalczeniu wegańskich posiłków w placówce penitencjarnej. Po latach Ronnie Lee widzi cały ruch następująco: „Obecnie ALF działa bardziej na zasadzie wsparcia dla innych, legalnych kampanii, często przyczyniając się do ostatecznego upadku przedsiębiorstw będących już i tak pod dużą presją. Dodatkowo akcje ALF są bardziej skoncentrowane, a tym samym o wiele bardziej skuteczne". Mimo że skala zjawiska nie jest już tak duża jak na przełomie lat 80./90., w dalszym ciągu na całym świecie istnieją małe, autonomicznie działające odgałęzienia ALF oddane idei całkowitego wyzwolenia zwierząt poprzez akcję bezpośrednią. *Marcin*

SEPS. Alternatywa – tym dla mnie jest sXe. Od tego wszystko się zaczęło. Miałem 16 lat i byłem – jakkolwiek dziwnie to zabrzmi – zmęczony moim lekkim podejściem do alko. Byłem metalowcem i każde towarzyskie spotkanie czy wyjście na koncert było dobrym pretekstem, żeby chlapnąć browca.

Chodziłem do technikum budowlanego w Poznaniu, w pobliżu którego był Stary Browar (nie był jeszcze wtedy centrum handlowym z zacięciem kulturalnym). Wprawdzie już nie warzono w nim piwa, ale sklep wciąż Działał, a sprzedawcy raczej nie mieli skrupułów, żeby sprzedać nam alkohol. Może byliśmy wyrośnięci jak na swój wiek ;) Często wyskakiwaliśmy na dużej przerwie ze szkoły, wypijaliśmy browara duszkiem i wracaliśmy na lekcje.

Trochę się piło... kilka razy zdarzyło się "przegiąć" – czasem było śmiesznie, czasem strasznie i niebezpiecznie. Nie była to żadna patologia i daleko było do tego, by uznać, że miałem problem z alko, ale widocznie coś mnie uwierało.

W tamtym czasie zacząłem słuchać więcej hc/punka i dowiedziałem się, że prócz metalu istnieje inna ciekawa ekstremalna muza, za którą często stoi poważna idea. Dwie "pały" na półrocze i mama mówi, że to przez długie kłaki. Ich też już miałem dość. Trochę była w szoku, kiedy wyszedłem z łazienki z włosami o 30-40 cm krótszymi.

Gdzieś musiałem usłyszeć o straight edge, choć przyznaję, że nie pamiętam gdzie i od kogo. Faktem natomiast jest, że zacząłem być odmieńcem wśród moich alternatywnych kumpli. Oni nadal chodzili na przerwach na browara, ja zaś celebrowałem kolejki jogurtów i kefirów, tak wiem – mało wegańsko, ale wtedy jeszcze nawet nie byłem wege.

Od tego momentu sprawy zaczęły podążać w ciekawym kierunku. Na którejś z przerw (ach, te przerwy w technikum) podszedł do mnie Stiepan i zaprosił na próbę swojego zespołu. W sumie to się nie znaliśmy, ale Stiepan pewnie miał już założoną teczkę i wszystkie potrzebne dane na mój temat.

I tak, dzięki przejściu na jasną stronę mocy, do teraz jestem w zespole, który jest bardzo ważną częścią mojego życia, daje mi wciąż Mnóstwo satysfakcji i czystej, nieskrępowanej radochy.

Tamten czas – początki Cymeon X zasiały we mnie dwie ważne idee: sXe i życie bez mięsa. Dwa świetnie uzupełniające się style życia, mogące wprawdzie istnieć niezależnie, ale w moim przypadku najlepiej działające w komitywie. Wiem, bo w ciągu tych wielu lat zdarzyło mi się połamać, jeżeli chodzi o alko (fajki i dragi nigdy mnie nie interesowały, raczej czułem do nich zdecydowaną niechęć), i na jakiś czas odejść od bezmięsnej diety. Od dłuższego czasu jednak jestem z powrotem na właściwym torze – z pewnością właściwym dla mnie.

Punk to przecież bunt i życie w alternatywie do społeczeństwa. SXe i wegetarianizm czy weganizm mogą z powodzeniem być właśnie takim buntem i alternatywą. Dla mnie zawsze będą. *Norba Cymeon X*

BE TRUE AND STAY ALIVE



DRUGS ARE FOR LOSERS

Siema.

Drogi kolego, dawno się nie odzywałem, ale sprawa jest najwyższej wagi i chyba już pora, żebym szczerze opowiedział Ci o moim straight edge. Historia zaczyna się jakoś w okolicach roku 1998, gdy ze zjawiskiem tym zapoznał mnie Paweł z Suwałk (kiedyś gitara w T.O.Y, później pałker w Last Dayz, a teraz znowu gitara, ale w Street Lights). Było to coś innego, bo większość dzieciaków (a my mieliśmy wtedy jakieś 14 lat) raczej nie może się doczekać pierwszego alko, szlugów, trawki narkotycznej itd. A ja byłem (jestem?) jak większość dzieciaków i jarały mnie te właśnie dorosłe rozrywki. Parę lat później temat powrócił. O dziwo wejście pod parasol sXe było dość łatwe. Może to dlatego, że nigdy nie byłem jakimś wielkim fanem alkoholu czy narkotyków. Pamiętam jednak, że rzucenie szlugów było dość irytującym doświadczeniem. W każdym razie stanęło na tym, że w wieku około 20 lat przywdziałem szaty krzyżowca. Teraz mam lat 31 i powiem szczerze, że dalej uważam się za sXe. Może już mnie tak bardzo nie jara obnoszenie się z tym i manifestowanie mojego światopoglądu jak kiedyś, ale dalej czuję się X. Powiem Ci nawet, że parę razy napiłem się w tym czasie alkoholu... a mimo wszystko dalej czuję się sXe. Były dramaty, które chciałem złagodzić w ten sposób, ale żadnego złagodzenia nie było. Był ten sam dramat, tylko że zalany alkoholem. Więc z perspektywy czasu oceniam to jako zbędne. Ostatni raz piłem sobie piwko przed wyjazdem do UK, gdy żegnałem się z rodzeństwem. Też moja decyzja. Nie czuję z tego powodu straty, że order jakiś mi zabrano czy splamiłem jakiś sztandar. Po prostu. Nie żałuję, to moje życie. Możesz sobie myśleć, że dupa ze mnie, a nie sXe. Możesz. Nie mam zamiaru się wypierać czegoś ani zapierać za wszelką cenę. Nie obchodzi mnie to. Chciałem być po prostu z Tobą szczery, chociaż może Cię to nie obchodzić.

Możesz się też zastanawiać, czemu Ci o tym piszę w tym oto liście. Sam nie wiem, po co się "demaskuję". Słuchaj, jestem już dorosłym gościem, za starym na zmianę pewnych rzeczy, świadomym pewnych kwestii i swojego życia. Pewnie myślisz sobie, że nie można być sXe na zasadzie on/off. Możliwe, że masz rację. Wiesz, nie czuję, że mój sXe jest lepszy od Twojego, ani nie uważam się za gorszego, bo są inne, ważniejsze rzeczy, które definiują Twoją wartość. Może bycie trzeźwym weszło mi już tak w krew, że się nad tym nie zastanawiam? Nie widzę sXe jako mesjańskiej drogi, białego szlaku bożonarodzeniowej gwiazdy czy innego chwalebnego znamienia. Dla mnie jest to sposób, w jaki żyję. Nie wiem, czy sXe uratował mi życie, ale wiem, że mnie czegoś nauczył. Nauczył mnie bycia w zgodzie ze sobą i obojętności na czyjeś osobiste opinie.

Wiem, że ten list nie jest tym, czego się spodziewałeś po tak długim czasie. Mam nadzieję, że niedługo znowu do siebie napiszemy.

Cześć!

Bartek Ciałko X Zieleni



Astrid Lindgren

Żeby słowa, oprócz wrażeń estetycznych, niosły jakąś treść moralną czy ideologiczną i wspierały na duchu, teraz, w tych trudnych czasach, w których zmienia się scena polityczna i przelewają się przez nią grona prawicowych i okołofaszystowskich gnojów.

■ Historia emocore'u układa się niezwykle ciekawie. Przez lata lepiej było nie przyznawać się przy twardogłowych hardcore'owcach do fascynacji tą bardziej emocjonalną odsłoną hc/punka. Sceny wydawały się odseparowane od siebie, choć o wspólnych korzeniach. Na szczęście to już przeszłość. Emo kapele są doceniane przez coraz szersze grono. Widzę też na naszej scenie kilka młodych zespołów z tego nurtu, które przejęły pałeczkę od starszych, zaangażowanych załóg, reprezentujących konkretne wartości i postawy. Najlepszym przykładem takiej mieszanki emocji z większą świadomością jest Astrid Lindgren. Pod gradobiciem pytań znalazł się Szczepan (wokal) i Biały (gitara).

Marcin: Witam!

Szczepan: Witamy serdecznie!

M: Z racji tego, że wasz zespół jest już całkiem dobrze znany na scenie, może powiecie coś o sobie w skrócie dla tych, którzy te kilka lat przesiedzieli w piwnicy?

S: Czy o Astrid Lindgren można w ogóle dużo powiedzieć? Generalnie wiele już padało pytań o to, czemu nazywamy się tak, a nie inaczej, co nas napędza do działania itd. Ja w skrócie mogę powiedzieć, że jesteśmy po prostu zbiorem ludzi o różnorakim spojrzeniu na to, jak powinno wyglądać życie i myślę, że tworząc wspólnie, staramy się to wszystko ująć w naszej muzie. Z początku założyliśmy, że nasza muzyka ma być czymś, co będzie się odwoływało do czasów, kiedy wszystko było przyjemniejsze i prostsze, czyli do dzieciństwa – stąd też głównie wzięła się nazwa, która poniekąd do niego właśnie odsyła. Chyba ciężko nas zaszufladkować, jeżeli chodzi o nasze przekonania. Niestety nie jesteśmy zespołem w 100% wegetariańskim ani też nie w 100% straight edge'owym – mamy np. na pokładzie dwie osoby z iksami na rękach, jednego wegetarianina, jednego weganina. Każdy z nas reprezentuje sobą coś innego, ale łączy nas przede wszystkim to, że przeciwstawiamy się wszelkim ideologiom i postawom, które są prawoskrętne, uderzają w drugiego człowieka i jego godność. Jesteśmy też przeciwni po prostu wszelkiemu debilizmowi. Tak bym to pokrótce określił.

M: Tworzycie emo. Jak byście określili tę scenę w Polsce? Od paru lat można zauważyć skok popularności takiego typu grania. Jest coraz więcej zespołów, jest większa różnorodność.

S: Jeżeli powstaje dużo takich zespołów, to mam nadzieję, że nie tylko ze względu na modę, a też na to, że taka stylistyka pozwala lepiej trafić do ludzi, nieść ze sobą ładunek emocji, mocniej przeżywać. Generalnie jest to dla mnie gatunek trudny do zdefiniowania. Określają się nim przeróżne zespoły i w sumie nie wiem, czy jest to jeszcze jakiś konkretny rodzaj muzyki, czy liczy się właśnie ten ładunek emocji, który chcesz w niej zawrzeć i przekazać słuchaczowi. Jest na scenie wiele inspirujących zespołów, zaangażowanych w różne sprawy, mających swoje twarde zasady i to jest dla mnie ważne. Muzyka jest tylko narzędziem – czy będzie to emo, zwykły punk rock, hardcore łamany przez hardcore czy mieszanka tego wszystkiego podlana elektronicznym sosem... Wiadomo, to buduje jakość, ale w tym wszystkim najważniejszy jest przekaz. Żeby słowa, oprócz wrażeń estetycznych, niosły jakąś treść moralną czy ideologiczną i wspierały na duchu, teraz, w tych trudnych czasach, w których zmienia się scena polityczna i przelewają się przez nią grona prawicowych i okołofaszystowskich gnojów. Żeby wspierać innych ludzi – to jest w tym najważniejsze.

M: Wyraźnie u was widać przywiązanie do tych typowo hc/punkowych wartości, o których mówisz. Na ogólnoświatowej scenie emo nie było to jednak zawsze takie oczywiste. Zresztą, np. w latach 90. powstał cały odłam midwest emo idący jeszcze bardziej w stronę indie rocka, skupiający się raczej na treściach osobistych niż jakimś konkretnym przekazie.

S: Tak, jasne. Mogło to wynikać z faktu, że te sceny mocno się wtedy dzieliły. Może ze względu na to, że po prostu pojawiały się kolejne upodobania muzyczne, to wszystko tak naprawdę się jeszcze kształtowało. Powstawały zespoły, na których teraz wielu bazuje, albo do których się odwołuje jako do swoich inspiracji. Obecnie to wszystko bardziej się zunifikowało. Oglądałem kiedyś dokument o amerykańskiej scenie hardcore'owej i tam generalnie było oczywiste, że w pewnym okresie wszyscy byli wegetarianami. Wystartował Ray Cappo ze swoim zespołem i zaczął promować weganizm. Ludzie na to: „łoo, weganizm, co to jest?" i zaczęli też przyjmować te idee. Wtedy było oczywiste, że jest się przeciwnym pewnym rzeczom, a z pewnymi rzeczami się człowiek afiszuje. Chociaż oczywiście te sceny się różniły. Gdzieś tam wszyscy mówili o tym, że są wegetarianami, a z kolei na drugim wybrzeżu chłopaki mieli kawałki o tym, że prawdziwy facet je mięso. Przez to też się trochę spinali. Również



zmieniająca się rzeczywistość świata wymaga od nas przyjmowania odpowiednich postaw albo stania twardo przy określonych przekonaniach. W latach 80. czy 90. to też były inne czasy. Teraz np. rzadziej się zdarza, że ktoś kogoś atakuje z nożem z powodów rasowych czy przekonań, co kiedyś było dosyć częstą rzeczą. Chwała oczywiście, że się tak nie dzieje, ale nadal są ataki. Chociażby niedawno na reprezentacyjnej ulicy Poznania, na deptaku, który jest uczęszczany przez setki ludzi, została pobita osoba tylko za to, że ma inny kolor skóry, i nikt nie zareagował.

Biały: Myślę, że nasze teksty w dużej mierze są też introwertyczne i odnoszą się do, jak to zgrabnie nazwałeś, osobistych treści. Nawiasem mówiąc, uważam, że to dobrze, bo odbiorca ma dzięki temu szersze pole manewru do ich interpretacji. Jednak należy pamiętać o tym, że idee realizuje się przede wszystkim przez działanie. Bez tego najbardziej płomienny werbalizm na scenie jest nic nie wart.

M: Często podkreślacie swój antyfaszyzm, niekoniecznie w samej muzyce, ale bardziej przy okazji koncertów, wspieranych przez was akcji. Jak to wygląda z waszej perspektywy, przy obecnej sytuacji, kiedy zachodzące zmiany w Europie i Polsce nie idą raczej ku dobremu? Jak ten antyfaszyzm miałby wyglądać w praktyce i jak to propagować? Mówi się często, żeby np. rozklejać wlepy, a zwykli ludzie niekoniecznie zwracają na takie rzeczy uwagę, młodzież z kolei żyje w necie.

S: Sprawa jest generalnie złożona. To nie jest tak, że bycie antyfaszystą oznacza, że chodzisz w nocy przebrany za superbohatera i tłuczesz nazioli. Jeżeli nie czujesz tego, uważasz, że nie potrafisz się bić, albo nie chcesz się bić, a jest to bliska ci idea, to działaj na innym polu. Dla mnie każde działanie jest istotne – niech to będzie przyklejanie wlepki. A jeżeli uważasz, że to jest zbyt słabe, zawsze możesz założyć bloga w necie, możesz pisać o tym, co cię denerwuje, co uważasz za stosowne, możesz postować na Facebooku, bo, jak powiedziałeś, ludzie żyją w Internecie, dużo z niego czerpią informacji i warto o tym pisać. Jest parę blogów, czasem warto podlinkować. A jeżeli czujesz się na siłach, umiesz się bić albo masz jakiś tytuł, możesz otworzyć DIY-ową grupę treningową dla swoich znajomych albo dla kogoś innego, znaleźć miejsce, by ćwiczyć wspólnie sztuki walki, żeby w razie czego, gdy ktoś ciebie zaczepi, bo mu się nie spodobasz albo stwierdzi, że jesteś jebanym lewakiem, będziesz mógł powiedzieć mu „spierdalaj" i przypierdolić po prostu za to, że jest zwykłym gnojem. Przykład Torunia jest super. Tam chłopaki zorganizowali ostatnio swoją pierwszą edycję festiwalu sztuk walki, w Poznaniu to już cykliczna impreza - Freedom Fighters. Widać, że to działa. Zupełnie od podstaw, DIY-owe inicjatywy oddolne są najważniejsze. Istotne jest przede wszystkim to, żeby w tym wszystkim nie czuć się samemu. A nawet jeśli jesteś w tym sam, to wiedz, że gdzieś w pobliżu na pewno jest też ktoś, kogo denerwują faszystowskie ścierwa, które się panoszą po ulicach, malują. Możesz wziąć spray, zamalować te ich celty, niech im pęknie żyłka. Ważne jest, żeby coś zrobić, a nie patrzeć na to biernie. Żeby nie mieli poczucia wygranej. Wiadomo, ważne jest, żeby do zwykłych ludzi też spróbować dotrzeć, bo ludzie często, tak mi się wydaje, dają się pociągać trendom. Powiedzą, że nienawidzą imigrantów, ludzi o innym kolorze skóry, wyznających inną religię, bo nic o niej nie wiedzą, tylko naczytali się o niej na jakiejś stronie internetowej. Warto zawsze w związku z tym mieć w głowie kontrargumenty poparte najlepiej literaturą, jakimś przykładem, żeby w dyskusji z taką osobą pokazać jej, że się myli. Może to skłoni do zastanowienia się, do przeczytania czegoś więcej na dany temat. Na każdym polu jest potrzebne działanie, czy to jest informacja, walka, czy chociażby zamalowywanie symboli na ścianach.

B: Chyba jest też tak, że problemem ruchu antyfaszystowskiego jest mocno subkulturowe podejście i niekiedy brak głębszej ideologicznej refleksji. Jasne, że uliczne działania są godne pochwały, ale często dzieje się tak, że faszyzm rodzi się na niezagospodarowanym przez nas gruncie i taką drogę wybierają ludzie zagubieni i słusznie oburzeni na system. Przez swoją bierność po prostu oddajemy im pole.

M: W latach 90. też można było zaobserwować wzrost popularności skrajnej prawicy, było dużo nazioli na ulicach i wtedy jakoś te środowiska alternatywne stanowiły kontrę, przeciwstawiały się temu. Nie odnosicie wrażenia, że obecnie ta „nasza" strona pozostaje w lekkim letargu?

S: Trudno to porównywać. W tamtym czasie było tak, że ludzie z prawej czy z tej skrajnie prawej strony byli całkiem porąbani, potrafili wyciągnąć nóż i kogoś zadźgać. Chociaż zdarzały się takie przypadki jeszcze do niedawna, np. we Francji zginął chłopak z powodów ideologicznych. Został zatłuczony. Zdarzały się też takie sytuacje, jak np. w Uchu – na koncercie nagle zgasły światła, rozległy się okrzyki „Sieg Heil" i zaczęła się jakaś straszna napierdalanka. Wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach dalej są podejmowane działania, są organizacje, są grupy ludzi, którzy starają się z tym wszystkim walczyć, przeciwstawiać się. Ale to też jest trochę sinusoida zainteresowań młodych ludzi, która wiąże się nieodparcie z ich sytuacją gospodarczą. Kiedy np. dochodzi do jakiegoś kryzysu czy ludziom się gorzej żyje, muszą sobie znaleźć kogoś, kto jest za to odpowiedzialny. Niekoniecznie musi to być ktoś, kto naprawdę za to odpowiada. Może to być jakiś wyimaginowany przeciwnik, w którego pakuje się całą swoją agresję. Żyd, imigrant, czarny, lewak. Młodzież łyka takie skrajne przekonania i daje się temu ponieść, daje się w to wciągnąć. Myślę, że jest to po prostu trudny czas, który jesteśmy w stanie przetrwać. Jest przede wszystkim w nas, ludziach, którzy są tym zainteresowani, wola działania, wola propagowania, wola walki. To jest stan przejściowy, ludzie w końcu przejrzą na oczy i zobaczą, że to się nie sprawdza, że to jest chore. Ale też zawsze zastanawiało

mnie, co czują ci ludzie, którzy nagle budzą się po tej złej stronie barykady z ręką w nocniku i co oni sobie wtedy myślą. Ciekawe...

B: Niestety, młodzi ludzie w Polsce często dają sobie wmówić, że pożar można ugasić napalmem. Z jednej strony narzekają na słabe warunki do życia albo umowy śmieciowe, a z drugiej lekarstwa szukają w głosowaniu na korwinistów albo nacjonalistów. Dają się nabrać na pozorną „antysystemowość", ale w efekcie przynosi to całkiem odwrotny skutek. Jak mówił już Szczepan – zamiast sprzeciwiać się politykom odpowiedzialnym za ten stan, upatrują swoich wrogów w wyimaginowanych „komunistach", uchodźcach, atakują skłoty. Czasy są napięte i to też jest powodem wzrostu tego typu postaw, dlatego najgorsza w tym wypadku jest bierność. Inaczej będziemy zdychać w swoim getcie i dziwić się, że prawica rośnie w siłę.

M: W kontraście do zaangażowania i konkretnych postaw teksty macie skupione bardziej na waszym wnętrzu, uczuciach, obawach, emocjach.

S: Od razu zdementuję informację, że ja jestem jedynym autorem tekstów. U nas wszystko następuje kolektywnie, w związku z tym utwory są dziełem nas wszystkich. Jest tak, że każdy pisze jakiś tekst, każdy układa jakiś tam kawałek. To nie jest tak, że powiem ci, kto napisał jaki numer. Po prostu wszyscy tworzymy to razem i się jakoś nie przypinamy do tego, kto co stworzył, bo to jest nasza wspólna robota. W związku z tym te teksty odzwierciedlają po trochu każdego z nas.

M: To trochę mi ułatwiłeś, bo nie muszę pytać tylko o ciebie. Wychodzi na to, że w takim razie wszyscy macie większą skłonność do refleksji, potraficie szerzej patrzeć na świat, jednocześnie zagłębiając się w siebie. Wasze teksty łączą w sobie nadzieję z postrzeganiem rzeczywistości, która niejednokrotnie może być przytłaczająca. Jak to godzicie?

S: Wiadomo, rzeczywistość jest trudna, ale nie można dać się jej złamać. Był taki zespół z Poznania, nazywał się 2nd Wind, mieli utwór pt. „Pozytywnie negatywny" i myślę, że to określenie oddaje jakoś sens tego wszystkiego. Nie da się ukryć, że czasem nie jest lekko i wesoło, czasem jest wręcz beznadziejnie, ale zawsze jest jakieś światełko. Czy to twoja bliska osoba, czy znajomi albo twoja zajawka, która trzyma cię na prostej drodze do tego celu, do którego zmierzasz, i która pozwala ci budzić się rano. Myślisz sobie „kurde, ale słaby dzień będzie dzisiaj". Ale mimo wszystko brniesz, działasz i nie pozwalasz na to, by się zapaść. Ale wiadomo, nie jesteś człowiekiem zrobionym z nie wiadomo czego, żeby cię coś nie mogło czasem lekko załamać. Warto wtedy szukać podparcia w kimś bliskim i jest jakaś szansa, że znajdziesz coś dla siebie. Coś, co cię podtrzyma na duchu, czy po prostu pozwoli ci trzymać gardę wysoko i po kolejnym ciosie zrobisz unik, oddasz i pójdziesz do przodu. Taka jest nasza myśl w tym wszystkim.

M: Mieszając w swojej muzyce dużo ciepła, melodii i emocji, stworzyliście dość charakterystyczne brzmienie. Aż tacy z was niepoprawni romantycy? Kto ma największe poetyckie zacięcie?

B: Bez wątpienia największe poetyckie zacięcie spośród nas miał nasz zmarły niedawno przyjaciel, pierwszy basista i współzałożyciel Astrid Lindgren, Kuba Schönhof-Wilkans. Był bardzo kreatywnym typem – tworzył bardzo dużo muzyki (ostatnio noise w projektach Feldgrau i Dziecka), ale też pisał i publikował wiersze. Natomiast jeśli chodzi zarówno o teksty, jak i muzykę, to tworzymy je wszyscy, jednak wyznajemy zasadę, że nie przyznajemy się publicznie, kto jest autorem danego utworu czy słów. Jakimś cudem potrafimy mniej więcej nadawać na podobnym poziomie wrażliwości i dzięki temu to, co robimy, jest całkiem spójne.

M: Wyczuwalny jest u was duch kojarzący się z Regresem. Nie bezpośrednio przez brzmienie muzyki, ale przez tę ideę przewodnią. Wiecie, ten „punk rock pozytyw", mimo wszystko.

S: No, wiadomo. Trochę wierzymy w ludzi, trochę nie wierzymy, bo czasem potrafią nas załamać. Ja też bardziej mówię za siebie. Nie będę mówił za chłopaków, bo oni mają swoje spojrzenie na te sprawy. Wydaje mi się, że jest to zbyt złożone, żeby powiedzieć, „zawsze jesteśmy tacy pozytywni", ale staramy się szukać tego czegoś dobrego. Ja bym powiedział, że jesteśmy trochę takimi młodostarymi ramolami i interesuje nas najbardziej to, co już było. Kiedyś było generalnie lepiej, nie trzeba było się przejmować pewnymi rzeczami, po prostu wszystko było prostsze.

B: Chyba jednak nasze numery nie są tak do końca pozytywne, bo często jest w nich jakaś łyżka dziegciu w postaci nostalgii. Z pewnością nie patrzymy na świat tylko w pozytywnych barwach. Ja o sobie zawsze mówię, że wierzę w PMA, ale mam przy tym czarne serce.

M: Chciałbym odnieść się do waszego starego kawałka, jednego z moich ulubionych – „Nie używaj słów". Pada tam tekst „Chwalisz się, jaki tolerancyjny jesteś, lecz dlaczego się śmiejesz, gdy mówię ci, w co wierzę?" – możecie powiedzieć, z czego śmieją się „tolerancyjni" ludzie? Zawsze mnie to zastanawiało. Chodzi tu o osoby, które mogą być na scenie dyskredytowane przez swoją duchowość, religijność?

S: Trochę też o to chodzi. Niektórzy mówią o tej swojej tolerancji, ale jeśli przyjdzie ktoś, kto powie „ej, kurde, wierzę w boga", to potrafią go wyśmiać czy zgnoić. Ale to nie jest jeden punkt odniesienia, bo może być ktoś, kto np. mówi, że nienawidzi faszystów, ale ciągle używa słowa „cwel", „pedał" w swojej mowie codziennej, nie czując w tym słownej nienawiści do osób, które są odmiennej orientacji.

B: Kontekst może być bardzo szeroki. Np. można odnieść go do naszej sceny, gdzie wiele mówi się o walce z seksizmem czy homofobią, a z drugiej strony zdarzają się jednak przykre sytuacje, z którymi musimy się borykać na swoim podwórku. Hardcore/punk jest dla wszystkich, o ile akceptują zasadę wzajemnego szacunku – to twoja sprawa, czy jesteś religijny, czy nie, jaki jest twój kolor skóry, z kim uprawiasz seks i ile martwych ziomków masz w portfelu. Mogłoby się wydawać, że to na naszej scenie oczywiste, a jednak zdarzają się ludzie, którzy o tym nie pamiętają.

M.: Z kolei w „Kryjówce" z nowej płyty dzielicie się refleksją nad tymi utraconymi czasami, o których wspominacie. Po połączeniu z genezą nazwy zespołu tworzy się ciekawy koncept całości.

S: Uważamy, że kiedyś było lepiej, jak wszyscy starzy ludzie. My starzy jakoś tam super nie jesteśmy, ale mamy stare spojrzenie na to wszystko. (śmiech)

M: Właśnie chciałem o tym wspomnieć, bo macie też to starsze rozumienie sceny DIY i tej mentalności. Pojawiają się młodsze zespoły, z których część przynajmniej sprawia wrażenie, że powstały tylko po to, żeby sobie pograć, nie ma za tym jakiejś większej idei. A jest to młodsze pokolenie, które nie widziało/nie pamięta lat 90.

S: Ja też nie widziałem za bardzo! (śmiech)

M: Ja też nie, ale wiesz, o co mi chodzi! (śmiech) Mniej mody, więcej przekazu!

S: Rozumiem. Ale wiesz, zawsze tak jest, że powstają zespoły, które grają po to, żeby grać muzykę, ale też jest część ludzi, który już od swoich nastoletnich lat chodzą na demonstracje, angażują się, tworzą, robią Food Not Bombs czy rozklejają wlepki i czują w tym potrzebę działania. My praktycznie wszyscy w zespole jesteśmy punkami, odwołujemy się do tych najważniejszych dla nas punkowych ideałów. A w związku z tym, że jesteśmy "zaangażowanymi" punkami, prócz samego punk rocka jako muzyki ważne jest dla nas właśnie DIY, ważna jest pomoc wzajemna, ważny jest antyfaszyzm i te wszystkie rzeczy naszym zdaniem składają się na to, czym jest ta scena. I jeżeli to jest punk rockiem, a my jesteśmy punkami, to w takim razie czujemy – ja to czuję, chłopaki myślę, że też to czują – że powinniśmy podtrzymywać te wszystkie ideały oraz postawy przy życiu i działać na tych polach.

M: Na nowej płycie trzymacie się wypracowanej formuły czy może trochę eksperymentowaliście?

B: Tak naprawdę to bardzo trudno jest mi odpowiedzieć na to pytanie, bo materiał został już nagrany ponad rok temu i cały czas napotykamy na jakieś trudności, np. na etapie miksu, oczekiwania na tłoczenie itd. Część z tych numerów to z naszej perspektywy już totalne starocie, bo pisaliśmy je jakieś dwa-trzy lata temu. Mogę za to powiedzieć, że z pewnością nie zakładaliśmy z góry jakiejś konkretnej formuły czy konceptu, wokół którego budowalibyśmy cały materiał. Raczej jest to zawsze wypadkowa tego, co w danym momencie nas inspiruje, co czujemy... Chyba komuś z zewnątrz będzie to łatwiej ocenić.

M: Może macie jakieś niezrealizowane pomysły na muzykę, nowy zespół itp.?

B: Mamy setki niezrealizowanych pomysłów na muzykę albo zespoły, które z jakiegoś powodu nie wypaliły. Ostatnio nawet część z nas zamyka się wspólnie w próbowni i stara się coś porobić. Jaki będzie efekt, tego nie mogę zagwarantować ;)

M: Trafiłem w necie na recenzję waszej pierwszej płyty w Teraz Rock. Dostaliście 4/5 gwiazdek! Czyżby nawet rockmani

was doceniali?

B: Trudno powiedzieć. Być może pizdusiowaty emocore jest bardziej strawny dla rockowych uszu niż inne szkoły hc/punka. Tak na serio, to fajnie, że komuś poza "sceną" nasza muzyka może się podobać. Jeśli choć jeden czytelnik Teraz Rocka za naszym pośrednictwem odkrył hardcore/punk i sięgnął po inne kapele, to bardzo się cieszę. To znacznie lepsza nagroda niż recenzenckie gwiazdki – w końcu punk to nie wyścigi.

M: Będziecie płakać po Eye For An Eye?

B: Część z nas na pewno. Dla mnie była to dość ważna kapela w czasie, kiedy poznawałem, czym jest scena punkowa, a ich split z Hunkies zawsze będzie miał szczególne miejsce na mojej półce. Chyba nie ma przesady w stwierdzeniu, że bez kapel takich jak EFAE, nie byłoby też nas. W imieniu swoim i kolegów chylę czoła i pozdrawiam ich serdecznie.

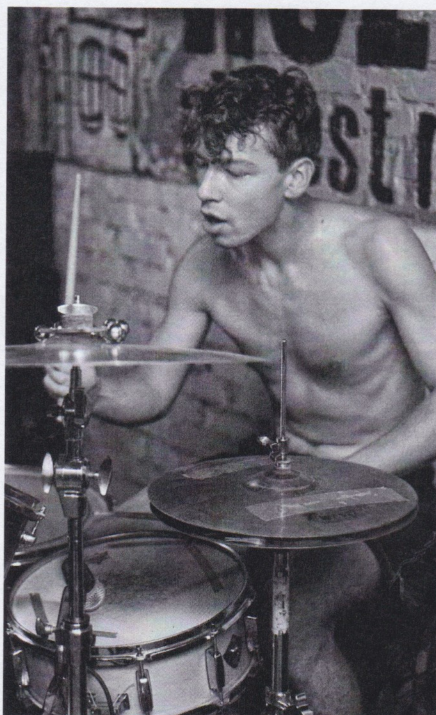
M: Szczepan, jesteś weganinem, tak?

S: No tak.

M: Skąd wzięła się u ciebie ta postawa? Podejrzewam, że to banalne pytanie, bo pewnie ze sceny. Ale to też jest ciekawe, bo w pewnych kręgach widać podejście typu „dobra, jesteśmy na scenie, ogólnie to propsujemy wege i, powiedzmy, niektórzy z nas nie jedzą mięsa, ale coś więcej to już jest dla nas za dużo". Oczywiście nikogo nie krytykując.

S: Przyznam szczerze, że ja generalnie weganinem nie jestem od bardzo dawna, ale żałuję, że nie zacząłem być nim od razu. Przyznam, że (jak to śmiesznie zabrzmi, he, he, he), jak zacząłem być punkiem, zainteresowałem się tym wszystkim, to od samego początku jednym z jego najważniejszych elementów stał się dla mnie antyfaszyzm. To była rzecz, którą na początku zauważyłem. Z domu rodzinnego i nauki rodziców wyniosłem szacunek dla drugiej osoby, dla innego istnienia i w związku z tym oczywistym było dla mnie, że jakieś skrajne ideologie, które uderzają w dobro drugiego człowieka są po prostu błędem, chorobą psychiczną. To była pierwsza rzecz, którą zaobserwowałem, oprócz tego, że była tam ostra muzyka, która bardzo mi się podobała. Kolejną rzeczą, jaką uznałem za naturalną dla sceny punk rockowej, jest to, że jesteś zaangażowany w prawa zwierząt i w związku z tym stwierdziłem, że przestanę jeść zwierzęta. Myślę, że też złożył się na to inny fragment mojego życia, ponieważ mój ojciec chrzestny był wegetarianinem prawie całe swoje życie, a obecnie jest też weganinem. To też był jakby motor napędu. Pozdrawiam go :) Podjąłem taką decyzję i stwierdziłem, że w takim razie, skoro chcę być punkiem, chcę nosić spodnie w kratę, chcę słuchać tej szybkiej muzyki, chodzić na koncerty i pić tanie wina, to wegetarianizm jest tutaj naturalną drogą. Mija już ponad 10 lat, od kiedy nie jem mięsa i dwa lata temu dotarło do mnie, że to już jest najwyższa pora, żeby przejść na weganizm. Nie chcę uderzać w nikogo, kto jest wegetarianinem, uważam, że to jest dobre nie jeść mięsa, ale uważam, że jeszcze lepiej jest zrezygnować z produktów mlecznych, z jajek, bo to nadal jest wykorzystywanie zwierząt. Widać to dobrze we wszystkich materiałach, z jakimi można się zapoznać na ten temat. Bo to nigdy nie jest tak, że ta krówka jest głaskana po brzuszku, że ona daje to mleko, że kury dają te jajka. Ja w końcu stwierdziłem, że nie mogę tego wytrzymać.







Określam się mianem weganina od ponad dwóch lat. Wcześniej również unikałem mleka, jajek, ale zdarzało mi się na jakimś wyjeździe czy jeszcze w domu rodzinnym zjeść coś z tymi produktami. Później stwierdziłem twardo, że nie i koniec. W wegetarianizmie zawsze był dla mnie ważny aspekt moralny. Zawsze uważałem, że przede wszystkim najistotniejsze jest tutaj dobro tej wykorzystywanej istoty, o którą trzeba dbać. Cele zdrowotne nie są aż tak bardzo ważne. Jak się chce, to można jeść np. chipsy, będąc wegetarianinem/weganinem. Jeżeli nikt nie cierpi, to dlaczego nie?

M: To jest właśnie moje podejście :)

S: Jeżeli ktoś przechodzi na taką dietę dla swojego zdrowia, to też jest dobre. Scott Jurek, który jest bardzo popularnym weganinem, od początku twierdził, że on to robi wyłącznie ze względów zdrowotnych i kondycyjnych dla swojego biegania. A to też jest droga. No i skromnie uważam, że każdy powód jest dobry, żeby zrezygnować z tego, co powoduje cierpienie innych stworzeń. A tym bardziej jakiekolwiek usprawiedliwianie tego... Wszystko to zasługuje na wyśmianie, np. jak to robi koleżka ze strony „Vegan sidekick", który tworzy komiksy i bardzo ładnie obśmiewa te bezsensowne tłumaczenia. Ale jeśli ktoś nie chce, bo nie, no to nikogo siłą nie zaciągnę. Ważne, żeby to promować, polecać samym sobą, swoją postawą i tyle.

M: Będziemy zmierzać już do końca, bo wołają cię, Szczepan, do noszenia sprzętu (śmiech). Mam tylko jedno takie pytanie-ciekawostkę – wydaliście kiedyś diss na Marksmana, kto brał w tym udział? :)

S: To nie jest tak, że my wydaliśmy ten diss, tylko jak głosi sam napis przy filmie, to są osoby powiązane z Astrid Lindgren, więc nie będę zdradzał, kto dokładnie tam występował. W każdym razie chłopaki z Marksmana to są nasi świetni koledzy, my się strasznie lubimy i tam się pojawiło wiele odniesień do sytuacji, które zaistniały przy okazji naszych spotkań, dla mnie to po prostu dowcip.

M: Dobry był punchline z nawiązaniem do waszego tekstu - „chciałbym dostać list, że już nigdy nie zagracie" – to było zajebiste! (śmiech)

S: (śmiech) Chłopaki odpowiedzieli na to równie celnie, że jedyne, co znajdziesz na dnie mojej szuflady to włosy z chuja. Chłopaki się starali, próbowali zrobić tego dissa, no ale nie nadają się do tego, ich rap jest słaby!

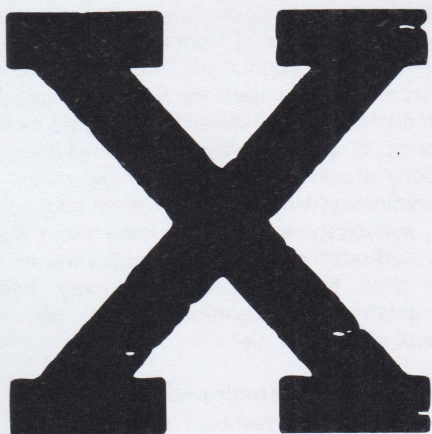
B: Jakby co, to zapraszamy do tańca też inne kapele. Jesteśmy emusami, ale nasze punche sieją największe spustoszenie na scenie hardcore'owej. Opcjonalnie można zagrać z nami w nogę, ale jedna kapela z Ciechanowa przejebała już dwa razy.

M: No właśnie, chciałem powiedzieć, że to niby była beka, ale nie było źle, trafialiście nawet w bit i w ogóle, więc byłem pod wrażeniem! (śmiech)

S: Kocham chłopaków, kocham Głowę, kocham tam wszystkich, no ale nie nadają się do rapu. Muzykę głośną, smutną, wrzeszczaną - super, ale rapu nie polecam.

M: Dzięki wielkie, noś już ten sprzęt :)

www.astridlindgren.bandcamp.com



■ **SEPS.** W chwili obecnej straight edge ma dla mnie mniejsze znaczenie niż w momencie, kiedy czułam się ściślej związana ze sceną punkową. Tak mi się jednak ułożyło życie, że gitara i wzmacniacz zostały sprzedane. Jeśli coś robię, to lubię robić to dobrze i mając do wyboru bycie kiepską gitarzystką i kiepską aktywistką, nie miałam wątpliwości, że wolę postawić na aktywizm. Sprawiedliwość dla zwierząt jest dla mnie istotniejsza niż scena muzyczna.

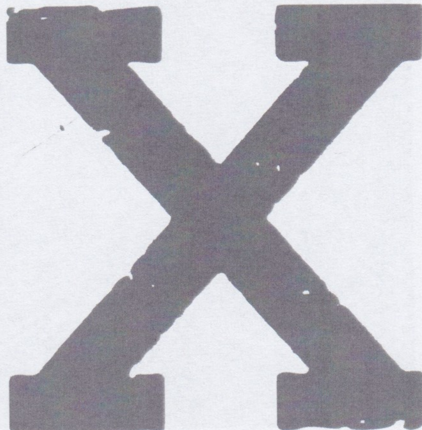
Doceniam jednak też wszystko to, co ta scena mi dała. Jest całkiem spora szansa, że gdybym nie związała się jeszcze jako nastolatka z punk rockiem, to nie zostałabym weganką i teraz nie byłabym tu, gdzie jestem. Bez punk rocka pewnie nie przestałabym również pić alkoholu, bo jak wie każda niepijąca osoba: w Polsce piją (w ilościach mniejszych lub większych) wszyscy.

Trudno mi ocenić, w jak dużym stopniu wpłynęło to na moje życie, ale wiem, że bardzo duża część osób związanych obecnie ze środowiskiem prozwierzęcym w Europie jest lub była kiedyś straight edge. Scena muzyczna może wpływać na rzeczywistość, jeśli osoby w niej uczestniczące zdecydują się działać również poza jej obrębem i wartościami z tej sceny wyniesionymi dzielić się ze społeczeństwem.

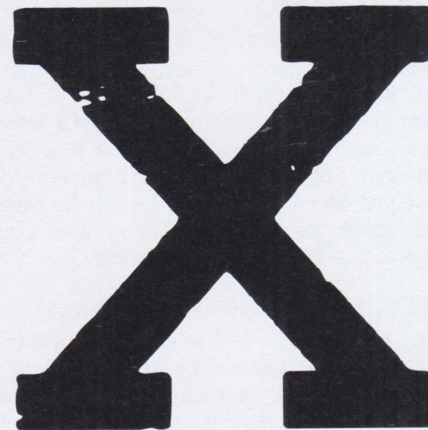
Moja rezygnacja z produktów pochodzenia zwierzęcego nastąpiła dokładnie wtedy, gdy zrezygnowałam z papierosów i alkoholu. Ciężko mi więc myśleć o straight edge bez myślenia o weganizmie. Oba te wybory dały mi poczucie większej kontroli nad własnym życiem. Daleko mi do bycia osobą, która zupełnie nie ulega pokusom, ale zarówno weganizm, jak i zdeklarowana trzeźwość dają mi świadomość, że jeśli coś jest dla mnie ważne, to jestem w stanie całkowicie panować nad tym, co robię. I to przez wiele, wiele lat. Wiem, że całkowita trzeźwość i ciągłe imprezy to fałszywa dychotomia. Moi znajomi, którzy używają alkoholu, dalecy są od prowadzenia stylu życia, który opiera się na permanentnym leczeniu kaca. Jednak po tylu latach niepicia i niepalenia nie czuję żadnej potrzeby korzystania z tego rodzaju używek. Życie bez alko, papierosów, mięsa czy jajek jest dla mnie całkowicie naturalne. Musiałabym mieć bardzo dobry powód, żeby po którąś z tych rzeczy sięgnąć, a szczerze mówiąc, takie powody nie przychodzą mi do głowy. Sam fakt, że prawie wszyscy to robią, na razie mnie nie przekonuje.

Myślę, że dla wielu osób mój styl życia jest dość ascetyczny. Jestem jednak zadowolona z tego, w jakim miejscu właśnie się znajduję. Wraz z przyjaciółmi założyłam organizację prozwierzęcą, która rozwija się bardzo dobrze i która ciągle przyciąga utalentowane i entuzjastyczne osoby. Współpracuję z aktywistkami i aktywistami z całego świata, szanuję ich i podziwiam. Spotykam mnóstwo inspirujących osób, a to wszystko, co robię w Otwartych Klatkach, daje mi niesamowitą satysfakcję. Jeśli to wszystko jest kosztem imprez, to jakoś będę z tym żyć. Niewiele rzeczy sprawia mi większą frajdę niż nowa dobra książka; piwo nigdy nie mogło się z tym równać. *Dobrusia Gogłoza Otwarte Klatki*





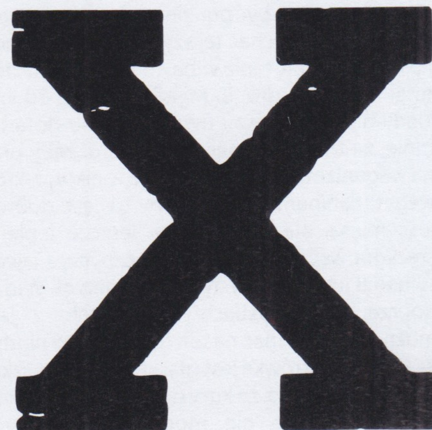
■ **SEPS.** Straight edge w moim życiu pojawiło się jako naturalna konsekwencja życiowej drogi. Pochodzę z rodziny z pokoleniowym problemem alkoholowym i miałam niejedną okazję popatrzeć na wątpliwej urody scenki. Uczucie niepokoju, strachu, ciągłe kłamstwa, przemoc, brak stabilności i bezpieczeństwa. Nie chciałam powielać tego schematu. Osobiste doświadczenia z degustacją trucizny utwierdziły mnie tylko w przekonaniu, że alkohol mi nie służy, nie mówiąc już o dawaniu przyjemności. Ból głowy, mdłości, odruchy wymiotne – nie rozumiem, po co fundować sobie to na własne życzenie. Miałkie zawsze było dla mnie picie, żeby komuś zaimponować, aby zdobyć się na odwagę, dla zabawy, beztroskiej przyjemności, życia z dnia na dzień. Uważam, że alkohol bardzo mocno rozprasza koncentrację i powoduje, że istotne rzeczy spychane są na margines. Tak zresztą działa wszystko, co powoduje

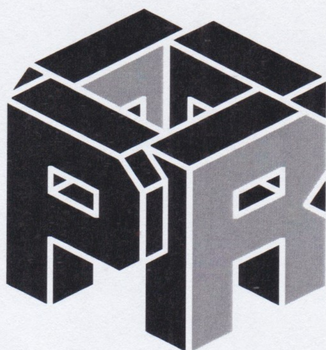


uzależnienia. Straight edge stoi w opozycji do tego nurtu, pozwala mi trzeźwo myśleć, doskonalić się. Ma to szersze znaczenie i odnosi się do codziennych, świadomych wyborów, decyzji, co dobre, a co złe, czego potrzebuję, a czego nie, wegańskiej filozofii, podejścia do własnego ciała i zdrowia, a także środowiska naturalnego.

Dla mnie jako kobiety straight edge ma także wymiar feministyczny. Traktowana trochę marginalnie zasada powstrzymywania się od przypadkowych kontaktów seksualnych zyskuje na znaczeniu szczególnie dzisiaj, gdy seks uprzedmiotowiony jest tak bardzo. Kult ciała przysłania rozum cieniem. Stereotypowe i seksistowskie podejście do kobiecości mało kogo obrusza, staje się powszechnie akceptowane. Popkultura i media kreują wizerunek dziewcząt oparty na ich cielesnej atrakcyjności, sprowadzając do roli towaru. Wiele współczesnych kobiet dobrowolnie daje się wciągnąć w taką rolę, upatrując przy tym dla siebie płytkie korzyści. To wzajemnie się napędza i chyba wszystkim się wydaje, że tak już musi być. Straight edge to dla mnie odejście od roli marionetki sterowanej nie tylko używkami, ale też seksistowską propagandą.

Co podoba mi się w straight edge? Fajne jest to, że poczucie przynależności daje swobodę, nie muszę tłumaczyć swoich wyborów, mogę żyć, jak lubię, w poczuciu własnej wartości. Jest też oczywiście muzyka, którą niezmiennie kocham i która daje mi kopniaka do życia. Krótkie, ostre kawałki grane w szaleńczym tempie. Pozbawione ozdobników, zbędnych melodii, okrojone do minimum, surowe, wykrzyczane. Ale jakże pięknie pozytywny przekaz niosące! Straight Edge. My life. My motivation. *Dalia*





Nowe idee to w większości schematy, które pozwalają nam na jawny egoizm, który później ładnie nazwiemy jakimś nowym, modnym określeniem. Mało jest osób, które bez zarzutu mogą spojrzeć w lustro. Ważne jest, by móc wyciągnąć wnioski z dotychczasowego życia.

■ **Międzyludzki stan skupienia.** Jestem zupełnie trzeźwa od ponad czterech miesięcy. Czy to długo? Nie. Czy stan nietrzeźwości był dla mnie problemem? Nie. Czy czułam się ograniczona? Nie. Na czym polega więc cały fenomen bycia wolnym? Każdego dnia rano budzę się inaczej niż zwykle. Nie muszę cierpieć konsekwencji dnia poprzedniego, nie odsypiam dziesiątek nieprzespanych wcześniej godzin, budząc się regularnie, żeby uzupełnić niedobór nikotyny. Nie wstydzę się swoich sinych dłoni, zniszczonych włosów, nieświeżego, papierosowego oddechu. Nic nie muszę.

Sama pewnie nieprędko doszłabym do etapu, w którym teraz jestem. Świadomość, o której piszę, zawdzięczam osobie, która również jest trzeźwa. Może nie tak jak ja – po kilku latach młodzieńczych, naiwnych wybryków, ale po ponad 5475 dniach życia opartego na kreskach tworzących krzyżyk nad sobą samym. Każdy z nas był wolny w tym, co robił. Była to jednak wolność w niewoli tworzonej przez coś, co wpływając na nasze umysły, samo układało scenariusz każdego kolejnego dnia. Nie będę jednak pisać o byciu wolnym od używek. Chciałam po prostu nakreślić, w jakim punkcie postrzegania się teraz znajduję.

Żyjemy w czasach, kiedy każdy dąży do bycia niezależnym. Szukamy pracy, w której możemy być jednostką, promujemy swój własny, odrębny styl, wszystko opiera się na przyporządkowaniu otoczenia do naszych potrzeb. Zapominamy o relacjach międzyludzkich, o które powinniśmy dbać. Otaczamy się gronem znajomych osób, nie myśląc o pielęgnowaniu tych naprawdę wartościowych znajomości. Podobnie jest z naszymi związkami. Egoistycznie podpinamy się pod coraz to nowe idee związane z funkcjonowaniem na pozór bliskich relacji. Nie stawiamy na jakość, ale na ilość. Wolne związki, poliamoria i wiele innych modnych stwierdzeń określających wieloosobowe „koneksje". Dlaczego akurat tego określenia użyłam? Definicja wyrazu „koneksja" to „dobra znajomość z osobą wpływową". Na pierwszy rzut oka nie jest to adekwatne słowo. Jednak po krótkim zastanowieniu można dojść do wniosku, że w takim „wolnym" układzie również pojawia się osoba, która steruje biegiem zdarzeń. Przeważnie kolejne osoby „wykruszają" się, z różnych powodów. Co dalej? Życie po próbie przekonania się do takiej poligamicznej formy współżycia często nie jest już takie samo, ponieważ osoba tkwiąca dotychczas w takiej relacji zazwyczaj szuka błędu i braku „wyzwolenia" w sobie. „Osoba wpływowa" kontroluje zmianę partnerów, którzy bez względu na swoje uczucia czy też zaangażowanie, rezygnując, nie mają prawa do żadnych pretensji, bo przecież dobrze wiedzą, do czego przystępują. Czy to jest ta wspaniała wolność? Wolność jednostek?

Cytując słowa jednego z członków zespołu, którego teksty otworzyły mi oczy na wiele życiowych elementów – „scena to miniatura społeczeństwa, które żyje dookoła". Niestety taka jest prawda. Nowe idee to w większości schematy, które pozwalają nam na jawny egoizm, który później ładnie nazwiemy jakimś nowym, modnym określeniem. Mało jest osób, które bez zarzutu mogą spojrzeć w lustro. Jednak ważne jest, by móc wyciągnąć wnioski z dotychczasowego życia. Być egoistą w sprawach, które nie dotyczą bezpośrednio innych ludzi. Coraz rzadziej dostrzegam to na tej „scenie". Każdy dba o siebie, podpisując się pod szyldem „każdy inny – wszyscy równi". Przecież to hasło nie dotyczy tylko koloru skóry. Dotyczy to traktowania tych, którzy są dookoła. Nauczmy się dbać o ludzi, na których możemy polegać. Bądźmy szczerzy i jasno określajmy swoje potrzeby i oczekiwania. Budowanie relacji to nie forma zbieractwa.

„Negatywne zachowanie w społeczeństwie to jest to, co widzę na tej scenie" – jak śpiewał Regres – staje się coraz bardziej widoczne. Nie tylko w odniesieniu do „mięśniaków" pod sceną. Czasem lepiej dostać kopa w pysk, niż zostać znokautowanym przez ludzi, którzy w oparciu o idee mogą krzywdzić nas bez żadnych konsekwencji.

Pamiętajmy jednak, że „rewolucję czas zacząć od siebie". Naprawdę warto. *Natalia*





Lubimy, kiedy nie dzieli nas za duża odległość od ludzi przed sceną, dlatego też nie gramy na scenie, zawsze pod. Wtedy jesteś blisko i czujesz, że ludzie też przeżywają i łapią to, co robisz, i ładuje ci to baterie na długi czas.

■ Istniejący od 2010 roku band z Wrocławia, ambitny i wciąż poszukujący. Na koncie mają kilka nagrywek, ze świetną i dobrze przyjętą płytą "Unsaid" na czele. Na koncertach tworzą fantastyczną atmosferę, a ich muzyka jest świetnym nośnikiem emocji. To jedne z wielu powodów, dla których warto zapamiętać ich na dłużej. Z pytaniami zmierzył się Krzysiek Szczęsny (gitara).

Diaboliq: Przybliżcie historię waszego zespołu, kto z kim, jak to było?

Krzysiek: Na początku były dwie osoby, ja i Adrian Wlaźlik. Trudno to było nazwać zespołem, był to bardziej projekt domowy. Mieszkaliśmy wtedy razem i robiliśmy sobie kawałki, siedząc na kanapie. Po iluś tam numerach stwierdziliśmy, że fajnie byłoby zrobić z tego pełnoprawny band. Daliśmy ogłoszenie, że szukamy basu, wokalu i drugiej gitary do zespołu. Druga gitara szybko się znalazła, bo wskoczył na nią Kuban (teraz znany z zespołu O.D.R.A.). Potem dołączył Marek z basem, a po miesiącach prób Kuban przytargał do zespołu Krzycha Janca na wokal i tak wyglądał pierwszy skład. Zrobiliśmy w nim kilka numerów, kilka rozgrzebaliśmy. W międzyczasie ustaliliśmy nazwę Lie After Lie – nie ma ona specjalnej ideologii, przesłania czy znaczenia, po prostu wtedy fajnie dla nas brzmiała.

Po czasie postanowiliśmy rozstać się z Kubanem z powodu różnic muzycznych, bez żalu i złości, po prostu Kuban wolał cięższe klimaty. Na nowego gitarzystę nie musieliśmy długo czekać, bo Marek miał ziomka, który coś tam grał. Puścił mu kawałki, zaprosił na próbę i tak doszedł Grzesiek (Dygi). W tym składzie zagraliśmy pierwsze koncerty, nagraliśmy EP-kę "Bad Anthems".

Jakoś w roku 2013 rozstaliśmy się z Krzychem Jancem, też z powodu różnic muzycznych. Każdy kolejny numer, który robiliśmy, był bardziej hardcore/punkowy niż post hardcore'owy czy metalcore'owy. Krzychowi jednak nie leżało to do końca. Postanowiliśmy zaprosić Radzieja, naszego ziomkiem z kapeli Snowball Ambush. Mieliśmy już kilka zalążków numerów, a on zapodał wokale, do tego rzucił kilka pomysłów na aranż i poszło jak z kopyta. Zagraliśmy trochę koncertów w nowym składzie i z nowym materiałem. Potem singiel „The Place You Call Home", trochę koncertów i dalsze klejenie materiału. Tak powstał LP „Unsaid".

Teraz w składzie nic się nie zmienia, jesteśmy nie tylko ziomkami z zespołu, ale też ziomkami w życiu, tak już zostanie.

D: Chyba przez wiele muzycznych projektów musieliście przebrnąć wcześniej, żeby dziś znaleźć swoje miejsce w Lie After Lie?

K: Każdy z nas grał różne rzeczy w różnych zespołach. Adrian miał za sobą m.in. grindcore'owe Moral Degrade czy Diffenbachia. Radziej, jak już wspomniałem, darł japę w Snowball Ambush, a po drodze miał też kilka różnych dziwnych projektów. Marek grywał sobie bluesa na basie, Dygi pogrywał jakieś black metalowe klimaty, a ja grywałem w projektach od grindcore'a (wczesne projekty z Adrianem) po punka. Każdy z nas sporo tego miał, twory te działały z mniejszym lub większym powodzeniem. Trudno mi teraz to wszystko wymienić.

D: Obserwując wasze dotychczasowe dokonania, mam wrażenie, że sumiennie pracowaliście nad własnym stylem. Miejsce, w którym jesteście, jest tym, co chcieliście osiągnąć?

K: Nie zgodziłbym się do końca, że pracowaliśmy nad stylem. Styl przyszedł sam, jest on wypadkową tego, co każdy z nas chciał grać. Owszem, sporo czasu i energii poświęcamy na napisanie jednego kawałka, bo chcemy, żeby każda nuta nam pasowała. Ale nie jest to stricte praca nad stylem. To, co gramy, możemy nazwać hardcore punkiem, w jednym riffie bardziej hardcore, w innym bardziej punk, w jeszcze innym elementy postrockowe, ale czy to wypracowaliśmy? Raczej nie, to w nas siedzi i wylazło, gdy robiliśmy numery. Cholera wie, jaka będzie kolejna płyta. Nie zakładamy, że będzie taka albo inna. Będzie taka, jaka wyjdzie, wypadkowa tego, co w nas akurat siedzi. Ale możemy spokojnie powiedzieć, że sumiennie pracujemy nad naszym brzmieniem. W szczególności ja z Dygim jesteśmy geekami, jeśli chodzi o sprzęt gitarowy. Siedzimy po parę godzin w kanciapie, testujemy gitary, wzmacniacze, efekty, kręcimy tymi wszystkimi gałami i próbujemy wypracować dobre brzmienie (dobre w naszym odczuciu, nie każdemu musi to leżeć). Miejsce, w którym chcielibyśmy być muzycznie, jest pewnie daleko przed nami. Jak najbardziej jesteśmy zadowoleni z tego, co jest teraz, co nagraliśmy, jak brzmimy. Mamy zajawkę na dalsze kombinowanie, robienie nowych, czasem innych rzeczy. Jak osiągniemy wszystko, co chcieliśmy osiągnąć, to pewnie skończy się LAL, bo nie będzie już celu, nie będzie do czego dążyć.

D: Szybko jednak uciekliście od metalcore'a, jaki pamiętam z „Bad



Anthems", eksplorując rejony post hardcore'a ze screamowo-emowymi akcentami. Skąd zmiany w tym właśnie kierunku?

K: To nie tak, że uciekliśmy od tego nurtu. Po prostu piszemy numery, które nam akurat leżą i nigdy nie zakładamy, że zrobimy coś w tej albo innej stylistyce. Już o tym wspominałem wcześniej. Samo się tak dzieje, kiedy zaczynamy zespołowo pisać kawałki. Podświadomie może to inspiracja nutą, jaką akurat mieliśmy na słuchawkach tego dnia, kiedy robiliśmy dany kawałek, a może nastrój. Nie wiem, nie odpowiem ci precyzyjnie na to pytanie, po prostu tak wyszło. Nie było to celowe i zaplanowane.

D: A co jest twoim zdaniem najważniejszą składową dobrego kawałka - tempo, przebojowość, melancholia czy może coś innego?

K: Coś innego. Musi być z serducha. Jak czujesz, że to z serca leci i jest szczere, to żre jak cholera. A czy on szybki, czy wolny to nie ma znaczenia. Tylko szczerość i zaangażowanie w numer. Nic więcej w temacie.

D: Najczęściej stawia się was na półce obok takich tuzów moderncore'a jak The Saddest Landscape czy More Than Life. To komplement, nadużycie, nieporozumienie czy trafna rekomendacja?

K: Hm... W zasadzie to każde po trochu. Komplement, bo to duże bandy. Nadużycie, bo niby podobnie gramy, ale jesteśmy jednak zakorzenieni w czymś nieco innym, to inna liga. Trafna rekomendacja, bo ktoś, kto nas nie zna, a dowie się, że porównuje się nas do nich, to może nas posłucha i jest szansa, że muzyka mu siądzie.

D: Opowiedz o pracy nad „Unsaid", nagrywaniu. Skąd pomysł na takich, a nie innych gości. No i jak doszło do współpracy przy miksach z Jayem z Defeater?

K: „Unsaid" było tworzone w trzech różnych miejscach. Bębny nagraliśmy w Dzierżoniowie w nieistniejącym już studio Mateusza Chmielewskiego, a w zasadzie w jego kuchni, bo miała wysoki sufit i fajny naturalny pogłos, mega to gadało. Gitary i wokale powstawały u nas w salce, na którą, dzięki uprzejmości naszego kumpla Łukasza Borowiaka, wtargaliśmy kupę pro sprzętu do nagrywania. Miksy i mastery były zrobione w Bostonie w studiu Jaya Maasa. Dzięki temu, że większość nagrywaliśmy na salce, mieliśmy dużo czasu, żeby poeksperymentować nieco z brzmieniem. Wykorzystaliśmy takie patenty jak nagrywanie paczek mikrofonem pojemnościowym od tyłu albo nagrywanie z korytarza, na którym echo się strasznie niesie i daje fajny naturalny reverb. Lubimy takie zabawy i eksperymenty, zależało nam na maksymalnej naturalności brzmienia. Nie chcieliśmy się zamknąć w studiu, zagrać na szybko numerów i uciec z materiałem. Sam proces nagrywania był dla nas dużą frajdą i fajnie, że robiliśmy to bez spiny czasowej.

Co do gości, to oczywiście Paweł z częstochowskiego Regresu i Chris Webber z brytyjskiego Donnie Brasco. Dlaczego oni? Bo my jaramy się tym, co robią, a oni się zgodzili przyjąć zaproszenie. Za dzieciaka jaraliśmy się muzą Regresu i biegaliśmy na ich koncerty. Zresztą nie tylko za dzieciaka, nawet teraz chętnie na nie biegamy. :) Wiesz, taka zajawka z młodych lat, która pozostawiła jakieś piętno na tobie. Z Donnie Brasco było nieco inaczej, bo odkryliśmy ich jakiś czas temu, ale niesamowicie usiadła nam ich muzyka i wokal Chrisa. Adrian i Radek czasem wymienili sobie jakieś wiadomości na FB z Chrisem, więc stwierdziliśmy, czemu by nie zapytać.

Jeśli chodzi o Jaya, to na ten pomysł wpadliśmy kiedyś w trasie, gdy jechaliśmy na koncert do Łodzi. Tak po prostu z dupy postanowiliśmy napisać do niego maila, nie licząc nawet na jakieś szczególne zainteresowanie. Podesłaliśmy nasz wcześniejszy numer, czyli singla „The Place You Call Home", i okazało się, że gość jest zainteresowany i tak jakoś poszło dalej. Najlepsze jest to, że podjął się tej współpracy i podszedł do nas bez dystansu i uprzedzenia. Postawił nas na równi z wielkimi bandami, których słuchaliśmy czy słuchamy, np. Bane, Verse, Have Heart, Title Fight, Capsize czy Defeater. Każdy znał jego wcześniejsze produkcje i wierzyliśmy, że wyciśnie z tego materiału dokładnie to, co nam w bani latało. Już pierwsze miksy, które podesłał, skopały nam dupy totalnie i byliśmy pewni, że nie pomyliliśmy się co do wyboru producenta.

D: Jak z perspektywy czasu oceniacie tę płytę?

K: Nadal się nią cieszymy. Fajnie, że goście, których zaprosiliśmy, się zgodzili, że Jay podjął się roboty, w ogóle, że całkiem spoko nam to wyszło. Jesteśmy zadowoleni, bo zrobiliśmy coś, co chcieliśmy. Udało nam się zrobić dużą rzecz, dla nas dużą. To takie nasze osobiste osiągnięcie. Wspólne i każdego z nas z osobna. Widzimy, owszem, pewne błędy po naszej stronie, coś tam można było zagrać lepiej, może bębny nieco głośniej, a może gitara nie tak. Ale to pewnie każdy ma podobne rozkminy po wydaniu materiału.

D: Mnie cieszy, że rodzimy język w tekstach wyraźnie wraca do łask, co także znajduje potwierdzenie u was. Czy jest szansa, że zagości na stałe i kolejna płyta będzie w całości po polsku?

K: Też widzimy na koncertach, że język polski robi robotę. Fajnie, jak ktoś podejdzie do Radzieja i krzyknie mu jakiś fragment do mikrofonu. Z angielskimi tekstami tak nie jest niestety. Ale za to angielski broni się na Zachodzie, ludzie trochę bardziej kumają, o czym ten typ tak głośno krzyczy. Zdarza nam się często grać w Niemczech, a teraz właśnie planujemy jesienną trasę po kilku krajach Europy. Dzięki angielskiemu w tekstach mamy szerzej otwarte wrota na inne kraje.

W sumie nie wiemy, jak to będzie, jakie Radziej napisze liryki. Może napisze takie głupoty, że po polsku to nie zabrzmi. :) A tak serio odpowiadając na pytanie, to na pewno nie będzie w całości, ale w dużej części będą to polskie teksty, taki miks PL i EN.

D: Niezależnie od języka mam wrażenie, że

warstwa liryczna ma u was duże znaczenie. Co jest lepszym czy też ważniejszym nośnikiem emocji – muzyka czy słowo?

K: My jesteśmy zespołem, który chce coś powiedzieć, wyrazić, wnieść. Wywalić z siebie te pozytywne jak i negatywne emocje albo po prostu opowiedzieć jakąś ważną historię. Teksty są dla nas bardzo ważne. Ale nie wydaje mi się, że można to jakoś wartościować. Muzyka i tekst to całość, to musi pasować, to rzyga emocjami, kiedy jest połączone. Sama muzyka albo sam tekst tak nie zadziałają. Tekst jest pisany pod muzykę albo muzyka pod tekst. Wyobraź sobie, że łączysz sobie tekst z „Do zobaczenia" z jakimś wesołym riffem. Nie przejdzie, nie przekaże to tego stanu, jaki miał Radziej, pisząc ten numer. Muzyka i słowo to jedno w naszym wypadku.

D: Wasze teksty są klimatyczne i bardzo sentymentalne. Moim zdaniem to jedne z lepszych tekstów w takiej stylistyce. Jak powstają, co najczęściej jest impulsem?

K: Nie chciałbym tu gadać za dużo za Radzia, więc krótko, tyle, ile wiem. Impulsem jest coś, co go uszczęśliwia, boli, dotyka, czego pragnie lub co chciałby odrzucić. To, co mu siedzi gdzieś w bani i nie chce wyjść. Impuls pojawia się zawsze wtedy, gdy dzieje się coś ważnego w jego życiu, coś, co go emocjonuje w różny sposób i o czym chciałby powiedzieć bliskim mu osobom. Takie rozkminy spisuje szybko na kartce i tak powstaje temat, który później rozwija.

D: Czy ważne jest, aby teksty były inspirujące, wpływały na zmianę czyjegoś życia?

K: Dla nas to bardzo ważne, żeby teksty były inspirujące i działały na ludzi. Jeśli ktoś pod wpływem tych tekstów zrobi coś fajnego, dobrego, pozytywnego, to zajebiście. Granie to u nas jakaś metoda wyrażania siebie i jeśli ktoś to kupuje i działa to na niego, to jest niezła zajawka i chcesz to robić dalej. Nasz przekaz jest na maksa pozytywny, nawet jeśli tekst z pozoru traktuje o czymś niefajnym, albo Radziej opisuje jakąś gównianą sytuację, to ostatecznie kończy to pozytywnym podsumowaniem. Zawsze można z tego wyciągnąć jakąś naukę, pocieszenie, czasem może radę, więc jest jak najbardziej pozytywny przekaz. Staramy się te pozytywy wrzucać do każdego numeru.

D: Skoro przekaz jest tak istotny, to jaką wymowę ma tytuł płyty "Unsaid"?

K: Wszystkie numery na płycie mówią o czymś ważnym i osobistym, o przeżyciach, pragnieniach czy stanach, o których normalnie na co dzień nie mówimy i nie rozmawiamy, z rożnych przyczyn. Czasem może z lenistwa, czasem z braku odwagi, różnie. „Unsaid" to te wszystkie niewypowiedziane lub niedopowiedziane kwestie z naszego życia, którym Radek dał upust właśnie w tekstach. Świadomie użyłem słowa "naszego", bo z wieloma tekstami



identyfikujemy się wszyscy. Pewnie też wielu słuchaczy czuje, że jakiś numer to również ich historia.

D: Wieść gminna niesie, że wasza muza wyjątkowo dobrze sprawdza się na żywo. Jakim przeżyciem czy też rodzajem ekspresji są dla was koncerty?

K: Jedno słowo – zajebistym! A rozwijając – uwielbiamy grać na żywca, bo wtedy możemy przekazać to wszystko, co chcemy. Jest to przeżywanie tych numerów w trakcie grania. Zdarza nam się czasem w tym całym przeżywaniu wskoczyć gdzieś z gitarą między ludzi albo odpłynąć tak, że to, co się dzieje poza tobą przestaje istnieć. Radziej np. lubi się bić mikrofonem po głowie. :) Wiesz, to są takie emocje, że czasem nie ogarniasz, co robisz podczas setu. Lubimy też, kiedy nie dzieli nas za duża odległość od ludzi przed sceną, dlatego też nie gramy na scenie, zawsze pod. Wtedy jesteś blisko i czujesz, że ludzie też przeżywają i łapią to, co robisz, i ładuje ci to baterie na długi czas.

D: Gdzie w takim razie i dla jakiej publiczności gra się najlepiej?

K: Wszędzie, gdzie jest powyżej 18 stopni Celsjusza i dla każdej osoby, która chce cię posłuchać. Nie dzielimy scen, miejscówek i publiki. Tak samo spoko jest zagrać dla dziesięciu osób, jak i dla stu. Byleby łapy nie marzły i żeby ktokolwiek chciał posłuchać choć przez jeden numer.

D: Co planujecie i o czym marzycie dzisiaj?

K: Z najbliższych planów to wspomniana jesienna trasa, w listopadzie chcemy ruszyć na czternaście dni w Europę. Co prawda mamy jeszcze kilka niezabukowanych dat, ale damy radę. Po trasie planujemy zamknąć się w kanciapie, usiąść na dupach i zrobić materiał na kolejny LP. Marzymy oczywiście o tym, żeby robić to, co robimy jak najdłużej się da. Ile zdrówko pozwoli.

D: Myślicie, że kiedyś będziecie tak rozpoznawalni, że dzieciaki na forach, widząc skrót LAL, będą wiedzieli, o kogo chodzi?

K: Nie! Po prostu fora odchodzą w niepamięć, niestety... Ale na FB, kto wie. :) Niespecjalnie robimy cokolwiek w kierunku sławy i bycia znanymi. Poza koncertami i nagrywaniem oczywiście, bo jednak tym się promujemy. Byłoby miło, jakby nas rozpoznawano za te kilka czy kilkanaście lat, ale nie mamy na to parcia. Może to egoistyczne, ale najważniejsze, żebyśmy my sami się wtedy dobrze bawili graniem, tak jak bawimy się teraz.

D: W takim razie zdrówka życzę i dzięki za wywiad!

K: To my dziękujemy za możliwość, wybełkotania tych paru zdań. Trzymaj się, piona!

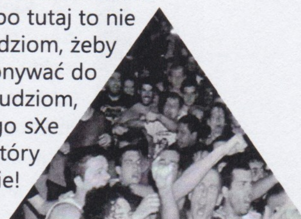
www.lieafterlie.bandcamp.com





■ **SEPS.** Moja historia straight edge wynikła dosyć spontanicznie. 19 kwietnia 2013 powiedziałem sobie, że więcej nie tknę alkoholu ani żadnych używek. Wkurwiała mnie rozpita punkowa brać, która alko przedkładała nade wszystko. Potrzebowałem czegoś innego. Do tego dołączył problem z alkoholizmem w domu. Od małego pamiętam walające się po domu puszki napojów wysokoprocentowych i nie mam z tym miłych wspomnień. Uznałem, że ja nikomu nigdy nie zrobię takiego gówna, jakie zostało zrobione w moim domu rodzinnym. Sądzę, że te dwie sytuacje to był mój "kop" w stronę straight edge. I teraz, po ponad dwóch latach od mojego postanowienia, mogę śmiało powiedzieć, że to jedna z najlepszych rzeczy, jakie podjąłem w życiu. Nie tylko dlatego, że nie przechodzę procesu powolnej degeneracji, ale też dlatego, że żyję tak, jak chcę, bez idiotycznych "produktów dla mas". Zamiast myśleć o używkach, mogłem się skupić na ukochanym sporcie taekwon-do (obecnie najważniejszym osiągnięciem, jakie posiadam od kiedy zostałem sXe to 4. miejsce w układach tradycyjnych na Mistrzostwach Świata UITF w Londynie 2015).

Czym jest dla mnie sXe? Powiem jak zapewne wielu. Jest stylem życia, z którym czuję się doskonale. Życie bez używek otwiera oczy na świat takim, jakim jest, bez żadnych koloryzacji, i to jest piękne. Widzieć, jak jest naprawdę. Często myślałem, żeby zrobić sobie "przerwę" w byciu sXe, ale po namyśle uznałem to za idiotyzm, bo niby do czego mam wracać? Szczerze mówiąc, to fajnie by było, gdyby ludzie byli bardziej świadomi tego, że są inne drogi życia niż picie i ćpanie. Życie daje nam nieskończoną liczbę możliwości na to, jak je spędzić, ale zamiast tego ludzie wybierają używki. Tak jak każdy, chciałbym zmieniać świat. Ale w tym wypadku nie będę wojownikiem jak na macie, bo tutaj to nie będzie funkcjonować. Nie będę przemocą nakazywał ludziom, żeby nie pili albo nie ćpali. Mam zamiar jedynie słownie przekonywać do rzucenia lub choćby ograniczenia tego i starać się pomagać ludziom, którzy mają z tym problem. Nie jest nas wielu, ale dla każdego sXe załoganta, dla każdego hardkorowca, punka, metala czy skina, który ma czysty umysł i jest wolny od używek, sroga piona leci ode mnie! Stay true kids! *Sebastian Straight-Edge Polska*





■ **SEPS.**

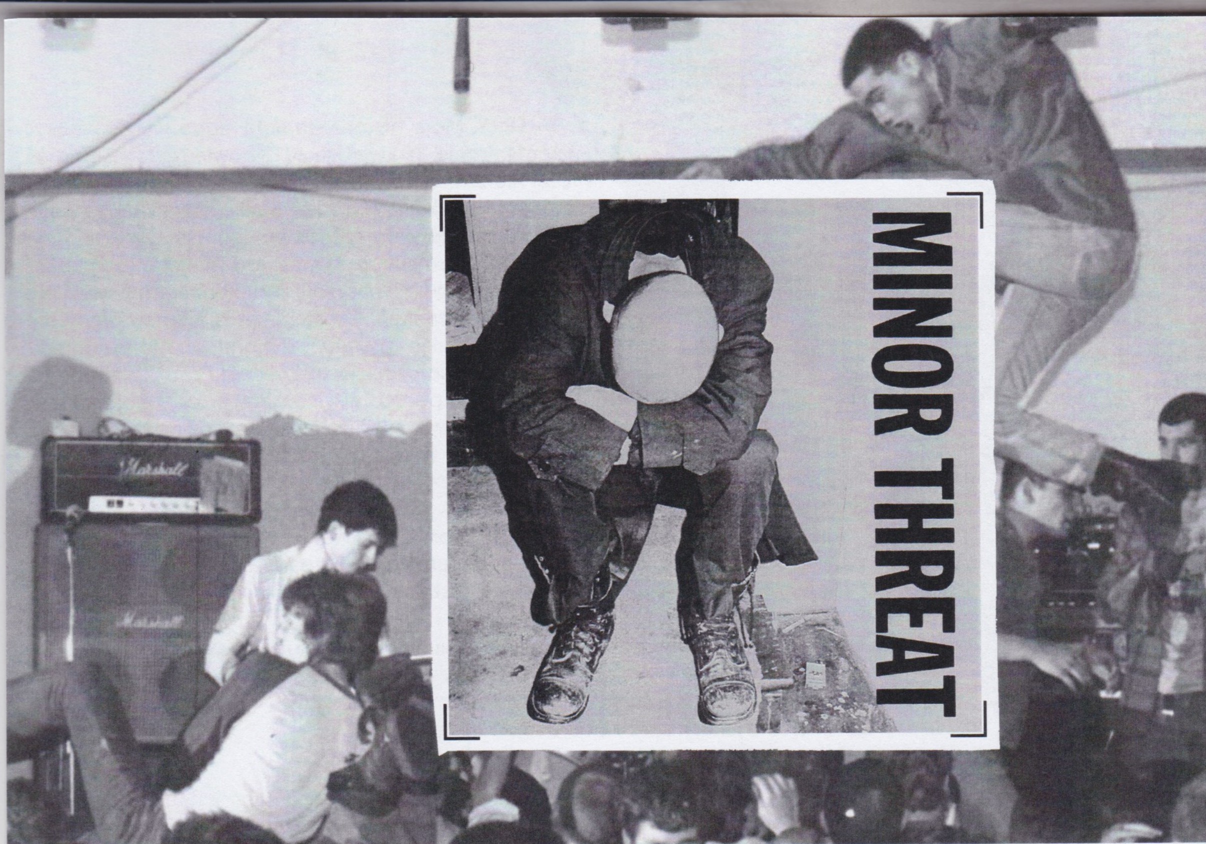
Yo! Z pewnością nie mam tyle do powiedzenia, co Patryk ITG czy Siwy TXL, którzy iksy na rękach malowali, kiedy ja jeszcze srałem w pieluchy. W sumie to nawet nie wiem, czy powinienem tutaj pisać, bo nie dość, że mój „staż" jest o wiele krótszy, to do tego jeszcze złamałem się i wróciłem do straight edge dopiero po kilku latach. W każdym razie chyba właśnie dzięki temu teraz czuję to mocniej. Spróbowałem trawy, najebałem się kilka razy, nawet jeśli dobrze się bawiłem, to koniec końców czułem spowolnienie w mojej głowie. W tym czasie kilkoro moich znajomych nie potrafiło sobie wyobrazić piątku bez browara, a początku dnia bez fajki na kiblu. To wszystko było jakieś 4-5 lat temu.

Dzisiaj słucham Bane i w kawałku "Final Backward Glance" jest taka linijka "wasted life is worse than death" – właśnie dlatego jestem straight edge, chcę chwytać każdy moment mojego życia w pełni, w pełni go przeżywać. To coś mojego, nie jestem dzięki straight edge ani lepszym, ani gorszym człowiekiem. Z pewnością nie czuję potrzeby epatowania tym na co dzień, nie jest to jedyna część mnie, która mnie definiuje, nie jest ona też z pewnością najważniejsza. Natomiast w pewnym sensie dzięki straight edge lokuję swój czas i energię w wartościowe z mojej perspektywy inicjatywy.

Malowanie iksów jest super, a moja dziewczyna jara się, że nigdy nie śmierdzę fajkami, wódą czy browarem.

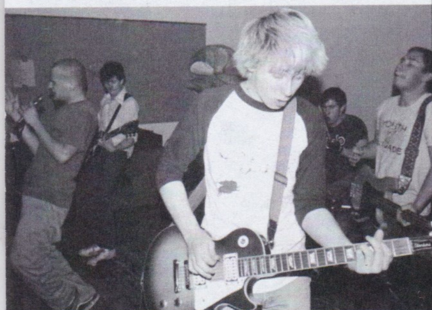
Słoń Vicious X Reality





■ **Klasyka: Minor Threat – Complete Discography.** Dość długo zastanawiałem się nad tym, jaka płyta powinna znaleźć się jako pierwsza w cyklu „Klasyka". Czy sięgnąć po wydawnictwa kultowe, dobrze znane, a co za tym idzie - oczywiste? A może wygrzebać z archiwum zakurzony album niedocenionego i nieznanego szerzej zespołu? Spróbować zaskoczyć starych załogantów czy doedukować hc dzieciaki, samemu nie posiadając encyklopedycznej wiedzy? Może zacząć od Teen Idles, „no bo w końcu jako pierwsi mieli X na okładce"? Ostatecznie wybór padł na Minor Threat – niezaprzeczalny klasyk, nie tylko dla sceny hardcore punkowej, ale też i dla mnie, bardziej w wymiarze osobistym. Nie oszukujmy się, to wydawnictwo musiało się tutaj znaleźć!

Historia waszyngtońskiej kapeli była już opisywana na wszelkie możliwe sposoby, dlatego też może ograniczę się do ogólnego zarysu. Był rok 1980, młodzież buntowała się przeciw konsumpcjonizmowi, propagandzie sukcesu, fałszywym autorytetom. Z jednej strony sztuczne uśmiechy w ogłupiającej telewizji i na dennych pop teledyskach, z drugiej w dalszym ciągu wyczuwalny na karku ciężki oddech zimnej wojny. Poprzednie pokolenie punków wolało skupiać się na ćpaniu niż na dokonywaniu jakichkolwiek zmian, co było rozczarowujące. Grupka dzieciaków z Waszyngtonu, nie mając swojego miejsca w społeczeństwie, żadnej kultury czy środowiska, postanowiła coś z tym zrobić. Rozepchnąć się łokciami i zbudować swoją scenę od podstaw.

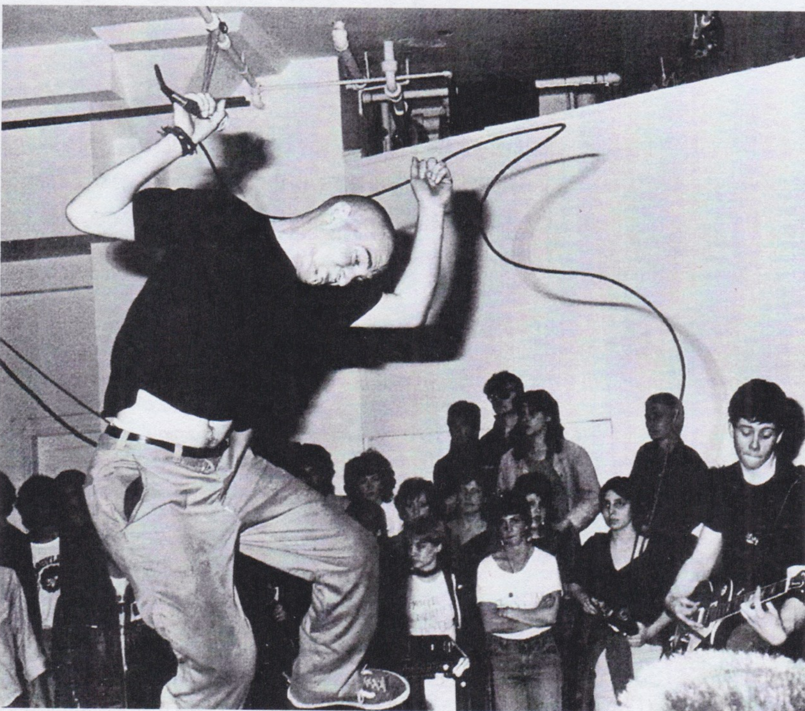


Poprzedni zespół nastoletniego Iana MacKaye'a i Jeffa Nelsona – Teen Idles – rozpadł się po roku istnienia. Chłopaków to jednak nie zniechęciło i szybko założyli nową grupę, nazywając się Minor Threat. Już sama nazwa mówiła o tym, kim są i jak są postrzegani przez otoczenie. Jako „malutkie zagrożenie" reprezentowali te wszystkie nieletnie dzieciaki, które spychano na bok, których nie wpuszczano na koncerty i nigdy nie brano na serio. W tym samym roku grupa, afirmując etykę DIY, założyła własną, niezależną wytwórnię płytową – Dischord Records. Jej celem było samodzielne wydawanie muzyki założycieli, jak i zaprzyjaźnionych zespołów, nie zważając na kwestie finansowe. Założenie było proste – płyty mają być na tyle tanie, aby każdy, łącznie z niezbyt zamożną młodzieżą, mógł sobie na nie pozwolić. Pierwszym wydawnictwem nowego labelu był minialbum nieistniejącego już w tamtym czasie Teen Idles pt. „Minor Disturbance EP". Jednak to trzecia płyta, jaką wydali, odbiła się największym echem (drugą było „No Policy" S.O.A.). W czerwcu 1981 roku ukazała się pierwsza epka Minor Threat, na której znalazł się kawałek „Straight Edge". Wymowa tekstu była wyraźnie antynarkotykowa, co wywołało niemałą konsternację w środowisku punkowym, w którym narkotyki i alkohol były niemalże nieodłącznym elementem. MacKaye nakreślił w nim swój stosunek do większości środowiska punk rockowego tamtych lat. Liczne nałogi starszych punków odpychały go. Przez swoją niechęć do upijania się i narkotyzowania odczuwał wyalienowanie. Z drugiej jednak strony był

częścią hardcore punka, to z tą subkulturą się utożsamiał. Potrzebował jedynie alternatywy w jej obrębie. Nowy trend szybko podchwyciła młodzież, która czuła się podobnie jak Ian – dzieląc te same wartości co kontrkultura punkowa, nie chciała popadać w autodestrukcyjne schematy zachowań. Postawa straight edge nabierała kształtu. Muzycy Minor Threat dalecy byli jednak od moralizatorstwa. Nikogo nie chcieli zmieniać na siłę, odrzucenie procentów i dragów było wyłącznie indywidualną decyzją. W grudniu tego samego roku wydali kolejną pozycję w swojej dyskografii, która wywołała jeszcze większe kontrowersje – „In My Eyes EP". Pomijając nieporozumienie wywołane wokół utworu „Guilty of Being White", który oskarżono o rasistowską wymowę, choć w istocie było wręcz przeciwnie, główną falę oburzenia wywołała piosenka „Out of Step". Była ona bowiem bardziej radykalnym sposobem krytyki tak bardzo zakorzenionego w punku, jak i w całej kontrkulturze rockowej, hedonizmu opartego na haśle „sex, drugs and rock'n'roll". Tekst kawałka rozpoczyna się od wykrzykiwanych przez Iana wersów: „Don't smoke, don't drink, don't fuck". Z tak kategorycznym przekazem nawołującym do abstynencji nie zgadzali się wszyscy członkowie zespołu, nie wspominając już o całej scenie waszyngtońskiej. Jednak MacKaye'owi nie chodziło wcale o żadną radykalną abstynencję. Przesłanie utworu to pochwała dla pełnej świadomości swoich poczynań, o którą trudno w chwili upojenia alkoholowego lub będąc pod wpływem narkotyków. Wokalista Minor Threat podkreślał też różnicę, jaką widzi między słowami „seks" i „pieprzenie". Nie miał nic przeciwko normalnym stosunkom seksualnym ze stałym/ą partnerem/ką. Sprzeciwiał się natomiast rozwiązłości seksualnej i procesowi erotyzacji kolejnych sfer życia, za jakim stały mass media. Brak zrozumienia ze strony sceny hardcore'owej, a także kłótnie wewnątrz zespołu zmusiły Iana do nagrania drugiej wersji „Out of Step". Dokonano korekty tekstu, w którym formę nakazującą zmieniono na osobową, wyrażającą bardziej indywidualne stanowisko. Dodatkowo, w dalszej części pojawił się monolog wokalisty, w którym wyjaśnia, że słowa utworu nie są zbiorem zasad narzucanych komukolwiek. Pomimo ciągłego niezrozumienia Minor Threat mogli też liczyć na wiele głosów uznania. Grupa stawała się popularna wszędzie tam, gdzie dotarł hardcore. Znaleźli się także naśladowcy, zainspirowani postawą straight edge. W Reno powstał zespół 7 Seconds, łączący zasady ruchu zapoczątkowanego przez Minor Threat z PMA, nadając kształt posi-core'owi. W Bostonie utworzyła się silna scena wokół zespołów SSD i DYS. Wokalista SSD przestał pić, organizował wyłącznie koncerty „all-ages" i zapraszał na nie młodzież, która tłumnie w nich uczestniczyła. Zachodnie Wybrzeże natomiast reprezentował m.in. Uniform Choice. W 1983 roku kapela rozpadła się głównie przez liczne konflikty samych muzyków. Nie wszyscy bowiem zgadzali się na idealistyczne podejście MacKaye'a do sprawy finansów. Ten jednak uparcie twierdził, że istotą undergroundowej sceny muzycznej opartej o DIY muszą być jak najniższe ceny płyt oraz biletów na gigi, a także pełna niezależność i niewchodzenie w żadne układy z wytwórniami płytowymi, które nie miały nic wspólnego z hardcore'em i których priorytetem był zysk. Pozostając wiernym swoim przekonaniom, po latach Ian udowodnił, że pełna niezależność, a także godzenie ideałów z funkcjonowaniem na rynku muzycznym jest możliwe.

■

Minor Threat był pierwszym zespołem hardcore'owym, jaki słyszałem. Nazwę kapeli znałem z pewnego artykułu w deskorolkowym piśmie, ale nie miałem pojęcia, jak to wszystko brzmi. Wiedziałem tylko, że to absolutny kult i obowiązkowa pozycja dla każdego hardcore punka. Chcąc dokształcić się i poznać korzenie hc/punk, zdobyłem płytę z kompletną dyskografią zespołu. Cóż to było za uderzenie! Na samym początku myślałem, że zepsuły mi się słuchawki, przecież to nie może tak brzmieć! Nieokiełznana ściana hałasu i niezrozumiały po pierwszym przesłuchaniu krzyk to nie najlepsze części składowe przystępnej muzyki. Ale to nie miało być przystępne.



Dlatego też zajęło mi trochę czasu, zanim się przyzwyczaiłem do tak surowego i intensywnego brzmienia. Zastanawiałem się też, czy aby na pewno mam pełne wersje nagrań. 45 sekund to ma być cały kawałek? Kolejny pół minuty i już? Co się tu właściwie dzieje? Po każdym kolejnym przesłuchaniu było coraz lepiej. Zaczynałem rozumieć, o co w tym chodzi – o granie najszybciej jak się da i wykrzyczenie całego swojego serca. Oczywiście sięgnąłem po MT ze względu na straight edge. Identyfikując się z sxe, chciałem wiedzieć, jak to wszystko się zaczęło. Kawałki „Straight edge" i „Out of Step" szybko stały się moimi osobistymi hymnami. Nigdy wcześniej nie słyszałem w muzyce takiej dynamiki, takiej pasji i intensywności. Radykalizm i konsekwencja w postawie zespołu również były czymś bardzo inspirującym. Imponowało mi to, że potrafili przeciwstawić się (głównie Ian) całemu środowisku punkowemu, żeby tylko być sobą. Autentyczność zdaje się być najistotniejszą wartością, wtedy nawet gówniane brzmienie przejdzie. Do dzisiaj mam wielkie uznanie dla tego zespołu. Za pokazanie, jak prawidłowo powinna funkcjonować undergroundowa scena, za zrobienie miejsca w punku dzieciakom, którym nie imponuje picie. Ale przede wszystkim za to, że przypominając ich sobie od czasu do czasu, znów czuję się jak zajarany licealista. *Marcin*



Muzyka, którą proponujemy, niesie zawsze ze sobą różne znaczenia. Ten przekaz ma podwójne dno albo nawet i potrójne. Uważam, że to jest piękne w naszej muzyce, że ludzie mogą sobie interpretować teksty na różne sposoby według swoich aktualnych potrzeb.

■ Wieczorny chłód, pod stopami szeleszczące, pożółkłe liście, w oddali bliski pełni księżyc. Nie mógłbym sobie wymarzyć bardziej odpowiedniej aury do przeprowadzenia wywiadu z zespołem, który lubuje się w mrocznych klimatach i święcie Halloween (a przynajmniej wokalista, z którym miałem okazję porozmawiać). Na miejsce spotkania wybraliśmy, zamiast cmentarza, jeden z olsztyńskich lokali.

Marcin: Cześć! Powiedz coś o początkach zespołu.

Jawor: Cześć, jestem Wielebny Jawor i jestem wokalistą I Hope You Die. Sama nazwa zespołu powstała dużo wcześniej niż formacja, którą mogłeś usłyszeć już na pierwszym albumie. I Hope You Die, które miałeś okazję poznać na debiutanckiej płycie, powstało około 4 lata temu w Warszawie. Zespół rozpoczął działalność głównie z inicjatywy mojej i Piotrka Lewandowskiego, który jest naszym gitarzystą. To my w zasadzie tworzymy trzon kapeli. Poznaliśmy się parę lat temu na koncercie zespołu City Lights, w którym Piotrek grał. Szybko zaczęliśmy się dogadywać. Znaleźliśmy muzyków, głównie z rozbitego City Lights, które nie przetrwało niestety próby czasu. I tak powstało I Hope You Die. Zaczęliśmy grać koncerty, robić koszulki i nagraliśmy płytę. Teraz, przy okazji tego wywiadu, można wywnioskować, że coś tam się nam udaje i zwracamy na siebie uwagę. Zwróciliśmy twoją, zaprosiłeś mnie na ten wywiad, za co ci serdecznie dziękuję.

M: No właśnie, jak z waszej perspektywy wygląda rozwój zespołu? Pamiętam, że jeszcze rok temu trudno było was usłyszeć, jeśli się głębiej nie poszukało. A teraz, jak ostatnio sprawdzałem, to chyba macie ponad 4000 fanów na Facebooku (śmiech), więc ten skok popularności jest zauważalny.

J: Faktycznie. Zespół się podoba. Myślę, że ktoś, kto szuka takich brzmień, w końcu do nich dotrze. Umówmy się – żeby dotrzeć do takich dźwięków, jakie my proponujemy, to jednak trzeba troszeczkę głębiej, gdzieś pod powierzchnią pogrzebać. Jak już to zdobędziesz, to możesz się tym cieszyć. Takie jest moje zdanie, tak ja zawsze robiłem i za to kocham bardzo tę muzykę i ten cały klimat. Uważam, że gatunek, który my proponujemy, jest niszą niszy. Mało kto docenia w ogóle taki kunszt, mało komu odpowiada taki styl, a jeżeli już odpowiada, to staje się takim (przynajmniej ja tak miałem) maniakiem. Ja bardzo siedziałem w tych zespołach i cenię sobie bardzo to, że przynależę do czegoś tak małego, ale jednocześnie bardzo wartościowego. Nigdy nie żałowałem, że nie poszedłem w stronę np. muzyki bardziej popularnej. Wiadomo, że teraz Polską rządzi rap, który może być i undergroundowy, może być „hardcore'owy", jak to sami oni nazywają, może być jakiś tam ideologiczny przekaz. Natomiast mnie nigdy coś takiego nie interesowało, zawsze siedziałem w ekstremalnych dźwiękach, ale jednak potrzebowałem tych emocji, wrażliwości. A odpowiadając na twoje pytanie – myślę, że Piotrek pisze naprawdę zajebiste riffy. Niektórzy ludzie mogą dostrzec jakąś szczerość w naszej muzyce. Powiem ci, że dużo dostaję przeróżnych maili od ludzi, którzy potrzebują takich treści. Bardzo się z tego cieszę. Sam też będąc w dołku, lubiłem się jeszcze bardziej zdołować poprzez muzykę.

M.: Mam tak samo :)

J: No widzisz (śmiech)! Niektórzy wolą sobie posłuchać jakiejś wesołej muzyczki, trochę się rozweselić czy pójść na romantyczną komedię do kina. Ja lubię się jeszcze bardziej dobić, może po to, żeby usłyszeć, że niektórzy ludzie mają podobnie. Dotykamy tekstowo takich sfer, jakimi są brak nadziei, załamania, rozłamy. O takich rzeczach traktujemy i niektórzy ludzie, którzy należą do tej wspomnianej niszy, lubują się w takich dźwiękach i chcą usłyszeć, że to jest właśnie dla nich.

M: Nawiązując do tekstów, to nie mieliście jakichś nieporozumień? Nikt nie brał was za „pseudoemo" zespoły? Wiadomo, że coś takiego powstało w pewnym momencie. Czy nie pojawił się ktoś, kto negował wasze korzenie w hardcore punku i oddzielał od tego?

J: To jest ciekawe pytanie. Wiadomo, że parę lat temu powstała taka, powiedzmy, „scena".

M: Wiesz, ja np. dostaję uwagi na ulicy od ludzi, którzy myślą, że mam emo grzywkę, a ja mam, kurwa, devilocka, bo się jaram Misfits i horror punkiem! (śmiech)

J: Ha ha ha, no widzisz! My nie mieliśmy absolutnie z tym problemów. Jako sformowane I Hope You Die nigdy nie pocinaliśmy w takim outlooku, jaki proponowali ludzie związani z tzw. „emocore'em" z Myspace'a, bo uważam, że tam miało to swoje źródło. Myślę, że od początku byliśmy postrzegani jako zespół hardcore punkowy, który przedstawia tę bardziej emocjonalną stronę zarówno w tekstach, jak i w muzyce. Natomiast jeśli

chodzi o takie postrzeganie, to nie wiem, musiałbym porozmawiać z tymi, którzy ewentualnie mają coś do nas, a jeszcze z takimi nie rozmawiałem. Raczej mogłem się zawsze cieszyć z tego, że ludzie, którzy nas słuchają, którzy do nas piszą lub z którymi mieliśmy okazję porozmawiać po koncertach, spotkać się na jakichś imprezach, to byli ludzie, którzy na 100% mieli świadomość tego, że dostali „produkt" taki, jakiego szukali i potrzebowali – w stu procentach prawdziwy emocjonalny hardcore punk, niezwiązany z żadnym gówniarstwem, pozerstwem czy podobnymi przykrymi sytuacjami.

M: W waszej twórczości znaleźć można dużo odwołań do mrocznych stanów emocjonalnych, do stanów bliskich samobójstwu. Ktoś mógłby zarzucić, że zamiast odbić się od tego, jeszcze bardziej się w nie zagłębiacie. W kontraście do tego macie też kawałek z tekstem, żeby „być przez dzień jak pierdolony lew". Więc jak to jest, mimo wszystko poszukujecie tej wewnętrznej siły?

J: Tak, jasne. Akurat dałeś tutaj przykład piosenki, która traktuje o konkretnych wydarzeniach. Natomiast jeśli chodzi o rozumienie tekstów, to oczywiście muszę z góry zaznaczyć, że muzyka, którą proponujemy, niesie zawsze ze sobą różne znaczenia. Ten przekaz ma podwójne dno albo nawet i potrójne. Uważam, że to jest piękne w nasze muzyce, że ludzie mogą sobie interpretować teksty na różne sposoby według swoich aktualnych potrzeb. Zawsze staram się pisać w taki sposób, żeby to było metaforyczne. Często mi to tak wychodzi, że należy treść rozumieć odwrotnie. Wiesz, przekaz dosłowny w sztuce jest dla mnie troszeczkę za bardzo prymitywny. To jest bardziej domena zespołów hip-hopowych. Rozumiesz, takie zespoły, które traktują o życiu na ulicy i mówieniu, że „policję to należy pierdolić, a ziomków wspierać". My nie opowiadamy o swojej rzeczywistości w sposób tak dosłowny, u nas wszystko jest metaforyczne, wszystko można rozumieć na różne sposoby. A jeżeli chodzi o kwestię samobójstwa, kwestie takich bardziej mrocznych sfer, to nie wzięło się to znikąd, nie jest to wyssane z palca. To jest część rzeczywistości, która mnie otacza, otaczała praktycznie od dzieciństwa. Wychowałem się na ulicy, którą do dzisiaj nazywam „aleją samobójców". Z tego, co pamiętam, to pięciu chłopaków z mojego rocznika targnęło się na swoje życie ze skutkiem śmiertelnym. Jakoś mnie to wszystko strasznie dotykało, strasznie dziwiło, zastanawiało, dlaczego tak jest. Zawsze starałem się szukać odpowiedzi, zagłębiać się jakoś w te tematy. Odcisnęło to na pewno znaczne piętno na moim życiu. Stąd takie treści. Mnie interesuje muzyka ekstremalna, ekstremalne brzmienie i ekstremalny przekaz. Kompletnie mnie nie interesują rzeczy typu piosenka o tym, że koleżka poszedł z jakąś dziołchą do kina, a ona złamała mu serce, bo jednak poznała innego chłopaka, jak to w dzisiejszych piosenkach punk rockowych bywa. Bardziej mnie interesuje ta ciemna strona i uważam, że trzeba mówić o takich rzeczach, dlatego że ludzie się bardzo tego boją. Pokazują palcem i mówią „zobacz, ta piosenka traktuje o samobójstwie i pewnie nakłania dzieciaki do tego, żeby robiły podobne rzeczy". A to nie jest tak. Ja po prostu mówię o tym głośno. Może jest to określone jakąś swego rodzaju... nie nazwałbym tego poezją, no ale, tak jak wcześniej powiedziałem, jakąś metaforyką. Ale jest to zrozumiałe dla odbiorców takich jak ty, dla ludzi, którzy obracają się w naszych kręgach. Oni bardzo dobrze wiedzą, o czym są te kawałki. Uważam, że one dają im nadzieję i siłę, a nie odbierają.

M: W jednym wywiadzie, z tego, co pamiętam, mówiłeś, że te piosenki uratowały ci w pewnym momencie życie.

J: Tak, zdecydowanie. Kiedy powstawał ten album, to były akurat bardzo ciekawe okoliczności. „Dom samobójczych snów" tworzyliśmy w bardzo zakręconym okresie mojego życia, byłem wtedy na wielu zakrętach życiowych. Były rozstania, śmierci w rodzinie, była taka bezcelowość, było bardzo dużo alkoholu, były narkotyki i po prostu ciężko było się czasami dźwignąć. Na co dzień robię coś, czego nie lubię, i tak się już dusiłem, szukałem takiego jakiegoś ujścia, gdzie mogę się wykrzyczeć, gdzie mogę się w jakiś sposób oczyścić. Bardzo mi tego w życiu brakowało, szczerze mówiąc, miałem też przez 3 lata głęboką depresję, no i były różne takie dziwne myśli.

M: OK, to może rozładujmy trochę nastrój. Moim zdaniem różnicie się też brzmieniowo na tle polskiej emo sceny, która jednak częściej szła w stronę emoviolence albo modern hardcore'u, ostatnio trochę w stronę klimatów indie, na jednej ręce można policzyć jakieś związki emo z pop punkiem. Wy prezentujecie coś jak Odszukać Listopad, uderzacie bardziej w taki mocniejszy posthardcore i metalcore.

My nie osiadamy wyłącznie na jednej płaszczyźnie. Wychowałem się na szeroko pojętej muzyce gitarowej. Dla mnie siedzenie w jednym klimacie było zawsze za ciasne. Wiadomo, że jeśli interesowałeś się muzyką emo i oldschoolowym hardcore'em, to miałeś przewalone na scenie. I u jednych, i u drugich tak naprawdę. Ale ja zawsze miałem na to wyjebane strasznie, bo wiesz, nikt mi nie będzie, kurwa, mówił, czego ja mogę słuchać, a czego nie. Zawsze wiedziałem, że stoję po dobrej stronie, lubiłem różne style i myślę, że to umieszczamy na naszych albumach. Staramy się nagrywać płytę w taki sposób, żeby każdy kawałek czerpał z jakiegoś podgatunku. A Odszukać Listopad kocham całym sercem! Nie wiem, jak bardzo było to słyszalne na pierwszej płycie, natomiast mogę cię zapewnić, na nowej będzie już bardzo duża odczuwalność podgatunkowa. Znajdziesz tam takie utwory w stylu, można powiedzieć, Odszukać Listopad, ale znajdziesz też naprawdę zajebiste inspiracje takimi zespołami jak chociażby Hatebreed, co może się teraz wydawać zupełnie od czapy. My zawsze mamy ten swój wspólny mianownik, jakim są nasze melodie, więc na pewno to wszystko będzie się łączyło w spójną całość. Ale też stawiamy na nowym albumie na bardziej czytelne treści. Można będzie usłyszeć mój głos i zrozumieć słowa (śmiech).

M: Nie no, czasami dało się zrozumieć bez tekstu przed oczami, więc jest dobrze (śmiech).

J: Tak, wiadomo, w każdej hardcore'owej płycie musi być książeczka, żeby można było się wczuć (śmiech). Ale teraz naprawdę będzie można po prostu posłuchać piosenek. Nie jestem śpiewakiem, ale będzie tam dużo recytowanych słów, no i myślę, że będzie ciekawie.

M: Jakiś rok temu zamieściliście na Facebooku zdjęcie notesu z podpisem „Zima". Tak będzie zatytułowana nowa płyta?

J: Nie, wiesz co, to był roboczy tytuł i stary bardzo.

M: Czyli coś się zmieniło?

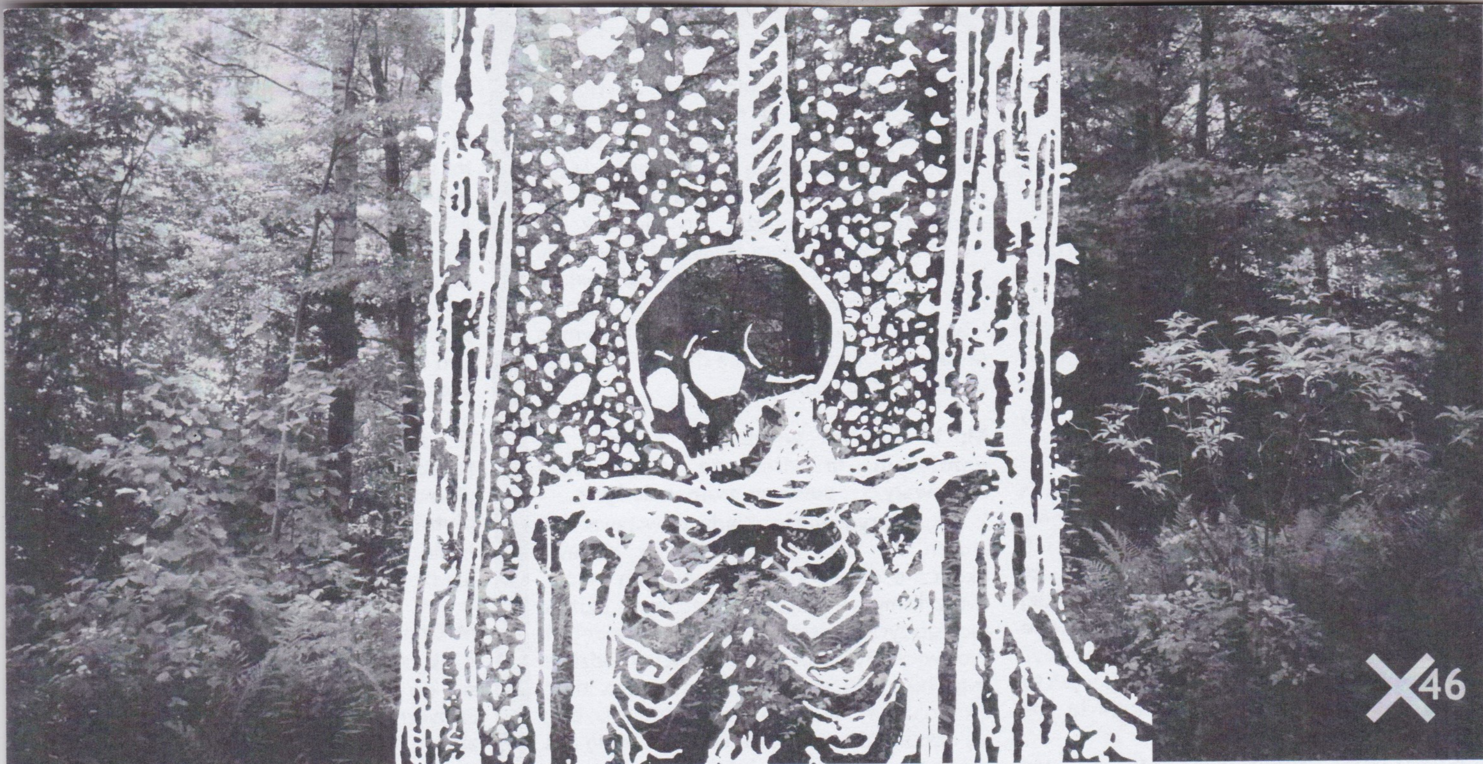
J: Tak, rzeczywiście. Widzę, że przygotowałeś się do tego wywiadu (śmiech). „Zima"... Faktycznie, był pomysł, żeby tak nazwać album, ale płyta będzie się jednak nazywać „Krótka lekcja umierania". A z tą „Zimą" to było tak, że ten tytuł miał zostać, ale później wszedłem na Facebooka i zobaczyłem, że Lie After Lie mają taką zimową okładkę (śmiech) i też tam jakieś rzeczy w tytułach, także musiałem odbić od tego tematu.

M: Określacie się gatunkowo m.in. jako coldwave i, wiesz, już tak myślałem, że w związku z takim tytułem może będzie coś w tym klimacie.

J: Będzie! Coldwave, Joy Division – to są moje klimaty jak najbardziej, jesteśmy mocno tym inspirowani, przynajmniej ja. Piotrek stawiał veto, jeśli chodzi o coldwave, stąd tak mało tego jak dotąd w naszej muzyce, ale mogę cię zapewnić, że jeden kawałek na płycie będzie zimnofalowy. I to będzie właśnie numer, który praktycznie nie będzie zawierał przesterowanej gitary, a dużo chłodnego głosu i bardziej stonowanych brzmień.

M: Czas się przyznać – czy macie jakieś zajawki black metalowe? Bo gdzie nie spojrzę, widać jakieś lekkie odniesienia. Wasze logo co prawda jeszcze da się przeczytać, ale trochę wygląda jak rzucona kupka chrustu, są odwrócone krzyże, na pierwszej płycie jest odniesienie do lasu, co, jednak musisz przyznać, też jest w klimacie! (śmiech)

J: Wow! (śmiech) Muszę przyznać, że mam tutaj do czynienia ze spostrzegawczym odbiorcą! Powiem tak – siedzimy sobie teraz tutaj, gaworzymy i nagrywamy wywiad do hardcore punkowego zina, więc odniesienia do black metalu mogą być nie na miejscu, dlatego że ten gatunek często jest kojarzony z nazizmem. Sam byłem zresztą świadkiem, jak na koncercie Azarath, chyba tutaj, w Olsztynie, zebrała się, kurwa, grupka debili, którzy zaczęli hajlować i wszystkich straszyć, że pozabijają każdego, kto wygląda inaczej niż oni. Chuj im w dupę, tak przy okazji. Ale tak, mamy inspiracje black metalem jak najbardziej, słucham i bardzo lubię tę muzykę i jej klimat. I to jest wszystko, jeśli chodzi o moje zainteresowania tym nurtem. Nie interesują mnie w ogóle żadne



nacjonalistyczne powiązania, nie każdy black metalowiec jest nazistą, to mogę zagwarantować. A muzyka jest piękna. Nie wiem, czy kojarzysz zespół Funeral For A Friend?

M: Jasne, że tak!

J: Uwielbiam ten zespół, jadę do Berlina na ich pożegnalny koncert. Jest to zespół, przez który w ogóle zainteresowałem się emocjonalną muzyką, jeżeli chodzi o zagranicę, bo Polska to wiadomo – Złodzieje Rowerów itp. Ale jeśli chodzi o zagranicę to Funeral For A Friend było pierwsze i oni kiedyś w wywiadzie powiedzieli, że wybierając nazwę zespołu, inspirowali się black metalowymi kapelami, także coś może mi z tego zostało (śmiech).

[w tym momencie obsługa lokalu postawiła na naszym stoliku świeczkę]

No! Mrocznie! Black metal! (śmiech) Mrok i świece!

M: Dokładnie! Tak jak mówisz, nie jest tak, że black jest zagarnięty przez jakąś jedną ideę, są też kapele antyfaszystowskie, propsujące weganizm itd.

J: Tak, może kiedyś tak było, ale czasy się zmieniają. Ja zawsze twierdzę, że muzyka jest dla wszystkich, nie można sobie czegoś zagarnąć i powiedzieć „ty nie masz tutaj wstępu". To jest faszystowskie podejście w ogóle do życia. Nie akceptuję czegoś takiego. Muzyka jest dla każdego i podpisuję się pod tym w stu procentach!

M: Dobra, to jeszcze pytanie, nawiązując do tytułu waszego kawałka, co dzieje się o 3 po północy?

J: Oczywiście przychodzi diabeł i przychodzi ten czas opętania! A jak nastaje czas opętania, to trzeba chwytać za wiosła, mikrofony i po prostu bezlitośnie napierdalać! (Śmiech)

M: I stąd stałeś się Wielebnym? Żeby odpędzać demony?

J: Nie! Wielebnym się stałem przez to, że często pierdolę. (Śmiech)

M.: A skąd się wzięła fascynacja świętem Halloween? Co ono dla ciebie oznacza?

J: Moja fascynacja tym świętem przyszła bardzo wcześnie, ponieważ już po ukończeniu 10 roku życia zacząłem się interesować mocno ciężkimi dźwiękami i mrocznymi filmami jak horrory z lat 80. Także naturalnym było dla takiego nawiedzonego dzieciaka, że przyciągną go świecące dynie i klimaty grobowe. Uważam, że do naszego kraju to święto wprowadziła polska telewizja, ponieważ w ten dzień zawsze pokazywała specjalne halloweenowe odcinki popularnych programów czy filmów animowanych. Dla mojej rodziny niezmiernie ważne jest kultywowanie tradycji Święta Zmarłych i chodzenia 1 listopada na groby. Dla mnie ten dzień również jest bardzo ważny i uwielbiam, tudzież czuję, obowiązek pójścia na cmentarz, ale od zawsze lubiłem się noc wcześniej zabawić. Wiadomo, że Halloween kojarzy się dzisiejszemu Europejczykowi z Ameryką i nie widzę w tym nic złego, ale warto zainteresować się również genezą tego święta i poczytać o tradycjach plemion przedchrystusowych, które wierzyły, że tej nocy, 31 października, nasz świat ściera się ze światem zmarłych i warto założyć wtedy czarne szaty oraz maski w celu odstraszania złych duchów. Dziś ludziom wydaje się, że pomysł przebrania się za kotkę dziweczkę lub Supermana to odpowiednia kreacja na święto duchów, ale przecież ignorancję i potrzebę pokazania swojego ja mamy we krwi. A skoro te obrządki wywodzą się z pogaństwa, to oczywistym jest, że nie będą one do końca tolerowane przez społeczeństwo prokatolickie, w jakim żyjemy. W każdym razie dla mnie oznacza to całkiem magiczny czas, bo przecież żegnamy wtedy lato i witamy zimę, ciemno robi się już przed 17-tą, w powietrzu unoszą się niezwykłe zapachy przesilenia, nastaje gęsta mgła, w głowie huczy mi już horror punk i robi się niezwykły klimat. To dobry czas dla każdego odmieńca (śmiech).

M: Widzę, że mamy podobne podejście do tej kwestii :) Z racji tego, że to jest wywiad do zina vegan straight edge, to może powiesz, co o tym w ogóle sądzisz?

J: Stary, oczywiście, że mam do powiedzenia na ten temat parę słów i na pewno to nie będą negatywne słowa. Vegan straight edge na pewno kojarzy mi się z dobrym jedzeniem, z fajnym klimatem na gigach. Jak wspomniałem tutaj wcześniej, ja nigdy nie chciałem być człowiekiem ograniczonym. Swego czasu byłem wielkim fanem zespołu Battery, uwielbiałem do nich jeździć na snowboardzie. Życzę wam dużo dobrego i mam nadzieję, że będziemy się trzymać razem, wspierać i odpierać skurwysyństwo.

M: Bez podziałów.

J: Dokładnie. Podziały są dla leszczy.

M: Na zakończenie może zabawisz się we wróżkę. Jutro są wybory, kto według ciebie wygra? Masz jakieś przemyślenia na ten temat?

J: Wiesz co, słaby jestem konkretnie w polityce. Powiem ci, że pójdę na te wybory, bo po prostu nie chcę, żeby wygrał PiS. Wkurwiają mnie ci ludzie, szczególnie ten ich podniosły ton, kiedy przemawiają. Kojarzą mi się z jakimś ograniczeniem umysłowym i dyktatorstwem, co zawsze ze sobą współgra. Pójdę tam tylko po to, by nie wygrała prawica, bo jest mi to bardzo odległe. Nie chciałbym, żeby moje dzieci wychowywały się w kraju prawicowym. A kto wygra? Tak jak moja muzyka, raczej czarne scenariusze piszemy. Ale trzeba mieć zawsze nadzieję.

M: Chcesz kogoś pozdrowić?

J: Pozdrawiam serdecznie mojego przyjaciela Piotrka Lewandowskiego, pozdrawiam Piotra Dareckiego, Bartka Dudę i Huberta Traczyka, czyli cały mój zespół, moją kochaną dziewczynę Marię! Trzymajcie się! Mam nadzieję, że nie przyniosłem wam wstydu tym wywiadem. Kocham was! Dzięki!

M: Dzięki wielkie!

www.ihyd666.bandcamp.com



Aporia – Oddychaj LP No Pasaran Records 2015

Oj, długo panowie kazali czekać na nową płytę. W tzw. międzyczasie krążyły już nawet plotki o rozwiązaniu zespołu, ale całe szczęście reprezentacja Tczewa wzięła się w garść i tak narodził się album „Oddychaj". To, co od razu rzuca się w oczy (czy raczej powinienem napisać uszy), to większe bogactwo dźwięków serwowanych przez grupę. Oczywiście w dalszym ciągu Aporia odwołuje się do klasycznego emocore'u z Waszyngtonu czy też francuskiej sceny screamo z Amanda Woodward na czele, lecz to nie całe spektrum ich brzmienia. Nadano bowiem całości większej głębi, subtelności, melodie są bardziej wypolerowane. Pojawiła się postrockowa przestrzeń, która w malowniczy sposób buduje tło muzyczne do melodeklamowanych tekstów. Pomysłów na aranżacje nie brakuje, dlatego też każdy kawałek ma swój indywidualny charakter, jednocześnie idealnie zazębiając się z resztą. Dominują zdecydowanie wolne i średnie tempa, przez co muzyka jest bardziej przemyślana i refleksyjna niż naładowana spontanicznym wybuchem emocji. Owe wybuchy, choć ich niewiele, również znalazły się na płycie. W kulminacyjnych momentach utworów pozorny spokój i opanowanie wokalisty ustępuje miejsca nagłemu krzykowi, gitary wylewają z siebie hałas i energię, a całość porywa, by po chwili rzucić nami o ziemię. Album jest też po brzegi wypełniony treścią, nie ma mowy o pustosłowiu. Poddane analizie zostały zatrute relacje międzyludzkie, konformizm, utrata ideałów na rzecz spokojnego życia, bierność społeczeństwa, walka z własnymi słabościami, wprowadzanie idei wolnościowych w życie. Tematyka może niezbyt oryginalna, pojawiająca się co jakiś czas tu i tam, lecz przedstawiona w ciekawy sposób. Ostatni utwór – „Krzyczeć tak" – jest świetnym podsumowaniem wydawnictwa. Korespondując z tytułem płyty, mówi o momentami aż rozpaczliwej potrzebie przeżywania życia w pełni. „Tak bardzo być / bardziej niż dotychczas / i odetchnąć / pełną piersią". Świetna płyta! (Mn)



Cymeon X – Animal Friendly CD Refuse Records 2015

Tych panów nikomu przedstawiać nie trzeba. Kult, legenda i kopalnia inspiracji pewnie dla niejednego hc dzieciaka i to niezależnie od wieku! To już drugi album zasłużonej ekipy z Poznania po ich reaktywacji w 2011 roku, kiedy to powrócili z płytą „Pokonać Samego Siebie". Może i „Animal Friendly" nie jest nowością z ostatnich tygodni (w chwili ukazania się tego numeru „AF" będzie miało pewnie okrągły rok), lecz nie wyobrażam sobie pominięcia tak ważnego wydawnictwa, szczególnie w zinie o profilu vegan sXe :) Jak sam tytuł płyty wskazuje, grupa postanowiła skupić się głównie na szerzeniu przekazu prozwierzęcego, odstawiając tym samym na boczny tor tematykę drug free. Muzycy chcieli podjąć próbę odtworzenia atmosfery z lat 90., kiedy to wegetarianizm/weganizm i walka o prawa zwierząt były sprawami oczywistymi dla większości ówczesnego środowiska hardcore/punk. Owa ideowość zespołu aż kipi z całego albumu – od tekstów po booklet z felietonami każdego z członków grupy na temat ich przejścia na wegetarianizm. Pierwszą znaczącą różnicą w stosunku do poprzednich dokonań poznaniaków jest z pewnością brak jednego wokalisty – Słonika, który zdecydował się opuścić ekipę. Pomimo takiego obrotu sprawy muzyka CX nie straciła nic ze swojego starego ducha. To w dalszym ciągu zajebisty old school hardcore, prący do przodu w ekspresowym tempie, przeplatany zwolnieniami, od których głowa sama się buja. Co ciekawe, brzmienie zespołu nabrało ciężaru, jakiego wcześniej nie było, zbliżając się tym samym bardziej do Strife niż Youth of Today. Kapela sprawnie operuje wszelkimi hardcore'owymi patentami aranżacyjnymi, jak galopy perkusji, wczute zwolnienia czy partie idealne do singalongów, przez co nie ma czasu na ziewanie, szczególnie że materiał trwa niecałe 18 minut. Lepiej jednak czuć pewien niedosyt niż przesyt. Sama płyta jest świetnie wyważona, niesie ze sobą ogromne pokłady pasji i wściekłości (jak w tytule jednego z kawałków). Teksty, a także styl wokalu mocno kojarzą się z estetyką lat 90., nie próbują być na siłę nowoczesne i „amerykańskie", przez co autentyczność przekazu jest jeszcze bardziej wyczuwalna. Chyba największe emocje budzą we mnie kawałki „Tu i teraz" (absolutnie zajebista melodyjna partia gitary wzbogacająca refren pod koniec utworu!) i „Bestia". W tym ostatnim wers „kły i pazury przeciwko karabinom" jak dla mnie pozamiatał wszystko. To właśnie w muzyce CX uwielbiam – nieco sloganowe, pełne mocy teksty, świetne zarówno do wykrzykiwania na koncertach, jak i do wydziarania na ciele :) Wydanie CD zawiera dodatkowe bonusy (ze splitu z Regresem) – ponownie nagrany „Skowyt" i cover Regresu „Pełni wiary". Co tu dużo pisać, legenda ma się bardzo dobrze i nie zwalnia tempa w działaniach. Pozostaje mieć nadzieję, że na kolejną płytę nie będzie trzeba czekać zbyt długo! (Mn)



H2O – Use Your Voice CD Bridge 9 Records 2015

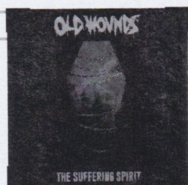
W maju (o ile dobrze pamiętam) pojawiła się pierwsza wzmianka o tym, że H2O ma wejść do studia z nowym materiałem. Ci nowojorczycy grają już przeszło 20 lat, a jakoś nie dorobili się jeszcze statusu klasyków, pomimo świetnej dyskografii. Cóż, może tym razem przekonają nieprzekonanych. Od ostatniej płyty „Nothing to Prove" minęło siedem lat. To kupa czasu. Po drodze co prawda wypuścili jeszcze zbiór coverów z największymi inspiracjami zespołu, będący jednocześnie świetną lekcją historii hardcore punka dla młodszych słuchaczy, jednak na premierowe kawałki musieliśmy dość długo poczekać. Wspomnianą poprzednią płytą zespół ustawił sobie poprzeczkę bardzo wysoko. Czy się do niej chociaż zbliżył? Spotkałem się z opiniami, że „Use Your Voice" to album solidny, lecz nic ponad to. Podobno zabrakło tego hiciarskiego pierwiastka poprzednika. No cóż, mam odmienne zdanie. Już po pierwszym odsłuchu wiadomym jest, że u tych panów niewiele się zmieniło, przynajmniej pod względem muzycznych upodobań i wyznawanych ideałów. Jest tu wszystko, za co można kochać H2O – świetne riffy, charakterystyczny wokal Toby'ego, gang vocals i pasja ponad modę. Proporcje między melodyjnym hardcore'em a pop punkiem zostały zachowane idealnie. Sztandarowe dla całej grupy PMA – pozytywne nastawienie – aż kipi z tego albumu. Nie ma tu miejsca na marazm i apatię! Dostajemy za to niesamowitą żywiołowość i porządną dawkę osobistych manifestów w tekstach. A tych wątków jest tutaj trochę, bo przewija się i niedopasowanie do społecznych ram (także tych w obrębie sceny), i miłość do skateboardingu (ultraszybki numer „Skate!" z gościnnym udziałem legendy deskorolki Steve'em Caballero na gitarze po prostu miażdży!), jest także krzyk w obronie słabszych (tytułowy kawałek), krytyka mediów społecznościowych, a na koniec hołd złożony partnerce życiowej Toby'ego. Na osobną uwagę zasługuje „Popage" – niesamowicie wpadający w ucho pop punkowy sztos, napisany w obronie popowych zajawek wokalisty. Ale spokojnie! Wystarczy spojrzeć na sam tytuł, by wiedzieć, że inspiracją w brzmieniu byli bardziej Descendents niż Katy Perry. Nie mogę też opędzić się od skojarzeń z Ramones przez to, jak pan Morse moduluje głos przy czystym śpiewie. Cała płyta jest bardzo na plus, szybko siada i nie pozwala wyrwać się od zajebistych

melodii, jakie ją wypełniają. H2O Go! (Mn)



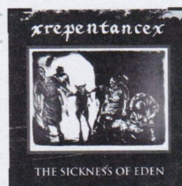
IRON – Midnight Raids 7"EP Assault Records 2015

Po ubiegłorocznym pełnym albumie szwedzki IRON postanowił znów zaatakować, tym razem króciutką epką. Bez zbędnych smętów i udziwnień, szybko, zwięźle i na temat! Na płycie znalazło się pięć hardcore'owych petard, od których noga tupie aż miło. Mamy tu wszystko, co potrzeba – wściekłość, porządny łomot i zdarte gardło wokalisty. Sam zespół określa się często jako „sex positive, queer, vegan straight edge", do tego jeszcze niezbyt lubią kapitalizm i faszystów. Tych kilka łatek świetnie podsumowuje treść wszystkich ich utworów. Epka rozpoczyna się od krótkiego intra w wolniejszym tempie i przechodzi w energetyczny, antykapitalistyczny manifest, obwiniający obecny system za ubóstwo społeczeństwa. Zaraz potem kapela dumnie unosi swoje pięści z nakreślonymi na nich iksami, by głosić opór wobec świata zdominowanego przez alkohol i narkotyki. Zwalnia przy tym jedynie na moment, by po krótkim przejściu znów ruszyć w szaleńczy nakurw. Grupa nie zapomina też o prawach zwierząt, poświęcając kawałek „The Flood" akcjom bezpośrednim, jasno wyrażając swoje stanowisko i podkreślając radykalizm słowami „To cut open every cage/To lay every death machine to waste". Moc tego kawałka świetnie niesiona jest przez konkretną ścianę hałasu i świdrującą dodatkową gitarę przy refrenie. Znalazło się również miejsce na solidnego kopa wymierzonego we wszelkiej maści homofobów i pruderyjnych strażników moralności, z chęcią zaglądających do czyichś łóżek. Autor tekstów nie kryje się bowiem ze swoimi perwersyjnymi zajawkami w imię wolności seksualnej, a ewentualne uwagi odnośnie do życia w czystości ucina wywrzeszczaną frazą "My body, my lust, my fucking choice". Minialbum kończy się pokrzepiającym hymnem wszystkich tych, którzy w jakikolwiek sposób nie przystają do społeczeństwa. "Midnight Raids" to porządna dawka współczesnego hardcore'u, nieuciekającego od treści, jak i potrafiącego sponiewierać swoją wściekłością oraz pędem. Warto sprawdzić nagrania koncertowe zespołu. Mam wrażenie, że na żywo IRON daje z siebie jeszcze więcej żywiołowości niż na płytach, a to już jest wyzwanie! (Mn)



Old Wounds – The Suffering Spirit CD Good FightMusic 2015

Old Wounds to młody zespół z New Jersey, który jest moim osobistym odkryciem ostatniego miesiąca. Chłopaki grają siarczysty metalcore na modłę tego z połowy lat 90., powołując się na kapele typu Turmoil czy też Disembodied. Mamy więc klasycznie rozumiany zmetalizowany hardcore z mocno dokręconą śrubą, który sponiewiera niejednego swoją furią i ciężarem. To jednak nie koniec inspiracji, zespół bowiem nie boi się też eksperymentować, dodając trochę chaosu w swoich aranżacjach, przez co pojawiają się tu i ówdzie nieśmiałe porównania do Converge. Słuchając tego albumu, można również wyczuć posmak sceny kalifornijskiej, a w szczególności tej z Orange County. Już pierwszy kawałek na płycie („Rest in Piss") brzmi jak stare Eighteen Visions – podobnie rzeźbione gitary plus wściekły wrzask wokalisty uzupełniany mówionymi partiami. Całości dopełnia mroczna atmosfera rodem z opowieści grozy. Nie ma się co dziwić, w końcu New Jersey to rodzinne miasto Misfits. Podobnie jak wspomniana legenda chłopaki z Old Wounds upodobali sobie pełnię księżyca, niepokojący nastrój i widok cmentarza skąpanego we mgle. Większość kawałków na płycie wzbogacona jest ocierającymi się o goth punka krótkimi partiami śpiewanymi, nadającymi całości smaku, tajemniczości i melancholii. Kojarzą się one jednoznacznie z dokonaniami AFI i ich halloweenowym punkiem z czasów płyty „Black Sails in the Sunset". Wokalista grupy Kevin Iavaroni ma nawet barwę głosu przypominającą Davey'ego Havoka. Przejścia z agresywnych, rytmicznych breakdownów w pełne patosu fragmenty rewelacyjnie ze sobą współgrają, dodając oryginalności całemu wydawnictwu. Co do zawartości tekstowej, pełno tu cierpienia, krwi, zwątpienia w ludzkość i nienawiści do religii. Warto dodać, że lider grupy (o prawdziwie gotyckiej prezencji) jeszcze bardziej zagłębia się w mrok przy swoim drugim, równie dobrym projekcie – cold wave'owym Sex Cross. Jeśli ubierasz się jedynie na czarno, jesteś fanatykiem horrorów i zastanawiałeś się kiedyś, jak brzmiałoby Samhain bądź Son of Sam w wersji metalcore'owej, ta płyta jest dla ciebie! (Mn)



xRepentancex – The Sickness of Eden LP CarryThe Weight Records 2015

Dawno już żadna płyta nie wgniotła mnie w ziemię z taką mocą jak tegoroczne dzieło brytyjskiej kapeli xRepentancex! Chłopaki z South East grają od 2013 roku i mają na koncie debiut w formie epki, która swego czasu nieźle namieszała. Jednak to na pierwszym pełnym albumie pokazali, na co ich tak naprawdę stać. Inspirując się takimi grupami jak Unborn, Arkangel i Morning Again, xRepentancex przenosi nas w czasie do lat 90., serwując porządną dawkę bezkompromisowego metalcore'u w wydaniu vegan straight edge, tak charakterystycznego dla tamtego okresu. Nie jest to jednak żaden zakurzony eksponat z antykwariatu! Muzycy dobrze pamiętają, który mamy rok, płyta nie brzmi więc jak prehistoria, jest za to ostra jak brzytwa i ma ten nowoczesny posmak. Od pierwszego kawałka dostajemy siarczystego kopa w ryj i tak jest do końca. Wwiercające się w głowę metalowe riffy, galopująca perkusja i przepełniony opętańczą agresją wrzask uzupełniane są – standardowo – ciężkimi zwolnieniami, od których aż chce się ruszyć w mosha od ściany do ściany. Jak to musi miażdżyć na żywo! Pomimo faktu, że w tego typu graniu zrobiono już chyba wszystko, Brytyjczycy nie nudzą nawet przez chwilę, konsekwentnie prąc do przodu. Ciekawe, pełne mocy aranżacje i melodie zahaczające niekiedy o death metal to jedno. Potężne brzmienie albumu jest też bowiem zasługą wokalisty, którego krzyk, pełen autentycznego wkurwienia, robi niesamowite wrażenie. A wykrzykiwać jest co. Teksty nasycone są pogardą, nienawiścią i rozczarowaniem skierowanym w stronę gatunku ludzkiego, który topi się w ignorancji, egoizmie oraz okrucieństwie wobec natury i zwierząt. Ludzka egzystencja jest wręcz nazywana chorobą, z jaką musi się zmagać Ziemia (odnosi się do tego chociażby tytuł wydawnictwa). Sama nazwa zespołu również podkreśla stanowisko grupy – ludzie powinni wyrazić skruchę (ang. repentance) za wszelkie nieszczęścia, jakie sprowadzili na planetę. Oprócz silnego przekazu prozwierzęcego kapela jasno podkreśla swój antyfaszyzm. Intensywność brzmienia i bezkompromisowość przekazu to zdecydowanie plusy tej płyty. Jeśli szykuje się na dniach europejski revival vegan straight edge metalcore'u, to mamy godnego reprezentanta! (Mn)



Ancient Emblem / Hongo – Split CD Crust or Die Collective 2015

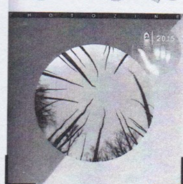
Przyznaję się bez bicia – nie znam się na black/sludge metalu, a mój kontakt z tymi gatunkami jest raczej sporadyczny. Nie do końca moja stylistyka, choć przecież uwielbiam złowieszczy mrok. Postanowiłem jednak

poszerzyć lekko swoje horyzonty. Dodatkowo autorzy omawianego splitu są jak najbardziej prawilni, przez lata zaangażowani w przeróżne projekty na hiszpańskiej scenie, od hardcore punka po crust i d-beat, co zresztą słychać w ich muzyce (głównie wpływy blackened crusta). Ekipa z Ancient Emblem powiązana jest z takimi zespołami jak Diswar, Ura, Kamorräh i Represión, natomiast Hongo dzieli muzyków z Madame Germen, Black Panda czy też zajebistym Ictusem. Po krótkim researchu czas sprawdzić zawartość płyty. Na pierwszy ogień idą AE, niosąc chaos i pożogę swoimi rzeźnickimi riffami oraz blastami niszczącymi bębenki uszne, od czasu do czasu dodając wolniejsze przejścia. Pierwszy kawałek („Fire worship") to przede wszystkim galopujące partie okraszone przeraźliwym growlem. Z kolei drugi utwór („Sisters"), w skrócie – sprzeciwiający się ukrytemu w religii patriarchalizmowi, to już bardziej epickie, rozciągnięte na 10 minut dzieło. Wolne tempo pozwala rozwinąć się całości i zawiązać gęstej od przesterów atmosferze, w odpowiednich momentach dopuszczając do głosu opętańcze przyspieszenia. Mroczny klimat potęgowany jest sprawnie napisanym tekstem zawierającym odwołania do pozbawionego boga świata natury. Obyło się więc bez wychwalania pradawnych bóstw, skrajnej mizantropii i podejrzanej fascynacji nazizmem (przepraszam za te ignoranckie stereotypy :P), a satan został zamieniony na seitana. Taki black to ja rozumiem! Hongo to trochę inna bajka. Ten zasłużony band gra bowiem mix sludge i crusta, czego fanem niestety nie jestem. Napiszę tak – nie mój klimat, za wolne to wszystko jak na mój gust, lecz znawcy tematu z pewnością docenią pieczołowitość w budowaniu nastroju. Na szczególną uwagę zasługuje basista, który odwalił kawał dobrej roboty, wzbogacając kompozycje. Moim zdaniem split zdecydowanie zdominował Ancient Emblem ze swoim surowym, crustowym black metalem. Prawdziwa kosa, na dodatek przeciwstawiająca się wszelkim formom dyskryminacji i promująca weganizm. Jaram się! (Mn)

Youth Funeral – See You When I See You EP
Twelve Gauge Records 2015

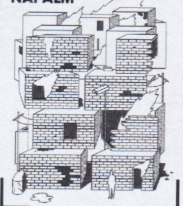


Idzie jesień, czas więc na trochę emo smutku. Jak podpowiada mi internet, Youth Funeral zostało założone w 2013 roku przez jednego z członków Old Gray. Wydawać by się mogło, że to kolejny projekt, obok Sorority Noise, eksplorujący mieszankę posthardcore'u z indie emo wzbogaconą o ciepłe melodie, rozedrgane gitary i na wpół mówione, na wpół wywrzeszczane wokale. Nic bardziej mylnego! Ta epka szarpie, gryzie i rozdrapuje niezagojone rany! Muzycy wykonali ogromny ukłon w stronę klasyków gatunku – Orchid i zaserwowali nam rasowe screamo. Pełne chaosu, dewastacji i rozpaczy. W swym szaleństwie i agresji momentami otarli się nawet o emoviolence, ale spokojnie – ci o słabszych nerwach i sercach niech wiedzą, że chłopaki potrafią też znaleźć czas na małą chwilę oddechu, znacznie zwalniając i zatapiając się w melancholii. Nie trwa to jednak długo i na nowo jesteśmy atakowani połamanym, rozrywającym wnętrzności hałasem, wspomaganym przez przepełniony bólem wokal. Teksty – nie mogło być inaczej – zawierają ogromny osobisty ładunek emocjonalny, traktując o bezradności, skomplikowanych relacjach międzyludzkich, słabościach. Po głębszym wsłuchaniu się, za jazgoczącymi gitarami można odnaleźć strzępki melodii, które podkreślają bardziej uczuciowy niż brutalny charakter muzyki Youth Funeral. Całość kończy się dość szybko, bo po niecałych 11 minutach, ale pozostawia w powietrzu opary rozwichrzonych emocji, nie pozwalając od razu o nich zapomnieć. Jeden z lepszych pogrzebów, na jakich byłem. (Mn)



Among Scratches #2, 36 str. A5, wiosna 2015

Wszelkich malkontentów ubolewających, że scenowe poletko zinowe od dawna leży odłogiem, powinna ucieszyć wzmożona aktywność na płaszczyźnie fotozinowej. Opisywany przeze mnie numer świetnie wpisuje się w tę konwencję, ale w charakterystyczny dla siebie sposób. Przeglądając Among Scratches, miałem wrażenie obcowania z pewnym rodzajem sztuki konceptualnej. Przedstawione fotografie w osobliwy sposób pokazują autorskie postrzeganie otaczającej rzeczywistości, uchwycone obiektywem aparatu. Ale ten zin to nie tylko fajnie skomponowane zdjęcia, to także liczne grafiki i kolaże. Formy wizualne uzupełnione są przez formy pisane, umiarkowanie grafomańskie, ciekawe. Warto się zapoznać, choć nie wiem, czy ten numer jest jeszcze dostępny, bo na pięćdziesiąt numerowanych egzemplarzy mam właśnie ostatni. (Dq)



Człowiek kontra napalm #1, 80 str. A5, lato 2015

Wokalista The Dog, Igor, prowadzi bloga o powyższym tytule. Zdecydował się jednak spiąć większość zamieszczonych tam tekstów w wersji papierowej. Tak oto powstał ten piękny „książkowy" zin. Niektórym się ta ascetyczna forma książkowa nie podoba, choć moim zdaniem świetnie konweniuje z treścią. W środku 24 wpisy, które ciężko opisać jednym słowem, ale wspólnym mianownikiem na pewno jest napalm. Dlaczego? Po odpowiedź odsyłam do zina. Autor ma niebywały talent do sprawnego i ciekawego ujmowania swoich przemyśleń w formie pisemnej, bez zbędnego pierdolenia, inteligentnie, z subtelnym poczuciem humoru. Dzięki temu jego punkt widzenia na punk, hardcore, wszelkie inne muzyczne fascynacje i zjawiska jest niepospolicie interesujący. Lektura obowiązkowa. Można czytać kilka razy. Odsyłam do bloga, na papierze już raczej nieosiągalne. (Dq)

DIY or DIE #1, 66 str. A5, wiosna 2015

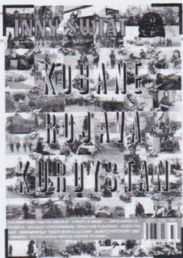


To chyba najlepszy tytuł dla zina, jaki bez kombinowania można wymyślić. Ale do rzeczy. Twór ten generalnie dostępny jest w formie cyfrowej, wysyłany w pliku PDF. Jednak dla chętnych posiadania wersji papierowej też jest przewidziana taka opcja. Ja z niej skorzystałem i szybko dostałem zadrukowany plik arkuszy A4. Uśmiechnąłem się rozczulająco, bo otrzymałem prototypowy egzemplarz – kartki zadrukowane tylko z jednej strony, nienumerowane, niezgięte, niezszyte – diy as fuck! Piszę o tym, bo ciekaw jestem, czy każdy dostał zina w takiej formie, a może jestem wybrańcem. W środku gwiazdy i gwiazdeczki szeroko rozumianego punka: 77 Sins, Tomek Lipiński, Bulbulators, Warsaw Dolls, Tester Gier, Mikes ze Szmaty, Ape, Troty, On Yer Bike, Pussy Terror. Wywiady fajnie zrobione, bije z nich młodzieńcza energia, pasja i chęć tworzenia. Reszta to garść relacji i recenzji. Skład debiutu pozostawia wiele do życzenia, ale jest potencjał i wierzę, że z każdym następnym numerem będzie lepiej. Kochać punk to robić zina. Oi! (Dq)

Don't Forget The Struggle #2, lato 2015

Nowy zin typa, który dotychczas równolegle wydawał „Ścianę Wschodnią" mogącą poszczycić się aż dwudziestoma numerami. Upór i determinacja godne podziwu! Gazeta, którą teraz trzymam w ręku, nie odbiega profilem i stylówą od „Ściany", jest jakby jej kontynuacją. Zin wydawany w UK, w odróżnieniu od pierwszego numeru w całości jest po polsku. Cechą rozpoznawczą są okładki zdobione wytatuowanymi paniami z minionych stuleci, tym razem jest to niejaka Mrs. Williams, na fotografii z 1897 roku (szkoda, że nie wspomniano

o tym w stopce). Mimo to okładka mało gustowna i niezbyt przyciągająca. Najważniejsza jest jednak treść, a ta prezentuje się całkiem ciekawie. Są rozmowy z formacjami Pro Publiko Bono, Earthbound, Super Girl and Romantic Boys, z antyfaszystami z Dywizjon 161 i ekipą wegańskiej restauracji Umea z Lublina. Są relacje z XX-lecia Przeciwu, europejskiej trasy Dzieci z beczek, Animal Friendly Fest, raport z podkarpackiej sceny, kronika działań antyfaszystowskich w Londynie. Są relacje z podróży Serbia – Macedonia, Praga przez Niemcy i dużo zdjęć. Jest wszystko, co typowe punkowe pisemko powinno mieć.
PS Ciekawe, która z pań zaszczyci swoim wizerunkiem okładkę kolejnego numeru? Próbując trafić w gust naczelnego, stawiam na Emmę deBurgh. (Dq)



Inny Świat #34, 68str. A4, wiosna 2015

Pismo, które przez wiele lat swojej fascynacji ideami anarchizmu czytałem namiętnie, ma się dobrze i cały czas ukazuje się na papierze. Piszę o tym z radością, tym bardziej że po ten numer sięgnąłem po dłuższej przerwie, w czasie której - delikatnie mówiąc - wspomniane fascynacje odsunięte zostały lekko na bok. Jednak natura osobnika o anarchistycznych skłonnościach nie znosi próżni i musi od czasu do czasu zostać skażona takową propagandą :). Szczególnie w obecnej nieciekawej sytuacji, w której powyborcza krajowa scena polityczna została zdominowana przez prawicowe frakcje z kilkoma oszołomami, którzy mogą budzić niepokój. To powoduje, że moja atencja skierowana na życie polityczno-społeczne jest wzmożona. Tak na marginesie to myślę sobie, że paradoksalnie taka sytuacja zwiastuje dobry czas dla punk rocka i dobrą pożywkę dla wszelkiego rodzaju publikacji. Niemniej nie jest to szczególnym powodem do radości. Na pewno jednak warto sięgnąć po dobrą lekturę, a ten numer niewątpliwie do takiej się zalicza. Na szczególną uwagę, w kontekście zachodzących w kraju przemian, zasługuje wywiad z współtwórcą Freedom Fighters (wolnościowa liga sportów walki). Natomiast gwoździem numeru są publikacje dotyczące sytuacji w Kurdystanie - obowiązkowe dla chcących wyrobić sobie zdanie o tym, co się dzieje na Bliskim Wschodzie. Ponadto Warszawski Teatr Rewolucyjny, Anarchistyczny DKF, anarcho-rap i wiele innych materiałów z pogranicza tematyki wolnościowej, charakterystycznych dla tego pisma. (Dq)



Lost Zine #5, 44str. A5, wiosna 2015

Kolejna odsłona tego sympatycznego zina, w końcu na papierze! Do tej pory funkcjonował jako webzin, co ma oczywiście swoje zalety, ale nie może równać się namacalnym doznaniom. Forma i skład nie zmieniły się, z ekranu monitora wyglądało to zawsze stylowo i ciekaw byłem, jak sprawdzi się w druku. Wygląd i zawartość są zadowalające. Ten zinek ma to do siebie, że penetruje ciekawe rejony szeroko rozumianego emo hardcore'u, ambient punka czy shoegaze, którego z trudem szukać gdzieś indziej. I to jest w nim najlepsze, bo dzięki temu mogę poznać fajne zespoły i płyty, które mogłyby mi umknąć w zalewie całej masy bandcampów. A może raczej przez moje dyletanctwo. ;)
W środku głównie wywiady lekkie i przyjemne z Like Home, Hard To Breathe, Sandlotkids, Title Fight. Kilka drobnych artykułów i tuzin recenzji płyt.
Nie wiem, jaki jest nakład tego zina, ale z pewnością rarytasem są różne wersje kolorystyczne okładki. Ja mam pomarańczową. (Dq)

No Control #8, 52 str. A4, zima 2014

To już ósmy numer magazynu „Bravo" dla hardkorowców (przepraszam za tę drobną uszczypliwość, ale stylizowane zdjęcia bojsbendów na okładkach niezmiennie wywołują mój lekko ironiczny uśmieszek). W środku jak zawsze rządzi muzyka, mnogość wywiadów jest imponująca. Jednak muszę przyznać, że troszkę to nie mój worek kartofli. Najbardziej ostrzyłem sobie zęby na rozmowę z Walls of Jericho, niestety obszedłem się smakiem, wywiad krótki, niewiele wnoszący. Reszta gości to: Olde York, Blood In Blood Out, Dead End Tragedy, Dope D.O.D, Kartel, Ape, In a House of Brick, Minority, Preshrunk, Proud, Tommy Say No. Wywiady fajne i niefajne, trochę sztampowe. Efektem jest to, że nawet gdybym chciał przekonać się do goszczących ekip, to nie bardzo mam jak. Reszta to relacje koncertowe, recenzje, zdjęcia. Najmocniejszą stroną tego pisma są felietony – wokalista After Laughter jest kolesiem, który sporo fajnych rzeczy ma do powiedzenia. Najsłabszą stroną jest skład. Są zinoroby amatorzy, którzy nawet w Wordzie robią ciekawsze rzeczy. (Dq)



Ten Moment #3, 52 str. A5, wiosna 2015

Ten fotozin to prawdziwa gratka dla każdego pasjonata zinowej bibuły. Dlaczego? Bo nakład to zaledwie 30 egzemplarzy, do zdobycia tylko podczas targów zinowych w Warszawie, w dodatku za darmo (już sobie wyobrażam jego ceny za kilka lat na aukcjach allegro, hehe)! Ale podobne zabiegi autor zina stosował już przy poprzednich wydaniach i zdążył tym podsycaniem apetytu przyzwyczaić napaleńców żyjących w niepewności, czy coś im się dostanie. Zresztą autor, niejaki Rafał, to człowiek, na którego potrzeby należy uknuć odpowiednio charakteryzujący jego osobę termin. Nie wiem tylko jaki: zinofil, zinoholik, zinomaniak? Chyba każdy będzie dobry, bowiem Rafał od lat jest zaangażowany w robienie zinów w stylu "cut & paste", w charakterystycznym i rozpoznawalnym dla siebie stylu. Wystarczy wspomnieć tylko takie kultowe już tytuły jak chociażby "Wshut Słońca", "Leave Me Alone" czy "Zachód Słońca". Ten ostatni ponoć ma ukazywać się nadal, co nie przeszkadza temu, aby w wolnych chwilach Rafał wypuszczał dość regularnie recenzowanego tutaj fotozina. Zapewne jako taka odskocznia dla nieznoszącego próżni zinoholika na zinowym głodzie. Ale to bardzo miłe uzależnienie, jego owocem jest sentymentalna podróż po koncertach, z których zebrane są zdjęcia. To bardzo fajnie, że w dobie internetów, gdzie są miliony zdjęć, powstał taki właśnie pomysł na wycinankowego zina. Jest to klimatyczna, namacalna pamiątka, która niesie w sobie czar wspomnień, ponieważ archiwalne zdjęcia sięgają nawet końca ubiegłego stulecia. Z pewnością niejeden załogant rozpozna na nich gig, na którym był, albo przy odrobinie szczęścia znajdzie na którymś obrazku swoją facjatę. Bardzo fajnie przegląda się tego zina w gronie znajomych, bo co rusz ktoś wyciąga palucha mówiąc "o, tu byłem!". Wrażenia niezastąpione żadną cyfrowo-sieciową galerią.
I tylko pozwolę sobie na koniec wtrącić swoje trzy grosze w kwestii rozdawania zina za darmo. To bardzo miły gest, żeby nie było. Ale czy nie lepiej zrobić benefitowego zina na jakiś słuszny cel, za jakąś, nawet symboliczną, kasę lub co łaska? Moim zdaniem frajda i pożytek większy. To tak na marginesie, zostawiam pod rozwagę. (Dq)



X Idealny Moment X #3, 60 str. A5, wiosna 2015

Trzecia odsłona tego zina ujawnia konsekwencję w tworzeniu. Minimalizm i oszczędność formy edytorskiej nie zmieniły się od samego początku. Zapewne taki był zamysł. Skład to głównie lejący się ciurkiem na wszystkich stronach, niespecjalnie formatowany tekst, przyozdobiony zdjęciami. Jest to zrobione schludnie, czytelnie i ma w sobie trudny w pierwszej chwili do uchwycenia urok, który czyni to wydawnictwo charakterystycznym. W środku osobiste przemyślenia i rozkminy na różne, mniej lub bardziej luźne tematy (m.in. Skandynawia, rowery, etc.), pisane specyficznym piórem autora, mają w sobie bezpretensjonalną prostotę i szczerość. Bardzo sobie cenię tę umiejętność, szczególnie ujawnianą w tworach zinowych. Dużą część tego numeru zajmują wywiady z grafficiarzami oraz ostatnia część trylogii, będącej relacją z wycieczki stopem do Bułgarii. Bardzo cieszą mnie takie ziny, robione z pasji i miłości do sceny, jako własny wkład w jej tworzenie, jako chęć dania czegoś od siebie, a nie tylko brania. Jak widać, nie jest to takie trudne, można to robić prosto i fajnie. (Dq)

WEGANIZM JEST PROSTY



odsłona pierwsza...

...czyli o obalaniu mitów, że wegańskie jedzenie jest bez smaku albo jest drogie, albo trzeba posiadać nadzwyczajne umiejętności kucharskie.

Na wstępie tako rzeknę: wegańskie jedzenie jest smaczne, o ile nie ograniczymy się do ryżu z warzywami na parze (choć i z tego można wyczarować cuda) i pasztetu z puszki, będzie tanie, jeżeli mamy odrobinę chęci sami pokminić i zabrudzić ręce oraz kuchnię, a nie opierać się jedynie na gotowych daniach ze słoika i parówkach z folii, i proste w przygotowaniu, że nawet zupełna kuchenna „świeżynka" da sobie radę, bo zrobienie własnego mleka roślinnego, majonezu czy nawet sera nie jest rzeczą trudną ani nie wymaga posiadania wiedzy tajemnej.

Mam nadzieję, że te moje nieudolne wypociny pisarskie przybliżą wam zawiłości wegańskiego gotowania i może nie przekonam was do weganizmu, ale choć odrobinę zachęcę do spróbowania samodzielnego poszukania zastępników nabiału.

A więc marchewa w oko Modestom i Gesslerom, zaczynamy!

Na początek słowo o sprzęcie - nie jest potrzebny żaden specjalistyczny sprzęt za grubą kasę. Na początek wystarczy to, co wszyscy mają w kuchennych szafkach: garnek, patelnia, noże, byle ostre, deska do krojenia, sitka, jakaś łyżka drewniana i metalowa do bełtania i mieszania.

Jedyna rzecz, w którą warto zainwestować, to ręczny blender zanurzeniowy – taka popularna „żyrafa", dobrze jak by był o dość dużej mocy (750-800 W), przyda się do ukręcenia majonezu czy do zrobienia past. Często w zestawach z takim blenderem jest naczynie z ostrzem w kształcie litery „S" - niezastąpione do rozdrabniania ingrediencji różniastych czy mielenia orzechów.

Podstawa podstaw, opoka, baza, czyli I drink (only vegan) milk (soundtrack: The Teen Idles - I Drink Milk)



Mleko sojowe zawsze smaczne i zdrowe

- *350 g soi (ok. 2 szklanki)*
- *woda*

Soję zalewamy 4 szklankami wody i odstawiamy na 8-10 godzin. Po tym czasie płuczemy ją na sitku, ponownie zalewamy 3 szklankami wody i blendujemy dokładnie. W międzyczasie w dużym garnku zagotowujemy 8 szklanek (ok. 2 litrów) wody. Kiedy zawrze, dolewamy rozdrobnioną soję i mieszamy do momentu ponownego zagotowania, wtedy trzeba uważać, bo piana się mocno podniesie. Wyłączamy gaz i czekamy 5-10 minut. Po tym czasie ponownie całą mieszaninę doprowadzamy do wrzenia i na małym gazie gotujemy jeszcze 5 minut. Spore sito wykładamy gazą, pieluchą tetrową albo koszulką niezbyt lubianego zespołu. Sito ustawiamy nad naczyniem, do którego będzie spływało mleko. Mieszaninę przelewami partiami, za każdym razem mocno wyciskając i odkładając to, co zostanie na materiale. W ten sposób niewielkim kosztem mamy doskonałe mleko, bazę do innych działań kulinarnych.



A teraz czas na majonez

- *szklanka mleka sojowego*
- *czarna sól**
- *musztarda*
- *olej rzepakowy, ok. 1/2 szklanki*

Do wysokiego naczynia wlewamy mleko, dokładamy łyżkę, dwie musztardy (najlepiej jakiejś o łagodnym smaku), blendujemy chwilę, dodajemy sporą szczyptę czarnej soli i, nie przerywając blendowania, dolewamy olej. Po chwili mleko zacznie gęstnieć, wtedy odpowiednią ilością oleju regulujemy gęstość majonezu. Tyle. Prosto i bez zbędnej filozofii. Majonez można doprawić według własnego gustu: solą, pieprzem, ziołami itp.

Majonez taki jest bazą do produkcji sosów i omast: dodajcie do majonezu czosnek, wtedy otrzymacie doskonały sos czosnkowy, zamiast czosnku możecie wykorzystać bazylię, oregano, chrzan i co tylko wam fantazja podpowie.

* czarna sól, kala namak – sól kamienna, która dzięki zawartości śladowych ilości związków siarki posiada zapach i smak „starego jajka". Do kupienia w każdym sklepie ze zdrową żywnością czy nawet w większym markecie na półce z żywnością egzotyczną.

I od teraz już można rozkoszować się smakiem sałatki warzywnej w wersji na pełnym weganie. Zapodaj taką sałatkę na święta swoim starym, na bank nie poznają, że jest bez klasycznego majonezu.

Myślisz, że będąc weganinem, będziesz musiał zrezygnować ze smaku mizerii czy klasycznej sałatki pomidorowej z cebulą? Otóż nie, jeżeli wykorzystasz ten przepis.



Śmietana sojowa

Robimy identycznie jak majonez, tyle że nie dodajemy czarnej soli, a jedynie sól zwykłą oraz sok z cytryny (niekoniecznie musi być ze świeżej, równie dobrze sprawdzi się koncentrat soku z plastikowej butelki). Można też pominąć musztardę i sól, zakwasić tylko mleko cytryną i dodać cukier – wtedy otrzymacie doskonałą śmietankę do deserów.

Uważacie, że nie da się zrobić dobrego sera na weganie, który byłby w smaku zbliżony do regularnego sera żółtego i jednocześnie nie kosztował kroci, i że pizza bez sera to nie pizza? Spróbujcie tego przepisu!



Wegański ser z ziemniaka

- *2 średnie ugotowane ziemniaki*
- *1 ugotowana marchewka*
- *1/2 szklanki płatków drożdżowych**
- *parę łyżek wody lub bulionu warzywnego*
- *1/4 szklanki oleju*
- *1 ząbek czosnku*
- *1/2 łyżeczki suszonej cebuli*
- *1/2 łyżeczki wędzonej słodkiej papryki*
- *1/2 łyżeczki zwykłej słodkiej papryki*
- *sól do smaku*

* płatki drożdżowe, inaczej drożdże nieaktywne – przypominają w wyglądzie bułkę tartą, rzecz bardzo zacna o przyjemnym „serowym" smaku, do kupienia w sklepach ze zdrową żywnością

Ziemniaki i marchewkę obrać, pokroić w mniejsze kawałki, ugotować do miękkości. Odcedzić i wrzucić do jakiegoś naczynia. Dorzucić czosnek, dodać płatki drożdżowe, suszoną cebulę i papryki. Dolać olej i zblendować. Gdyby masa była zbyt gęsta, należy dolać łyżeczkę, dwie wody lub bulionu warzywnego. Zblendować na gładką masę. Doprawić solą. Ser przelać do pojemniczka i od razu można się nim delektować. Przechowywać w lodówce. Ser ten można wykorzystać też do pizzy, zapiekanek warzywnych czy do makaronu – wystarczy włożyć go do zamrażarki, aby dobrze się zamroził i taki mrożony doskonale ściera się na tarce lub kroi w plastry.

Można oczywiście eksperymentować z innymi przyprawami.



A na koniec:

Wegański „parmezan"

(soundtrack: Final Exit „UMEA")

- *migdały, 1/4 szklanki*
- *sól morska lub inna gruboziarnista*
- *płatki drożdżowe, 1/4 szklanki*

Migdały podprażamy na suchej patelni. Podprażone migdały, płatki drożdżowe i sól mielimy w naczyniu z ostrzem „S", miażdżymy w moździerzu lub rozdrabniamy w inny sposób. Taki „parmezan" niezastąpiony jest do doprawiania makaronu, zup czy nawet zwykłych pyrów z wody.

To by było na tyle. Więcej inspiracji znajdziecie oczywiście w internetach. Dziękuję za uwagę!

Pozdrav: Struś von Strutoff

PS. Gdybyście mieli pytania, rozterki czy czegoś nie wiedzieli, to nie bójcie się zapytać i śmiało piszcie na: facebook.com/umealublin – na bank prędzej czy później odpowiemy.


Take your time
Try not to forget